

Avery Corman

# Kramer kontra Kramer

przełożyła Maria Zborowska

Tytuł oryginału: *Kramer versus Kramer*



Nie przypuszczał, że zobaczy krew. Nie był na to przygotowany; ani książki, ani instruktorka na kursie nie wspominali o krwawieniu i brązowych plamach na prześcieradle. Wyczulony był tylko na ból i był gotów pomóc jej w jego przewyciężeniu.

– Jestem z tobą, kochanie. A teraz oddychaj głęboko – nalegał, jak powinien był, zgodnie z instrukcją. – Raz, dwa, trzy, wydech...

– Odwał się! – powiedziała.

Chciał asystować przy porodzie, przygotowywał się do tego, uczył się, co należy robić, wyobrażał sobie, że bez jego pomocy nic się nie odbędzie, ale gdy go wpuścili na salę porodową, okazało się, że zaczęło się bez niego. Joanna jęczała, klnąc, ile wlezie, a na drugim łóżku jakaś kobieta wzywała w języku hiszpańskim Matkę Boską, która nie okazywała specjalnej chęci, by jej pomóc.

– A teraz będziemy oddychać głęboko razem – powiedział udając dobry humor.

Ale jego obecność była zupełnie zbędna. Joanna zamknęła oczy i pogрузzyła się w bólu. Po chwili pielęgniarka odsunęła go, by móc wytrzeć krew i mocz.

Kiedy Joanna pokazała mu po raz pierwszy swój brzuch i kazała dotknąć, by zobaczyć, „jak się rusza”, powiedział, że to cud. Ale zrobił to automatycznie. Prawdę mówiąc, te pierwsze oznaki życia nie interesowały go specjalnie. Dziecko było jej pomysłem, on zaś zgodził się uważając, że w małżeństwie tak powinno być. Kiedy zaszła w ciążę w miesiąc po usunięciu spiralki, był zdziwiony. Wydawało mu się, że to wszystko dzieje się jakby poza nim – to był jej pomysł, to miało być jej dziecko, spełnić się miał jej cud.

Wiedział, że istnieje związek między nim samym a fizycznymi zmianami zachodzącymi w jej organizmie. Ale tym, co interesowało go najbardziej w jej nowych kształtach, było nie nowe życie, które się wykluwało, ale ucisk jej brzucha na jego genitalia, gdy spali ze sobą. Wyobrażał sobie, jakich doznań dostarczałyby mu miłość z tęgimi kobietami, przyglądał się im na ulicy, zadając sobie pytanie, czy kokieteria, jaką niektóre z nich okazują, jest próbą samookłamywania się, czy też pochodzi ze świadomości własnego uroku i zdolności do dawania i odbierania rozkoszy seksualnych. Ted Kramer, który nigdy by sobie nie pozwolił na oglądanie fotosów w pobliskim kinie wyświetlającym filmy pornograficzne, wyobrażał sobie, ile pieniędzy można by zarobić na filmie pornograficznym

pod tytułem „Ted i tłścioszka”.

W szóstym miesiącu ciąży Joanna zaczęła krwawić. Jej ginekolog, doktor Anthony Fisk, uznany przez czasopismo „Vogue” za jednego z najatrakcyjniejszych i najlepszych ginekologów młodego pokolenia świata zachodniego, miał na to tylko jedno lekarstwo. Powiedział Joannie: „Niech się pani położy do łóżka i wetknie korek”. Ted i Joanna zastanawiali się, co w sensie medycznym oznacza ta porada. Pewnego razu późno w noc Ted mając ochotę przespać się z żoną zadzwonił do doktora Fiska, który nie ukrywał swego niezadowolenia, że ktoś przerywa mu sen z tak błahego powodu i że musi prowadzić rozmowę telefoniczną z mężczyzną, i to na temat interpretacji jego zaleceń lekarskich. Oświadczył więc Tedowi, że to, co powiedział, znaczy: niech żona leży jak najwięcej w łóżku i... nic z tych rzeczy. Ted zaproponował, żeby pójść do innego ginekologa, ale Joanna nie chciała o tym słyszeć. Każde więc wycofało się na swoją stronę małżeńskiego łóża, gdzie Joanna dotrwała w spokoju do końca ciąży.

Podczas ostatnich miesięcy przed porodem Joannę nie interesowało uprawianie namiastek seksu, chociaż Ted powoływał się na różne autorytety dopuszczające rozmaite warianty stosunków seksualnych. Według nich stosunek między udami może okazać się zupełnie zadowalającym tymczasowym rozwiązaniem.

Pewnej nocy, gdy Joanna już spała, Ted próbował masturbacji w łazience, wyobrażając sobie, że jest z jakąś tęgą kobietą, którą tego dnia spotkał w metrze. Kiedy zbliżyła się chwila orgazmu, wrócił myślą do Joanny; wydawało mu się, że w ten sposób pozostaje jej wierny. Potem ogarnęło go mimo wszystko uczucie winy i całą swoją żądę usiłował wysublimować – koncentrując się na sprawach wyprawki, łóżeczka, materacyka, specjalnego oświetlenia w pokoju dzieciennym, wózka spacerowego i imienia dla dziecka.

Joanna zwracała większą niż on uwagę na szczegóły. Na przykład godzinami zastanawiała się, co jest lepsze, wysokie krzesło na kółkach czy bez kółek. Ted uważał to za naturalną cechę macierzyństwa. Ona bez trudu opanowała skomplikowaną terminologię pełną obcojęzycznych wyrazów określających różne przedmioty niezbędne młodej matce, które jemu kojarzyły się z czymś zupełnie innym.

Podczas ciąży Joanna kupowała swoje suknie w sklepie „Lady Madonna”. Sama nazwa „Lady Madonna” wyzwaliała w jego wyobraźni wszystko, co najpiękniejsze i najszlachetniejsze. Joanna zresztą promieniała urodą. Jej oczy lśniły, cała jej postać była uosobieniem czystości i dostojeństwa, oczywiście dzięki mądrym radom dra Fiska. Zanim zaszła w ciążę, szczyciła się wspaniałą figurą; była może trochę za niska jak na modelkę, ale ze swoją zgrabną sylwetką, długimi włosami, prostym nosem, dużymi ciemnymi oczami i

kragłymi piersiami mogła śmiało uchodzić za aktorkę. „Najpiękniejsza dziewczyna w całej okolicy” – mówił o niej Ted. O sobie samym miał skromniejsze zdanie, choć uważał się za względnie przystojnego mężczyznę. Miał piwne oczy i ciemnoblonde włosy; zastrzeżenia jego budził przede wszystkim nos, który wydawał mu się zbyt długi, oraz włosy, które zaczynały mu wypadać. Najpewniej czuł się w towarzystwie żony. Miał nadzieję, że los nie spleta im figla i że dziecko, które ma się urodzić, nie będzie podobne do niego.

Podczas ciąży opiekował się Joanną, jak mógł najlepiej; chciał przynosić jej wieczorem kotlet schabowy do łóżka, biec po lody do sklepu. Ona jednak nie zdradzała kaprysów, tak podobno charakterystycznych dla kobiet w tym stanie. Ted przynosił jej więc często kwiaty, co w normalnych warunkach uważałby za gest zbyt romantyczny.

Jak na kobietę w zaawansowanej ciąży Joanna sypiała bardzo dobrze. Nie można było tego niestety powiedzieć o Tedzie. Spał nerwowo, budził się często i zapadał w stan, który można określić jako coś między snem a jawą.

W starym domu w Greenwich Village zgromadziło się dziesięć par. Jak twierdziła instruktorka, kobiety są w stanie panować nad swoimi ciałami; wierzono jej, choć przeczył temu widok niektórych kobiet o brzuchach tak okazałych, że ledwo trzymały się na nogach. Mężczyźni zaś instruktorka zapewniała, że będą mogli aktywnie uczestniczyć w porodzie własnych dzieci. Instruktorka była młoda, pełna temperamentu, chodziła w sportowym kombinezonie, jedyna istota o płaskim brzuchu. Kiedyś podczas jakiejś dyskusji grupowej na temat łożyska, Ted puścił wodze fantazji i zaczął wyobrażać sobie, jak piękny musi być taki płaski brzuch; nie zawiodło go to daleko, choć nie bez zadowolenia stwierdził, że powoli wyzwala się z obsesji obfitych kształtów.

Tymczasem te lekcje przyczyniły się do podważenia wielu wyobrażeń, jakie Ted miał o życiu. Oglądał kolorowe przezrocza ilustrujące w sposób niezwykle plastyczny wszystkie fazy rozwoju płodu. Potem pokazywano zdjęcia noworodków, szczęśliwych matek i dumnych ojców. Odnosił wrażenie, że w jego życie wdziera się powoli nowa istota.

Pewnego dnia w południe, gdy siedział na stopniach biblioteki publicznej na 42 Ulicy jedząc lody i odpoczywając po wizycie w sklepie „Lord and Taylor”, gdzie zamówił zawiadomienia o narodzinach dziecka, i w sklepie u Saksa, gdzie sprawdzał ceny łożeczek dziecięcych, nagle poczuł, że ogarnia go strach. Bał się, że Joanna umrze, bał się, że dziecko umrze albo że oboje umrą. Potem zaczął ze zgrozą myśleć o tym, że im się nic nie stanie, ale że on sam umrze. Zaczęła go dręczyć myśl, czy może sobie pozwolić na dziecko. Bał się, czy potrafi wziąć dziecko na rękę, bał się, że może je upuścić. Bał się, że dziecko może urodzić się ślepe, upośledzone na umyśle, kalekie, z jedną ręką lub jedną nogą, bez palców u dłoni

albo z pokrytą plamami skórą. Bał się, że nie sprostą swoim zadaniom, że nie będzie dobrym ojcem. Ale o tych straszliwych, prześladowających go myślach nie powiedział Joannie.

Wydawało mu się, że najlepiej uporać się z tym strachem usuwając przyczyny, które mogłyby go uzasadnić. A więc powinien wszystkim się zająć, wszystkiego nauczyć, nie pozostawić niczego przypadkowi. Postanowił być najbardziej sprawnym, najlepiej wyszkolonym ojcem, nie uronić nic z wiedzy o naturalnych porodach. Był pilnym i uważnym słuchaczem na cotygodniowych spotkaniach grupy. Jego oczy jak promienie Roentgena przenikały ciało Joanny i odgadywały każdą zmianę zachodzącą w płodzie. Kiedy Joanna w dziewiątym miesiącu ciąży zaczęła czuć się coraz gorzej, Ted nie odstępował jej i podtrzymywał ciągle na duchu. To on namawiał ją, by ćwiczyła codziennie oddechy. Był wzorowym mężem i przyszłym ojcem.

Na zakończenie kursu wyświetlono im film pokazujący prawdziwy poród w warunkach naturalnych. W sali siedzieli oczekujący na poród swych małżonek ojcowie oraz przyszłe matki o brzuchach najrozmaitszego kształtu. Ted czuł jakąś więź z tymi ludźmi. Uśmiechał się do nie znanych mu twarzy. Film się skończył. Kurs też. Ted Kramer był gotowy do porodu.

– Będziesz bardzo zawiedziony, jeśli mi się nie uda?

– Co masz na myśli?

– Rozmawiałam ostatnio z kobietą, której trzeba było dać narkozę. Ona czuje się winna, że nie mogła być przytomna przy własnym porodzie.

– Nie przejmuj się, kochanie. Tobie to nie grozi. Zresztą zobaczysz, jak ci pójdzie, i sama zadecydujesz.

– Dobrze.

Tylko nie umieraj, Joanno. Nie mógłbym znieść takiej straty, powtarzał sobie w duchu. Nie chciał, by się bała, i nie chciał, by zauważyła, że on się też boi.

Kiedy się zaczęło, znajdował się w pracy przy swoim biurku, tam gdzie było jego miejsce, w odległości dziesięciu minut taksówką. Był przekonany, że wszystko pójdzie gładko, ale stało się inaczej. Nie przewidział, że bóle porodowe zaczną się tak szybko i będą tak ostre. Kiedy przybył do domu, Joanna leżała na podłodze.

– Boże mój...

– Jest źle, Ted...

– Chryste Panie...

Na widok jej cierpień to wszystko, czego się nauczył, ulotniło mu się nagle z głowy. Wziął ją w ramiona i trzymał, aż ustąpiły skurcze. Potem chwycił torbę spakowaną i czekającą już od kilku dni, zaprowadził Joannę do taksówki i zawiózł do kliniki.

– Nie wytrzymam tego dłużej.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie. Oddychaj głęboko.

– Nie, nie chcę.

– Musisz. Błagam cię, oddychaj głęboko.

Próbowała oddychać rytmicznie, co miało ją uodpornić na ból.

– Już minęło.

– Pamiętaj, kochanie, następnym razem musisz sama wyprzedzić atak bólu. Pamiętaj, wyprzedzić...

– Może powinni mi dać narkozę.

Na skrzyżowaniu 79 Ulicy i Park Avenue taksówka utknęła nagle w korku.

– To niemożliwe! – wołał Ted do szofera.

– Co ja mogę na to poradzić? – wzruszył ramionami taksówkarz.

Ted wyskoczył z wozu.

– Nagły wypadek! Kobieta rodzi! Przepuścić!

Stanął na środku ulicy, zatrzymywał samochody, kierował ruchem jak szalony policjant.

– Ruszaj z tą ciężarówką, do jasnej cholery! – wołał. – Jazda, nie zatrzymywać się! – Nowojorscy kierowcy, których już nic nie mogło zadziwić, patrzyli z niedowierzaniem na tego miotającego się wariata, ale słuchali jego rozkazów. Ted przeżywał chwile prawdziwej wielkości. Był bohaterem ratującym swoją rodzącą żonę, która utknęła w korku ulicznym. Znow ruszyli naprzód. Tym razem na polecenie Teda taksówkarz włączył klakson.

– Nie zważaj na czerwone światła! Płacę wszystkie mandaty! – wołał Ted.

Ale chwila wielkości nie trwała długo. Kiedy dotarli do kliniki, Joannę zabrano na górę, Ted zaś został w izbie przyjęć sam, opuszczony i zapomniany bohater. Teraz „oni” przejęli nad nią kontrolę, była w ich rękach; na pewno usuwali jej teraz owłosienie łonowe.

– To nie jest w porządku – tłumaczył Ted pielęgniarce. – Moje miejsce jest przy żonie. Ona mnie potrzebuje.

– Wezwę pana.

– Kiedy?

– Za jakieś dwadzieścia minut.

– Ale te minuty są bardzo ważne.

– Tak, wiemy o tym.

W izbie przyjęć znajdował się jakiś tęgi mężczyzna około trzydziestki. Siedział wygodnie w fotelu, z miną tak obojętną, jakby oglądał telewizję.

– Po raz pierwszy? – zapytał Teda.

– Czy rzeczywiście ludzie muszą zawsze pytać, czy to po raz pierwszy? – odparł zirytowany Ted.

– Słuchaj, koleś – rzekł nieznajomy – ja po prostu chcę pogadać jak człowiek z człowiekiem.

– Przepraszam. Tak, to pierwszy raz – odparł Ted uśmiechając się do siebie.

– A u mnie trzeci.

– To czekanie. W chwili kiedy czujesz, że powinieneś być z nią, oni ci ją zabierają.

– Zaraz będzie po wszystkim.

– Ale ja powinienem być tam, na górze. To ma być naturalny poród.

– No to co?

– Jak to co?

– Wybacz, ale to bzdura. Najlepiej dać jej narkozę, wtedy nie czuje bólu i po chwili masz dzieciaka.

– Ale to takie prymitywne.

– Co?

– Nie chciałbyś być przy niej?

– To mnie i tak nie minie. Wszystko w swoim czasie.

Nic więcej nie mieli sobie do powiedzenia. Ted, choć zdenerwowany, nie wątpił w słuszność swej decyzji, nieznajomy zaś ze spokojem oczekiwał skutków swojej. Po jakimś czasie pielęgniarka oświadczyła Tedowi, że może wejść na górę. Udał się więc na oddział położniczy, gdzie Joanna miała rzekomo czekać na jego pomoc. W drodze jeszcze raz powtarzał sobie wszystkie czynności, które miał do wykonania: obliczanie czasu jej skurczów, pomaganie przy oddychaniu, prowadzenie rozmów, które pozwolą jej zapomnieć o bólu, wycieranie potu z czoła, zwilżanie warg. Był pewny, że da sobie radę. Wierzył, że nawet starczy mu czasu, by się bać.

Gdy wszedł do pokoju, Joanna właśnie miała kolejny skurcz i wiała się z bólu. To wtedy rzuciła mu w twarz to „odwal się”, kiedy usiłował namówić ją, by głęboko oddychała. Na sąsiednim łóżku jakaś kobieta krzyczała po hiszpańsku. Pielęgniarka odpychała go na bok. I to też nie było zgodne z instrukcją na kursie.

Wreszcie zjawił się doktor Fisk, młody, przystojny blondyn. Jego pierwsze słowa skierowane do Teda brzmiały: „Proszę zaczekać w hallu”. Kilka minut później pielęgniarka wezwała Teda z powrotem do pokoju. Ted wszedł, doktor Fisk skinął głową i wyszedł.

– To nie potrwa długo – powiedziała pielęgniarka. – Przy następnym skurczu zacnie przeć.

– Jak się czujesz, kochanie? – zapytał Joannę.

– Fatalnie. Nigdy nie czułam się gorzej.

Wróciły skurcze, a on napominał ją, żeby parła, i po kilku kolejnych skurczach i parciu Ted ujrzał ukazującą się powoli czarną plamę, początek porodu, pierwsze oznaki życia jego własnego dziecka. Teraz nie panował już nad sytuacją. To wszystko wyglądało strasznie.

– Panie Kramer – rzekł wchodząc do pokoju doktor Fisk – teraz kolej na nas.

Ted pocałował żonę, ona odwzajemniła mu się wymuszonym uśmiechem, po czym obaj z doktorem przeszli do pokoju po drugiej stronie hallu.

– Proszę robić to, co ja, panie Kramer – powiedział doktor Fisk.

Ted naśladował więc doktora. Wyszorował ręce i włożył niebieski fartuch. Ubrany w ten dziwaczny strój, stał i przyglądał się swemu odbiciu w lustrze jak nieznannej osobie. Nagle uświadomił sobie, że właściwie nic tu po nim, poczuł strach, do którego tak długo nie chciał się przyznać.

– Nic panu nie jest, panie Kramer? – zapytał doktor.

– Chyba wytrzymam.

– Nie zemdleje pan?

– Na pewno nie.

– Czy wie pan, że kiedy po raz pierwszy dopuścili ojców na salę porodową, ktoś wystąpił z teorią, iż niektórzy mężczyźni asystujący przy porodach swoich żon często na jakiś czas tracą męskość.

– Och.

– Według tej teorii ci mężczyźni są albo zdruzgotani samym widokiem porodu, albo rodzi się u nich kompleks winy wobec własnych żon za ból, którego stali się przyczyną. Wie pan, czasem u kogoś penis nie wytrzymuje takich emocji...

Doktor Fisk wypowiadał się na ogół dosadnie i bez zbędnych metafor.

– Nie mamy zresztą żadnych przekonujących dowodów potwierdzających słuszość tej teorii, ale trzeba przyznać, że może ona stać się punktem wyjścia do bardzo interesujących dociekań.

– Nie sądzę.



– Chodźmy! I proszę, niech mi pan nie zemdleje i niech się pan nie stanie impotentem – roześmiał się doktor. Ted nie miał się z czego śmiać. Jego twarz zastygła w napięciu.

Joanna leżała na stole na sali porodowej czekając na swoje przeznaczenie. W widoku tym nie było żadnego dostojęstwa. Wydawało się, że przygotowują ją do jakiegoś dziwnego ofiarnego obrządku; jej brzuch przykrywało zwisające po obu stronach prześcieradło, wysoko podniesione nogi były wetknięte w strzemiona. W sali kłębiło się od lekarzy, pielęgniarek, stażystek, stażystów, których zadaniem było obserwowanie pacjentki.

– A teraz, Joanna, słuchaj mnie uważnie. Kiedy ci powiem, żebyś parła, to przyj, a potem przestań – rzekł doktor Fisk. To Ted znał z kursu. Nawet przeciwicyli to niejednokrotnie w domu. Od razu poczuł się lepiej.

– Panie Kramer, proszę stanąć tutaj, obok Joanny. Stąd zobaczy pan wszystko – doktor wskazał lustro zawieszone nad stołem.

– A teraz proszę przeć, przeć! – wołał doktor Fisk.

Od tej chwili wszystko potoczyło się w bardzo szybkim tempie. Joanna krzyczała przy każdej kolejnej fali bólów, próbowała odpoczywać oddychając głęboko, potem parła coraz mocniej, a Ted obejmował ją ramieniem i mówił: „Powtarzaj sobie: wyjdź, dziecinko, wyjdź, dziecinko”. Tak było w instrukcji. Tak więc ona parła i parła, on zaś trzymał ją z całych sił, aż wreszcie dziecko wyszło krzycząc. Joanna płakała, Ted obsypywał jej twarz pocałunkami, całował jej oczy, czoło, zlizywał łzy. Pozostałym obecnym na sali porodowej też udzielił się ten nastrój, nawet sam gwiazdor, doktor Fisk, uśmiechał się z dumą. Tymczasem poddawano noworodka różnym oględzinom, ważono go, mierzono, podczas gdy Ted Kramer stał nad Williamem Kramerem i liczył jego kończyny i palce u kończyn, jakby się chciał upewnić, że jego syn urodził się bez żadnych deformacji.

W sali szpitalnej rozmawiali spokojnie o różnych sprawach: o ludziach, których trzeba zawiadomić telefonicznie, o obowiązkach, jakie czekają Teda. Potem Joanna powiedziała, że chciałyby się przespać.

– Byłaś wspaniała, kochanie.

– Tak, udało się. Następnym razem wolałabym otrzymać to pocztą.

– Kocham cię.

– Ja też cię kocham.

Ted poszedł na górę do sali noworodków, żeby raz jeszcze spojrzeć na syna, który leżał w tekturowym pudle. Spał jak aniołek.

– Dobranoc, moje maleństwo – rzekł głośno, jakby sam się chciał upewnić, że to wszystko prawda. – Jestem twoim ojcem.

Na dole w izbie przyjęć załatwił jeszcze kilka telefonów i poszedł do domu. W ciągu następnych kilku dni przychodził regularnie do szpitala i z dumą wpatrywał się w syna. Zarówno w pracy, jak i w domu przywoływał jego obraz i za każdym razem wzbierało w nim wzruszenie.

Wiedział, że nie spełnił wszystkich nadziei, jakie pokładała w nim instruktorka na kursie, ale był dumny, że zdołał rozładować korek uliczny, dowieźć Joannę na czas do kliniki i być przy niej, gdy wydała jego syna na świat.

Później, gdy wszystko się między nimi popsulo i zastanawiał się, czy byli sobie kiedykolwiek naprawdę bliscy, przypominał jej tę chwilę.

– Wiesz – powiedziała Joanna – nie pamiętam w ogóle, że byłeś tam przy mnie.

## 2

Poznali się na Fire Island, gdzie on przyjeżdżał na weekend dwa razy w miesiącu, a ona raz w miesiącu. W tych warunkach trudno się było spotkać, ale los chciał, że podczas jednej z sobót trafili na to samo przyjęcie.

Joanna stała w tłumie przed domem w towarzystwie trzech panów. Ted obserwował ją z daleka i w pewnej chwili ich wzrok skrzyżował się. Zresztą obserwowali ją również inni mężczyźni szukający przygód i na ich spojrzenia też nie pozostawała obojętna. Ted spędzał ostatnio weekendy na przemian w Amagansett i na Fire Island i miał nadzieję, że gdzieś, kiedyś kogoś w końcu spotka. Zdążył już wyrobić w sobie odpowiedni zmysł, wiedział, jak i gdzie się trzeba ustawić, by poderwać ładną dziewczynę nawet wtedy, gdy jest otoczona trzema panami i być może już wybrała jednego, z którym zamierza spędzić resztę wieczoru.

Nagle zauważył, że w jej towarzystwie jest facet, z którym kiedyś grał w piłkę. Podeszedł więc i zagadnął go. Rozmawiali o wszystkim i o niczym, ale w końcu został przedstawiony Joannie.

Następnego dnia nie widział jej na plaży, ale był pewny, że musi się natknąć na nią, gdy będzie opuszczać wyspę w niedzielę wieczorem jednym z kursujących o tej porze promów. Siedział więc na przystani i udawał wczasowicza, któremu żal rozstać się ze słońcem. Joanna zjawiała się przed odejściem drugiego promu. Ted zauważył, że nie odprowadzał jej żaden mężczyzna i że była w towarzystwie dwóch kobiet, nawet dość przystojnych, takich, które na pewno przypadłyby do gustu Larry'emu. Larry, przyjaciel

Teda, miał stary samochód, który mu zostawiła jego eks-małżonka, gdy się rozwodzili, i odwoził nim do miasta dziewczyny poznane podczas weekendów. Samochód był pakowny i można było pomieścić w nim całe tabuny pasażerek. Czasem czuł się, jak kapitan samolotu przewożący do miasta swoje stewardesy.

– Jak się masz, Joanna. To ja, Ted. Przypominasz mnie sobie? Masz czym jechać do miasta?

– Wracasz tym promem?

– Tak, czekam tylko na znajomego. Lepiej zobaczę, co się z nim dzieje.

Ted wycofał się z przystani i pobiegł do domu.

– Larry, mamy piękne dziewczyny. Wspaniała okazja! – zawołał.

Na promie jedna z koleżanek Joanny zadała Tedowi sakramentalne pytanie:

– Czym się zajmujesz?

Tego lata Tedowi nie bardzo się wiodło. Podrywane kobiety miały najwidoczniej swoje własne kryteria wartości: coś w rodzaju dziesiątnej skali, na której lekarz otrzymywał dziesiątkę, adwokat i makler giełdowy dziewiątkę, ludzie od reklamy siódemkę, ludzie zatrudnieni w przemyśle konfekcyjnym trójkę, chyba że mieli własny interes, co im dawało ósemkę, nauczyciele czwórkę, a reszta, w tym zawody wymagające dodatkowego wyjaśnienia – a to dotyczyło również zawodu Teda – zaledwie dwójkę. A jeśli dodatkowe wyjaśnienia nie wystarczały, to trudno było liczyć na więcej niż jedynkę.

– Sprzedają reklamy.

– U kogo? – zapytała Joanna. Nie musiał niczego wyjaśniać, co mu dawało szansę na piątkę.

– W „Leisure”.

– Ach tak.

– Znasz moją firmę?

– Oczywiście. Ja pracuję u Waltera.

A więc byli z tej samej branży. Miało to swoje i dobre, i złe strony, myślał Ted. W każdym bądź razie byłoby gorzej, gdyby się okazało, że jest bibliotekarką w jakiejś zakazanej prowincjonalnej dziurze.

Joanna Stern przyjechała do Nowego Jorku z dyplomem wydziału sztuk pięknych uniwersytetu w Bostonie i rychło przekonała się, że samym tylko dyplomem nie podbije miasta. Zapisła się więc na kursy dla sekretarek, żeby łatwiej dostać pracę, i przechodząc z jednej „wspaniałej” posady na drugą, podnosiła swe kwalifikacje zawodowe. Miała coraz ciekawszą pracę, w końcu została kierowniczką sekretariatu dyrektora do spraw propagandy

w firmie J. Waltera Thompsona.

Kiedy miała dwadzieścia cztery lata, zamieszkała po raz pierwszy w samodzielnym mieszkaniu. Romansowała wtedy z jakimś żonatym mężczyzną, kolegą biurowym, i w tej sytuacji wolą mieszkać sama. Romans ten trwał trzy miesiące i zakończył się, kiedy on się upił i zarzygał jej dywan. Potem wrócił do swojej żony.

Na Boże Narodzenie wyjeżdżała co roku do Lexington w stanie Massachusetts, by złożyć rodzicom sprawozdanie z postępów, jakie czyni w życiu. Na ogół mogła im zakomunikować, że ma powodzenie u mężczyzn i że daje sobie radę w pracy. Jej ojciec był właścicielem dobrze prosperującej apteki, a matka zajmowała się domem. Joanna była jedynaczką rozpieszczaną zarówno przez rodziców, jak i resztę rodziny. Mogła sobie pozwolić na wakacje w Europie, na częste kupowanie nowych strojów, ale jak jej matka stwierdzała nie bez dumy: „Nigdy nie przysparzała rodzicom kłopotów”.

Od czasu do czasu Joanna przeglądała ogłoszenia o wolnych posadach, żeby się przekonać, czy nie mogłaby znaleźć jakiejś ciekawszej pracy. Zarabiała sto siedemdziesiąt pięć dolarów tygodniowo, to, co robiła, było nawet w miarę interesujące, a potrzeby zmian specjalnie nie odczuwała. Jak mówiła rodzicom, na brak powodzenia u mężczyzn nie mogła narzekać, a jej przełożeni byli z niej na ogół zadowoleni. Cóż, kiedy jej życie stawało się coraz bardziej jednostajne. Bill, żonaty mężczyzna, z którym teraz romansowała, był jak dwie krople wody podobny do Walta, innego żonatego mężczyzny, z którym romansowała rok temu. Jeśli zaś chodzi o nieżonatych, to Stan, który był przed Waltem, ale po Jeffie, był taki sam jak Michael, który pojawił się przed Jeffem, ale zajął miejsce po Donie. Wiedziała, że jeśli utrzyma to tempo, przed ukończeniem trzydziestu lat zaliczy co najmniej dwa tuziny kochanków, choć takich ambicji wcale nie zdradzała. Powoli traciła dla siebie szacunek i zaczynała odczuwać zmęczenie tym trybem życia. Billowi, z którym właśnie teraz flirtowała, oświadczyła, że weekendy bez niego są nudne, i zaproponowała mu, żeby ją zaprosił do swego domu w Stamford. To oczywiście okazało się niemożliwe, tak że nie pozostało im nic innego, jak zerwać.

Ted nie był następnym na jej liście. Wolą go trzymać w rezerwie. Sam Ted przekroczył już trzydziestkę i mógł spoglądać wstecz na dość bogate życie uczuciowe. Zmieniał partnerki tak samo łatwo, jak one zmieniały jego. W kieszeni miał dyplom ukończenia wydziału handlu na uniwersytecie nowojorskim, co kwalifikowało go do pracy wszędzie nie dając żadnej wyraźnej specjalności. Pracować zaczął jako praktykant w dziale sprzedaży niewielkiej firmy elektronicznej, potem odbył sześciomiesięczną służbę wojskową dla rezerwistów, a po wyjściu z wojska był przez rok sprzedawcą w firmie zajmującej się

hurtowym handlem artykułami gospodarstwa domowego. Nigdy nie chciał pójść w ślady ojca, który prowadził małą restauracyjkę w dzielnicy pełnej zakładów konfekcyjnych i który przez wszystkie te lata powtarzał, że ma dość sterczenia przy garach i babrania się w śmieciach. Tedowi odpowiadało to jeszcze mniej. I nie wiadomo, jak by skończył, gdyby nie pewna starsza pani z dużą praktyką w dziedzinie polityki personalnej.

– Twoim największym błędem jest to, że starasz się sprzedawać towary – powiedziała mu. – Jesteś za mało przebojowy.

– Co pani ma na myśli? – zapytał nieśmiało Ted.

– Jesteś inteligentny. Powinieneś sprzedawać, ale nie towary, tylko pomysły.

Kilka tygodni później załatwiła mu posadę, gdzie mógł sprzedawać pomysły jako akwizytor reklam w czasopiśmie dla mężczyzn. Taki akwizytor musiał się orientować w zagadnieniach demograficznych i rynkowych, musiał posługiwać się najnowszymi metodami badawczymi. Na takim stanowisku potrzebna była inteligencja, a Ted Kramer, który był bardziej pomysłowy niż przebojowy, miał nareszcie swoją szansę.

Ted i Joanna spotkali się wreszcie po wakacjach, w czasie ich pierwszej randki zjedli kolację w restauracji i spędzili, jak to się mówiło w ich środowisku, „przyjemny wieczór”. Niektórzy zaczęli łączyć ich osoby. Widywano ich razem w mieście. Ale nie tylko Ted figurował na liście Joanny. Był jeszcze jakiś makler giełdowy, jakiś redaktor w wydawnictwie i jakiś architekt. Na szczęście dla Teda makler giełdowy martwił się ciągle o notowania, redaktor palił za dużo „trawki”, a architekt mówił zbyt często o innych kobietach. Podczas ich drugiej randki Ted zdobył się na coś zupełnie nowego, na coś, co w jej środowisku nie mogło przejść nie zauważone. Zaprowadził ją w to samo miejsce, gdzie spędzili pierwszy wieczór, mówiąc: „Skoro poszło mi tu tak dobrze poprzednio...” Tedowi nieobce były kłopoty kawalerskie, ale traktował je z humorem. Nie był tak cynicznie obojętny jak Vince, dyrektor artystyczny, który nagabywał ją w biurze chwając się, że jest biseksualny, i nie tak melodramatyczny jak Bob, który nie odstępował jej zapewniając, że jego małżeństwo się rozpada i niebawem wystąpi o rozwód. Tę piosenkę znała już z czasów swych flirtów z Waltem i Billem.

– Zawsze wracam na miejsce pierwszej randki, z tymi, które, jak mi się wydaje,11 lubię – rzekł do niej Ted.

– Które, jak ci się wydaje, lubisz?

– To na początek. Potem zapraszam je na weekend do Montauk.

– Nie sądzisz, że na to jest jeszcze za wcześnie? – powiedziała Joanna.

– To mógłby być fantastyczny jesienny weekend, a przy okazji moglibyśmy się

przekonać, czy mamy sobie coś do powiedzenia.

– Może przecież padać.

– Ale pomyśl, ile czasu moglibyśmy sobie zaoszczędzić. I ile forsy ja mógłbym zaoszczędzić.

– W takim razie spróbuję.

Po kilku kolejnych wspólnych wieczorach Ted znów zaproponował jej wspólny weekend i tym razem Joanna zgodziła się. Ted wynajął samochód i zarezerwował pokój w motelu w Montauk. Pogoda była dobra. Mogli przekonać się, że nadal mają sobie coś do powiedzenia, i leżąc przytuleni do siebie pod kocem na plaży wyznali sobie, że życie w pojedynkę zaczyna ich nużyć. Pokrzepieni tym przejawem wzajemnej szczerości poszli do łóżka.

Tak więc decyzja Joanny nie polegała bynajmniej na tym, że wybrała Teda spośród wszystkich innych kandydatów do jej ręki. W istocie rzeczy Ted wydawał jej się w tej grupie podobnych do siebie jak dwie krople wody mężczyzn, których widywała, tym, którego wolała widywać częściej niż pozostałych. Zgodnie z ogólnymi zasadami przyjętymi w ich środowisku oznaczało to, że będzie z nim spała, a zgodnie z jej osobistymi zasadami oznaczało to również, że w tym czasie nie będzie spała z nikim innym. Ted stał się więc po prostu jednym z wielu, którzy byli przed nim, ale teraz jedynym. No cóż, tak się jakoś złożyło, że trafił na moment, kiedy Joanna odczuwała zmęczenie samotnym życiem, i że nie miał już następcy.

Spędzali teraz coraz więcej czasu razem, niekiedy w jego, niekiedy w jej mieszkaniu. Nie był to jeszcze wspólny dom ani tak naprawdę wspólne życie, ale stanowiło to już coś znacznie poważniejszego niż widywanie się na randkach. Tedowi wydawało się, że wygrał los na loterii; nareszcie miał dziewczynę ze swojej branży, znającą się na jego pracy, nowoczesną i doświadczoną, do tego jeszcze niezwykle przystojną i cieszącą się dużym powodzeniem w towarzystwie.

Zbliżało się lato. Był to na ogół krytyczny okres. Joanna czuła, że żonaci koledzy biurowi myślą coraz częściej o tym, jak się dobrać do znajdujących się pod ręką dziewcząt, choć ich sytuacja domowa zmuszała do poświęcania całego wolnego czasu małżonkom i dzieciom. Jeśli zaś chodzi o Teda, to w biurze zażądano, by zaplanował sobie urlop.

– Musimy podjąć bardzo poważną decyzję – powiedział do Joanny. Przez chwilę przestraszyła się, bo przypuszczała, że proponuje jej bardziej trwały związek, na to zaś nie

była jeszcze gotowa.

– Niedługo mam dostać dwa tygodnie urlopu. Może spędzilibyśmy go razem?

– Dobrze. Czemu nie?

– Larry zbiera paczkę, żeby wynająć dom na całe lato. Będziemy tam mogli spędzić dwa tygodnie, a potem przyjeżdżać na każdy weekend.

Ani on, ani ona nigdy nie przebywali dłużej na Fire Island ani w żadnej innej tego typu miejscowości wypoczynkowej.

– Mogłoby nawet być przyjemnie.

– A kosztowałyby tylko czterysta od osoby za cały sezon.

– Masz nielichy zmysł do interesów – powiedziała.

– Mogłoby być fajnie.

– Oczywiście. To prawdziwa okazja. Tym bardziej że już się przekonałam, iż nie chrapiesz.

Kiedy Mel, z działu księgowości, mający żonę w Vermont, stanął pewnego dnia przy jej biurku i zapytał: „Co robisz tego lata i z kim?”, odpowiedziała mu: „Mam chatę na Fire Island i spędzam wakacje z przyjacielem”. Zdawała sobie sprawę, że po raz pierwszy użyła tego określenia w stosunku do Teda, i odczuła nawet z tego powodu pewne zadowolenie, zwłaszcza gdy Mel zareagował na jej słowa krótkim „och” i wyniósł się, by szukać szczęścia gdzie indziej.

Wspólny pobyt w miejscowości, gdzie tylu ludzi czyhało na zdobycz i gdzie oni sami niegdyś też robili to samo, odczuwali jako coś wyjątkowego. Nie musieli już bywać na przyjęciach organizowanych chyba tylko po to, by uczestnicy mogli wyładować swoją towarzyską agresywność. Woleli te wieczory spędzać razem w domu. Patrząc na samotnych mężczyzn i samotne kobiety snujące się po ulicach w poszukiwaniu przygody, zaproszenia na przyjęcie lub po prostu czyjś towarzystwa, obserwując wracających promem z weekendu ludzi usiłujących zdobyć w ciągu ostatnich kilku minut to, czego nie udało się osiągnąć podczas poprzednich dwu dni, czuli się nieomal wybrańcami losu.

Nie, nie nudzili się ze sobą. Ich miłość była pełna wigoru i niespodzianek. Wiedzieli, że mają dom, że mogą zawsze liczyć na siebie. A najprzyjemniejsza była świadomość, że gdy minie lato, pozostaną razem, jeśli taka będzie ich wola.

– Joanno, chciałbym, żebyś została moją żoną. Proszę cię o to. Jeszcze nikomu nie zrobiłem takiej propozycji. Zgadzasz się?

– Tak, och, tak – powiedziała.

Pocałowali się z prawdziwym przejęciem, z niekłamany ucuciem, ale przede

wszystkim byli wdzięczni sobie za to, iż mogli udowodnić, że mimo wszystko są normalnymi, zdrowymi ludźmi, że nie muszą już chodzić z kieliszkiem w ręku i rozglądać się za partnerem!

Wydawało się, że dziecko płacze od co najmniej dwóch godzin.

– To trwa tylko czterdzieści osiem minut – stwierdził Ted.

– Tylko...

Byli spoceni i wyczerpani. Kołysali je, tulili, nosili, kładli do łóżeczka, ignorowali, śpiewali, a ono wciąż płakało.

– Jedno z nas powinno się przespać – oświadczył Ted.

– Ja już śpię – odparła Joanna.

Billy miał już cztery miesiące. Dawno minęły te czasy, kiedy zajmowała się nim pielęgniarka i zdawało się, że to dziecko nigdy nie płacze. Po odejściu pielęgniarki ujawnił się drugi Billy, ze swoimi potrzebami, których spełnienia domagał się częstym płaczem.

Zaraz po jego urodzeniu zwała się do nich cała rodzina. Przyjechali rodzice Joanny z Massachusetts i rodzice Teda z Florydy, dokąd przenieśli się po przejściu na emeryturę. Brat Teda z żoną przyjechał z Chicago. I to całe towarzystwo trzeba było ciągle karmić i poić.

– Całe szczęście, że sprawy żywienia zbiorowego nie są mi całkiem obce – stwierdził Ted.

– Ale ja nie mam twojego doświadczenia – lamentowała Joanna. – Dlaczego nie pójdą do restauracji?

Po wyjeździe rodziny i odejściu pielęgniarki ogarnęło ich uczucie straszliwego zmęczenia. Nie byli przygotowani na te nie kończące się obowiązki, które wiążą się z narodzinami dziecka.

– Nie kochaliśmy się od tak dawna, że już sam nie wiem, czy jeszcze potrafię – mówił Ted.

– Nie ma się z czego śmiać – dodawała Joanna.

– Wiem.

Z początku Ted bardzo się swoją rolą przejmował. Wstawał razem z Joanną i towarzyszył jej, gdy karmiła piersią Billy'ego, więc bywało, że w nocy cały dom stawał na nogi. Potem, gdy zdarzyło mu się kilka razy usnąć w biurze, stał się mniej skory do uczestniczenia w nocnych obowiązkach żony.

Kiedy Billy skończył osiem miesięcy, noce stały się już spokojniejsze. Ale w ciągu



dnia Joanna miała wciąż pełne ręce roboty z karmieniem, praniem, zmywaniem, zakupami. Wiedziała, że każdego wieczoru powinna cieszyć się na myśl o powrocie Teda do domu, w końcu był jej mężem, ale prawdę mówiąc pragnęła tylko jednego: by jej pomógł w gospodarstwie, umył podłogę w kuchni, przygotował pranie.

– Joanna, jestem do niczego...

– Kochanie, nie przejmuj się, nie mam ochoty na miłość. Marzę tylko o spokoju dla siebie.

Uśmiechali się i zaraz potem zasypiali.

Ludzie mówili, że z czasem „jest coraz lepiej”. I rzeczywiście było coraz lepiej. Billy nie budził się już w nocy i w ogóle był wesołym i pięknym dzieckiem. Obawy Teda, że Billy mógłby być podobny do niego, okazały się nieuzasadnione. Zresztą nikt nigdy nie dopatrywał się żadnego podobieństwa między nimi. Billy miał mały nosek, duże brązowe oczy i proste czarne włosy. Jednym słowem, chłopak jak malowanie.

Wraz ze zmianą ich trybu życia zmieniło się również ich otoczenie. Mężczyźni bez żon i kobiety bez mężów należeli do innego świata. Od razu po ślubie Ted przeprowadził się do mieszkania Joanny na 70 Ulicy po wschodniej stronie, do domu zajmowanego przeważnie przez niezamężne kobiety i nieżonatych mężczyzn oraz kilka dziewcząt lżejszych obyczajów. Ale przed urodzeniem Billy’ego przenieśli się do położonego w pobliżu domu zamieszkanego przez rodziny. Tam zaprzyjaźnili się z Thelmą i Charliem Spiegelami, którzy mieszkali pod nimi w apartamencie 3-G. Spiegelowie mieli córeczkę, Kim, o trzy miesiące starszą od Billy’ego. Charlie był dentystą. Do ich paczki dołączył również Marv z tygodnika „Newsweek” i jego żona Linda, matka Jeremy’ego, o dwa miesiące starszego od Billy’ego. Spotykali się dość często na wspólnych posiłkach i, jak przystało na młodych rodziców, wymieniali informacje i doświadczenia na temat koloru kupek swych pociech, dyskutowali zawzięcie na temat zalet różnych metod wychowawczych; wiedzieli wszystko o swych dzieciach: które już stoi, które raczkuje, chodzi, mówi, siusia do nocniczka. Nawet jeśli zdarzało się, że ktoś protestował, mówiąc: „A może byśmy tak pogadali o czymś innym?”, to przeważnie przerzucali się na omawianie spraw związanych z wychowaniem dzieci w Nowym Jorku; czy powinny kształcić się w prywatnych, czy publicznych szkołach. Dość rzadko rozmawiali o filmach, które oglądali, lub książkach, które przeczytali: na takie rzeczy nie mieli dużo czasu.

Kiedy Billy ukończył półtora roku, był pięknym dzieckiem, które podziwiali przechodnie, gdy spacerował ze swoją uroczą matką.

Ted dostał podwyżkę w pracy, jak sądził, z tego prostego powodu, że został ojcem. A

być ojcem oznaczało przejść do innej kategorii. Z Danem, starym kolegą z college'u, obecnie adwokatem, chodził na mecze baseballowe. Obowiązki służbowe wymagały, by czytał różne czasopisma i „Wall Street Journal”. On był człowiekiem pracy. Natomiast Joanna miała kilka przyjaciółek poznanych w parku i Thelmę. Nie umywało się to oczywiście w jej pojęciu do towarzyskiego życia Teda, który chodził codziennie do biura i spotykał się z interesującymi ludźmi mówiącymi pełnymi zdaniami. Ona zaś nie miała nikogo, z kim mogłaby dzielić swoje najskrytsze myśli. O pewnych sprawach nie mogła rozmawiać ani ze swoimi nowymi znajomymi z parku, ani ze swoimi starymi przyjaciółkami, ani z Tedem.

Razu pewnego powiedziała Thelmie:

– Wiesz, kocham swoje dziecko. Ale w gruncie rzeczy jest to strasznie nudne.

– Oczywiście – odparła Thelma. Przez chwilę Joanna myślała, że znalazła bratnią duszę. – Ale również bardzo podniecające.

Joanna nie miała z kim porozmawiać. Kobiety, które znała, albo okłamywały same siebie, albo bardziej niż ona poddawały się swemu losowi. Kiedyś rozmawiając przez telefon ze swoją matką, zapytała ją:

– Powiedz, mamó, czy ty się kiedyś nudziłaś?

– Z tobą nigdy. Nigdy nie miałam z tobą żadnych kłopotów.

Joanna zastanawiała się, czy jej reakcje są prawidłowe. Pewnego wieczoru wysłuchawszy długiej opowieści Teda, który pokłócił się z jakimś kolegą biurowym, i powiedziawszy, co o tym sądziła, a mianowicie, żeby sobie nie zawracał głowy takimi głupstwami, postanowiła mu się zwierzyć ze swoich zmartwień. Wprawdzie bardzo kochała Billy'ego, który jest taki słodki i grzeczny, ale nie może się przyzwyczaić do tego, że wszystkie jej dni są takie same.

– Być matką to straszliwa nuda, Ted. Choć nikt się do tego nie chce przyznać.

– Takie jest życie – odparł. – Przynajmniej w pierwszych latach. Ale musisz przyznać, że mamy cudowne dziecko.

Wydawało jej się, że on nie chce niczego zrozumieć. Zresztą zaraz odwrócił się na drugi bok i zasnął.

### 3

Tłamsiła więc nadal w sobie ból i nie było jej z tego powodu lżej. Ewenementem tego

lata była pierwsza kupka, jaką Billy zrobił do nocniczka.

– Brawo, Billy! – wołała Joanna. Wszyscy się cieszyli, ona się cieszyła, Ted się cieszył, Billy się cieszył.

– Zjób kupecke – powiedział Billy kilka dni później sam do siebie, potem usiadł na nocniczku i zrobił, co należało.

Kiedy Ted zadzwonił tego dnia do domu z biura, by się pochwalić, że udało mu się podpisać bardzo korzystny dla firmy kontrakt, ona też mogła mu przekazać dobrą nowinę:

– Słuchaj, Billy powiedział do siebie: „Zjób kupecke”, i zrobił.

Chłopczyk skończył już dwa latka i matka Joanny powiedziałaaby zapewne, że z takim dzieckiem nie ma kłopotów. Bywał czasem uparty albo nieposłuszny, ale powoli stawał się kimś. Już nie pakował sobie twarożku do uszu, z nieokrzesanego zwierzątka przekształcił się w na pół cywilizowaną istotę, którą można było nawet zabierać w niedzielę do chińskiej restauracji na obiad.

Joanna pozwalała mu oglądać Muppety w telewizji. Siedział spokojnie, mrużył oczki, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi. Ale ona dzięki temu miała godzinę dla siebie.

Ted był pełen wigoru. Nic już nie pozostało z młodego, skromnego, nieśmiało szukającego swej drogi mężczyzny. Miał teraz trzydzieści dziewięć lat i był specem w swoim zawodzie. Poprzedniego roku zarobił 24 000 dolarów, co wprawdzie nie było sumą zawrotną na stosunki nowojorskie, ale stanowiło jego rekord życiowy. Poza tym mógł liczyć na jeszcze wyższe dochody. Pracował dużo, stale podwyższał swoje kwalifikacje, a jego bezpośredni przełożony, dyrektor do spraw reklamy, mówił o nim: „To moja prawa ręka”. Nie chodził do barów, gdzie spotykali się jego koledzy po fachu, by się upijać, nie uwodził dziewcząt w biurze. Był człowiekiem statecznym, kochającym swoją rodzinę. Miał uroczą żonę i ślicznego chłopczyka.

Podczas weekendów Joanna nie czuła się tak przytłoczona obowiązkami. Ted pomagał jej robić zakupy albo zabierał Billy’ego na spacer, więc miała trochę więcej czasu dla siebie. Niekiedy koledzy w biurze pytali go, jak się wychowuje dziecko w takim mieście jak Nowy Jork, a on odpowiadał, że doskonale, bo Nowy Jork to wspaniałe miasto i nie chciałby żyć nigdzie indziej. W tym samym czasie Joanna siedziała w domu i próbowała się czymś zająć, ale Billy jej nie pozwalał, bo żądał, żeby układała z nim klocki. Często walczyła ze snem o czwartej po południu albo z chęcią, by wypić kieliszek wina, przed piątą.

Z przyjaciółmi spotykali się regularnie, kolejno w każdym domu na kolacji. Do nich również przeniknęły hasła ruchu wyzwolenia kobiet, więc dyskutowano czasem o roli mężczyzn i kobiet, a niekiedy panowie wyręczali panie przy zmywaniu naczyń. Ted umawiał

się niekiedy ze starymi przyjaciółmi i razem chodzili na lunch; Joanna zapomniała o swojej starej paczce. Do kręgu jej znajomych dołączyła teraz Amy, była nauczycielka, poznana w parku. Rozmawiały oczywiście o dzieciach.

– Ted, chcę pracować.

– Jak to?

– Ja wariuję. Nie mogę stale przebywać w towarzystwie dwuletniego dziecka.

– Może byśmy kogoś do niego wzięli.

– Kilka wolnych popołudni w tygodniu to stanowczo za mało.

– Ależ kochanie, małym dzieciom potrzebna jest matka.

– Linda ma pracę. Wstaje z rana, wychodzi z domu, jest kimś. A ja sterczę z Billym, Jeremym i Cleo, która nie może się doczekać, żeby już sobie poszła, bo ona chce oglądać w telewizji „I tak kręci się świat”.

– Ty nie oglądasz?

– Nie żartuj.

– Czy wiesz już, co chciałabyś robić?

– To samo, co kiedyś.

– A to, co zarobisz, pójdzie na gosposię albo nianię. Sama wiesz, że z tego, co ja zarabiam, nic nie będziemy mogli dołożyć.

– My już i tak do tego wszystkiego dokładamy, ale tylko ja na tym tracę.

– Co ty wygadujesz? Jesteś wspaniałą matką. I masz cudownego chłopca.

– Billy interesuje mnie coraz mniej. Nudzą mnie jego idiotyczne zabawy, jego idiotyczne klocki. Podczas gdy ty rozmawiasz z ludźmi, ja siedzę na podłodze i buduję garaże.

– Masz naprawdę bardzo krótką pamięć. Przecież sama kiedyś mówiłaś, że ta praca cię męczy.

– No to znajdę sobie coś innego.

– Przecież nie możemy do tego dokładać.

– Już sobie coś znajdę. Znam się na reklamie i propagandzie.

– Byłaś tylko sekretarką, Joanno, niczym więcej.

– To nieprawda. Byłam asystentką...

– Tylko dla pucu. Faktycznie byłaś po prostu sekretarką.

– To, co mówisz, jest podłe.

– Bardzo żałuję, ale to prawda. Poza tym nie wyobrażam sobie, byś mogła narazić na szwank nasze dwuletnie dziecko tylko dlatego, że chcesz pracować jako sekretarka w jakimś biurze. Chyba już wyrosłaś z tego.

– Czyżby?

– Posłuchaj mnie, Joanno. Poczekajmy, aż on podrośnie i zacznie chodzić do szkoły od dziewiątej do trzeciej, może wtedy znajdziesz sobie jakąś pracę na pół etatu.

– Dziękuję za tę łaskę.

– Joanno, skąd się to wszystko bierze?

– Z dwóch lat nudy.

– Ciekaw jestem, jak sobie radzą inne matki.

– Nie wszystkie muszą sobie jakoś radzić. Niektóre pracują.

– No tak.

– Tak, co?

– Pozwól, że się zastanowię.

– Nie dam ci na to dużo czasu.

– Dziwne, co? Właśnie myślałem, żeby porozmawiać z tobą, czy nie powinniśmy sobie zafundować drugiego dziecka.

– Naprawdę? To bardzo ładnie z twojej strony.

– Ludzie mówią, że im dłużej się czeka, tym jest potem trudniej.

– Naprawdę?

– Chciałem powiedzieć...

– Nie chcę drugiego dziecka, Ted.

– Myślałem, że skoro jesteś taką wspaniałą matką, że skoro oboje jesteście takimi doskonałymi rodzicami...

– Nie zniosłabym tego po raz drugi. Boże mój, jeszcze jedna ciąża, poród, karmienie, pieluchy. To byłoby straszne.

– A mogłoby być bardzo zabawne. Przymocowalibyśmy dodatkowe siedzenie do twego roweru i wybieralibyśmy się razem na przejażdżki za miasto.

– A może byś sobie wypożyczył, Ted.

Oczywiście miała na myśli dziecko, a nie rower z dodatkowym siedzeniem. Joanna przypuszczała, że znajdzie zrozumienie u swojej nowej przyjaciółki, Amy. Wyłożyła jej wszystkie swoje żale: że nie panuje nad sytuacją, że dręczy ją nuda, że nie wie, co ze sobą począć. Okazało się jednak, że trafiła pod zły adres. Amy kochała dzieci, chciała być matką, chciała wrócić do szkoły i zajmować się dziećmi, gdy jej własne podrosną. Amy zgadzała się

z Tedem, że Joanna nudzi się, bo sama tego chce. Po tej rozmowie Joanna czuła się tak, jakby dostała dwóję ze sprawowania. A w końcu Amy, ta wzorowa matka, tak oddana rodzinie, zwierzyła się przyjaciółce, że ma kochanka. Był to żonaty mężczyzna, z zawodu psychiatra. Joanna nie należała do kobiet niedoświadczonych w tym względzie, ale po raz pierwszy zetknęła się z mężatką, która przyznaje się do kochanka, i to psychiatry.

– Czy im wolno robić takie rzeczy? – zapytała usiłując ukryć zakłopotanie.

Pożegnały się czule, jak dwie bratnie dusze, które zbliża do siebie wzajemna wymiana zwierzeń. Ale Joanna miała wrażenie, że kiepsko wyszła na tej wymianie. Nawiązać z kimś romans? Nie wierzyła, że to rozwiąże jej problemy. Przysporzy sobie tylko nowych kłopotów. Choć pomyśl, by wziąć kogoś do dziecka, by mieć więcej czasu dla siebie i poromansować trochę, wydawał się jej raczej zabawny.

Gdyby go ktoś o to zapytał, Ted odpowiedziałby zapewne, że ruch wyzwolenia kobiet ma jego pełne poparcie. Zawsze starał się „wykonywać swoje obowiązki partnerskie” na swój sposób i przed powrotem z pracy dzwonił do Joanny i pytał, czy nie kupić czegoś do domu. Dom był jednak na jej głowie. On oczywiście zajmował się czasem Billym, kąpał go, zabierał na spacer podczas weekendów. Ale ona dbała o to, żeby dziecko było zawsze odpowiednio ubrane, jadło jak należy, nie chorowało, normalnie rozwijało się fizycznie i umysłowo. To ona uczyła, jak się posługiwać nocniczką, jak się ubierać, rozbierać, kłaść spać. Ted był ojcem, ale najważniejszą osobą była ona – matka. Ted chciał pomóc. Czuł, że powinien pomagać. Ale na nic więcej nie było go stać. Główną rolę przy Billym odgrywała nadal Joanna.

Był to okres, kiedy rówieśnicy Billy’ego bawili się w parku takimi samymi zabawkami, potem uczyli się jeździć na takim samym rowerku, a teraz po skończeniu trzech lat szli do przedszkola. Ted twierdził oczywiście, że on poradził sobie wcale nieźle w życiu bez uczęszczania do przedszkola, które nota bene obecnie kosztowało tysiąc czterysta dolarów rocznie, co jest – trzeba przyznać – kupą forsy za to, by nauczyć trzyletniego brzdąca rysować i malować. Joanna jednak wiedziała, że w ten sposób pozbędzie się Billy’ego na kilka godzin dziennie. Skoro inne dzieci chodzą do przedszkola, wmawiała Tedowi, to Billy też powinien. Jeśli go nie pošłą, to zmarnuje swoje zdolności i tej straty już nigdy nie da się odrobić. Ted dał się w końcu przekonać i wypisał czek na odpowiednią sumę.

Dla Joanny była to jednak niewielka ulga. Czasem ubierał Billy’ego z rana i w drodze do pracy zawoził do przedszkola. Ale już o dwunastej Billy wracał do domu i wtedy znów

zaczynała się harówka. Jak twierdziły mamy, wszystkie trzylatki są takie same. Słaba to była jednak pociecha, kiedy musiała znosić jego kaprysy, przyrządzać mu kanapki z chleba, posmarowanego masłem fistaszkowym, w kształcie kwadratów, a nie trójkątów, podawać mleko w kubku z kłownem, a nie w szklance ze słonikiem, kupować coraz to inny papier na wycinanki, robić nowego hamburgera, bo ten, który mu podała, był za bardzo wypieczony. Musiała wysłuchiwać jego żalów, że Randy, kolega z przedszkola, ma żółty rower z dzwonkiem, a nie z klaksonem, nie mogła nic poradzić na to, że w dziesięć minut po wyjściu sprzątaczkę, której zapłaciła dwadzieścia dolarów za wyszorowanie podłogi, posadzka znów lepiała się od soku jabłkowego. I jeśli nawet Ted narzekał, że wszystko jest tak drogie, że interesy firmy idą słabo i czeka go obniżka pensji, to przynajmniej miał pracę i biuro, gdzie dyskutowano o kampaniach reklamowych, o kosztach ogłoszeń, wskaźnikach poczytności, i nie musiał zajmować się tylko ulubionymi bohaterami Billy'ego z kreskówek telewizyjnych czy ulegać jego dziecinny kaprysom. Był to zresztą słodki i śliczny dzieciak, co miało swój urok, ale nie rozwiązywało sprawy.

– Już idę, już idę. Jestem w łazience! Na miłość boską, nie możesz sam zdjąć z półki tego samochodu?

– Nie krzycz na mnie, mamusiu.

– Przestań beczeć, do jasnej cholery!

Billy płakał coraz głośniej, a ona brała go za rękę, tuliła do siebie, pocieszała, uspokajała. Ale jej nikt nie pocieszał.

## 4

Kiedy miała wystąpić w szkolnym przedstawieniu jako Królowa Śnieżka, dostała pokrzywki. Po wyborze na wice królową piękności podczas szkolnego balu dostała pokrzywki. Jej pierwszą randkę z Philipem, chłopakiem z Harvardu, też diabli wzięli z powodu pokrzywki. Mogła zawsze liczyć na rodziców, gdy chodziło o kupno wytwornego kaszmirowego swetra albo bransoletki – gdyby potrzebowała zaprezentować się w pełnej gali podczas szkolnej olimpiady – lub opłacenie komornego za mieszkanie w pierwszych latach jej pobytu w Nowym Jorku. Regularnie przysyłali jej czek. Już zaczynała podejrzewać, że ciąży na niej jakiś przekleństwo, bo w czasie jej trzeciego romansu z jakimś żonatym mężczyzną znów dostała pokrzywki. Gdy podczas rozmowy przez telefon matce nie podobał

się jej głos, przysyłała jej czek na dwadzieścia pięć dolarów, by sobie kupiła coś ładnego. Już tak zawsze było: każde napięcie powodowało pokrzywkę. W domu musiała ciągle mieć pod ręką lekarstwo.

Kiedy zaczęła uczyć się pisanania na maszynie i stenografii, od razu poczuła to okropne swędzenie skóry. Jej ciało pokryło się bąblami jak po ukąszeniu przez owady. Bąble po kilku dniach znikły, by po jakimś czasie znów się pojawić. Wiedziała, że powinna unikać stresów. Na jej biurku panował zawsze idealny porządek; nigdy nie miała zaległości, które by trzeba było nadrabiać w godzinach nadliczbowych. Ale też nie przepracowywała się i nie miała wygórowanych ambicji. Zadowalała się stanowiskiem sekretarki i cieszyła się, że jest dobrą sekretarką. Nie marzyła o wielkiej karierze zawodowej i nie zazdrościła ani grubej redaktorce o nerwowym apetycie, ani krótkowzrocznej akwizytorce mrużącej stale oczy. Było jej dobrze, nie chciała mieć pokrzywki.

– Co to takiego? – zapytał Ted. Stała rozebrana. Właśnie mieli zamiar się kochać, co nie zdarzało im się ostatnimi czasy często. Trzyletnie dziecko było tak absorbujące. A zresztą tak często oboje odczuwali zmęczenie.

– To nic. Chyba zjadłam za dużo owoców.

Okazało się, że najlepszym lekarstwem jest tenis. Po kilku godzinach na korcie pokrzywka zniknęła. A po kilku tygodniach dostała prawdziwej obsesji tenisowej. O to, by umiała grać, zadbali jej rodzice, kiedy chodziła jeszcze do szkoły. Uczyła się gry w tenisa tak samo, jak uczyła się gry na fortepianie i tańca. Podczas studiów grała regularnie imponującą techniką adoratorom ubiegającym się o jej względy. W Nowym Jorku nie odwiedzała często kortów; czasem sięgała po rakiety na wakacjach, i to też zanim poznała Teda. Z nim nie grywała wcale. Ted jeździł na rowerze i czasem chodził na swoje dawne boisko szkolne, by pograć z chłopakami w koszykówkę. Z każdej takiej eskapady wracał zmęczony i zaspany wspominając dawne sukcesy sportowe odnoszone w latach młodości w Bronxie. Amy wyznała, że gra trochę w tenisa, więc obie z Joanną wykupiły sobie abonament na korty w Central Parku. Początkowo grywały raz w tygodniu, gdy dzieciaki przebywały w przedszkolu, potem dwa razy w tygodniu. W końcu Joanna postanowiła w środy brać lekcje gry u trenera z prawdziwego zdarzenia. Cieszyła się jak dziecko z każdej udanej piłki, smuciła z powodu kiksów, każda chwila spędzona na korcie odciskała się w jej pamięci, absorbowała jej myśli w dzień i w nocy. Zaczęła oglądać mecze tenisowe w telewizji, grała coraz lepiej i wygrywała łatwo z Amy. Dzięki tenisowi przetrwała dość znośnie wiosnę.



Ted musiał zgodzić się na dziesięcioprocentową obniżkę pensji i na skrócony do jednego tygodnia urlop, bo interesy firmy szły coraz gorzej. Joanna ciągle powtarzała, że jeśli będzie musiała codziennie spędzać z Billym przedpołudnie na pustym placu zabaw pod prażącym letnim nowojorskim słońcem, to jej mózg wyparuje. Ted okazał się wyrozumiały, postanowili więc znaleźć pieniądze, by móc wysłać Billy'ego na obóz wakacyjny dla przedszkolaków! Swój wyjazd za miasto na tygodniowy urlop odłożyli na sierpień. Za to Joanna musiała zrezygnować z lekcji gry w tenisa. Grała jednak dalej regularnie i wraz z Amy i dwiema innymi kobietami, których dzieci chodziły do tego samego przedszkola co Billy, wprawiała się w deblu. Była opalona, smukła i wyglądała ślicznie w białym stroju tenisowym, w długich skarpetkach i z włosami przewiązаныmi elegancką chusteczką. Na pierwszy rzut oka można było sądzić, że jest zadowolona z życia, że należy do tych, co zawsze wygrywają, choćby się nie wiadomo do czego brali.

Mężczyźni prosili ją, by z nimi zagrała. Chętnie godzili się na grę o klasę niżej w zamian za towarzyski awans z ładną dziewczyną. Ona zaś oddawała się marzeniom o romansach z przystojnymi chłopakami o rozgrzanych, pachnących potem, muskularnych ciałach.

Ten tydzień sierpniowych wakacji dłużył jej się niemiłosiernie. Ted chciał, by rozmawiała z nim o jego pracy i jej perspektywach. Joanna rozumiała, że Ted przeżywa ciężkie chwile, ale dla niej okres ten też nie był lekki. Dlaczegoż by więc nie mieli rozmawiać o niej? Zresztą czy można w ogóle rozmawiać w inteligentny sposób o tak trywialnych sprawach? Myśl o tych wszystkich szczegółach męczyła ją. Dlaczego Ted tego nie pojmował?

Wynajęli niedrogie mieszkanie w Hampton Bays, miejscowości wakacyjnej odwiedzanej przez średnio zamożnych ludzi. W reklamowej broszurce wszystko przedstawiało się okazale, ale w rzeczywistości było tam za dużo łodzi, za dużo rybaków i za dużo komarów. W tym obcym środowisku, w otoczeniu starszych od siebie dzieci Billy nie czuł się dobrze i nie odstępował Joanny na krok.

– Billy, idź się bawić!

– Nie wiem w co. Nie mogę się zdecydować.

Nie wiedział w co. Nie mógł się zdecydować. Joanna zadawała sobie pytanie, skąd u trzyletniego dziecka takie słowa. Był taki mądry, taki śliczny.

– Idź, popływaj trochę.

– Na Boga, kochanie, przecież on nie umie pływać.

– No to idź z nim do wody i naucz go. Chcę odpocząć. Ja też mam prawo do odpoczynku.

Ted i Billy poszli pluskać się w wodzie. Joanna przysięgała sobie, że już nigdy nie poświęci swoich wakacji, że nie pojedzie już nigdy tam, gdzie nie można grać w tenisa.

Ted znalazł w końcu jakieś korty. Miejskowy klub tenisowy wynajmował osobom postronnym kort na godziny w ciągu tygodnia, co więcej, na miejscu można było oddać Billy'ego pod opiekę wykwalifikowanej osoby. A więc nareszcie będą mogli grać razem. Ona zabrała ze sobą raketę, on mógł wypożyczyć raketę w klubie. Nie miał wprawdzie złudzeń co do swoich umiejętności, ale ostatecznie przecież byli na wakacjach. Czyż nie miał prawa liczyć na to, że Joanna poświęci mu godzinkę i nauczy grać w tenisa?

Dla niej ta godzinka trwała całą wieczność. Ted tylko kilka razy w życiu trzymał raketę w ręce. Na korcie zachowywał się jak niedźwiedź. Na nieszczęście tak się jakoś złożyło, że grali obok dwóch par niezłych tenisistów rozgrywających mieszane debla. Ted ciągle przeszkadzał im w grze, ciągle zapominał, że nie powinien wkraczać na ich kort po swoją piłkę, spóźniał się z oddawaniem piłek, które przypadkowo wpadały na jego kort. Billy wymykał się spod kontroli, podchodził do ogrodzenia kortu, wpatrywał się w rodziców swoimi dużymi, ciemnymi, smutnymi oczami i prosił o sok jabłkowy, bo w bufecie mieli tylko lemoniadę, a on nienawidził lemoniady. Joanna kazała mu wracać do opiekunki. Tymczasem Ted przerzucił piłkę przez ogrodzenie i zaserwował piłką, która wpadła z sąsiedniego kortu. Jeszcze nigdy nie czuła się tak upokorzona. Wstydziała się za swego męża, który zachowywał się jak gbur. Tej nocy, kiedy wziął ją w ramiona, oddała mu się, ale bez miłości i rozkoszy.

Następnego dnia, a był to na szczęście ostatni dzień ich wakacji, Joanna zostawiła Teda z Billym przy basenie i wyruszyła na samotny spacer wzdłuż morza. Zmęczona usiadła na kamieniu i zaczęła wpatrywać się w oleistą wodę zatoki.

Czy zauważyli, że jej nie ma? Czy ich to w ogóle obchodziło, gdzie jest, co robi? Jej samej było wszystko jedno. Mogła tu siedzieć godzinami i wcale by się nie stęskniła za nimi. Natychmiast po powrocie do Nowego Jorku zadzwoni do Amy i umówi się z nią na tenisa na poniedziałek rano. Takich nieudanych wakacji nie miała jeszcze nigdy. Był to w ogóle najpodlejszy tydzień w jej życiu. Do brzegu przycumowane były łódki. Znalazła jedną suchą i spuściła ją na wodę. Przez chwilę wiosłowała, potem złożyła wiosła i dryfowała z prądem. Co chwila przejeżdżały obok niej motorówki wprawiając w ruch fale, które ją podrzucały do góry zmuszając do posługiwania się wiosłami. Myślami wróciła ku przeszłości. Kiedy było jej naprawdę dobrze? Gdy chodziła do gimnazjum? Czy też gdy Vicky Cole się wściekała, że Marty Russell woli Joannę? Wtedy gdy odczuwała prawdziwą dumę ze swej urody? Gdzie oni są teraz, Vicky, Marty...? A może Vicky też gdzieś wiosłuje zastanawiając się nad tym, co

się stało z Joanną? Na uniwersytecie też nie było najgorzej. Pierwszy rok w Nowym Jorku był dość ciekawy, potem bywało się raz na wozie, raz pod wozem, ale w sumie wolała to, co było, niż to, co jest. Teraz zżerała ją nuda, a gorsze od nudy były tylko napięcia i kłopoty, jakie sprawiał Billy. Zresztą to też stawało się w końcu nudne. Nudził ją Ted i te wakacje, które miały być ucieczką przed nudą, też były nudne. Miała ochotę wskoczyć do wody. To lepsze niż odkręcić gaz. Ale kto by kończył ze sobą w ten sposób w taki upalny dzień? A zresztą żal jej było rodziców. Na pewno by rozpaczali i postarali się, żeby miała pogrzeb pierwszej klasy. A Billy? Na pewno by odetchnął. Nikt by już nie krzychał na niego. Ted też by sobie doskonale poradził. Po dwóch latach ożeniłby się z jakąś tęgą babką z Bronxu, która karmiłaby go zdrowo i okręciłaby go sobie wokół palca, udając, że jest najlepszą z żon.

Kiedy przyплыnęła do brzegu, Ted z Billym łowili małe rybki do butelki po mleku uwiązanej na sznurku. W ogóle nie spostrzegli że jej nie ma.

– Byłam dzisiaj u Waltera.

– Po co?

– Żeby pogadać z ludźmi, żeby się rozejrzeć.

– No i co?

– Nic.

– Oczywiście. To było do przewidzenia. Czasy są trudne. Ja sam musiałem się pogodzić z obniżką pensji.

– Ale wezmą pod uwagę moją kandydaturę, jak się coś nadarzy.

– Joanna!

– Przecież chciałam się tylko zorientować. O co mnie posądzasz?

– Słuchaj, jeśli chcesz, żebyśmy na ten temat porozmawiali, to rozmawiajmy. Ile zarabiałaś, kiedy od nich odchodziłaś? Sto siedemdziesiąt pięć dolarów tygodniowo? Załóżmy, że jak wrócisz, dadzą ci tyle samo. Ile dostaniesz na rękę? Może sto trzydzieści. A ile kosztuje gospodarstwo?

– Sto dolarów tygodniowo.

– Jeśli nam się poszczęści i znajdziemy kogoś za taką cenę. A więc zostanie ci trzydzieści dolarów tygodniowo. Od tego odlicz dwanaście dolarów na lunch na mieście, pięć dolarów za przejazdy i trzy dolary za kawę, herbatę i coś do przegryzienia między posiłkami, co daje razem dwadzieścia dolarów tygodniowo. Twoja praca przyniesie ci zatem na czysto dziesięć dolarów, i za te pieniądze będziesz musiała kupować sobie jeszcze ubranie,

żeby móc pójść do pracy. Czy to ma sens? Przecież będziesz musiała do tego dołożyć.

– Nie chodzi o pieniądze.

– Właśnie że chodzi o pieniądze. Nie stać nas na to, byś mogła pójść do pracy.

– Muszę się czymś zająć.

– Masz Billy’ego. Jemu potrzebny jest dom z prawdziwego zdarzenia. Daj spokój, Joanno. Poczekaj jeszcze kilka lat. Mogłabyś poświęcić dziecko?

Pod każdym innym względem Ted był wyrozumiały, a nawet bardziej wyrozumiały niż inni mężowie w ich środowisku. Zabierał Bill’ego na spacer do parku, przygotowywał czasem posiłki złożone z prostych dań, które nauczył się przyrządzać w kawalerskich czasach. Pomagał w gospodarstwie bardziej niż jego ojciec lub inni mężowie jego pokolenia. Ale gdy szło o Joanny pracę, był nieubłagany.

Czasem wracała jeszcze do tej sprawy, ale za każdym razem bezskutecznie.

– Słuchaj, kochanie – mówił Ted – rozważmy problem drugiego dziecka i będziemy mieli sprawę z głowy.

– Nie licz na mnie – odpowiadała Joanna. – Idę spać.

Robiła zakupy, gotowała, sprawiała sobie nowe ciuchy, odprowadzała i przyprowadzała Billy’ego z przedszkola i grała w tenisa. I tak mijał czas, powoli, ale nieubłaganie. Nie zdążyła się obejrzeć, a już miała trzydzieści dwa lata i była matką czteroletniego chłopczyka. Najszczęśliwsza w ciągu dnia była wtedy, kiedy Billy kładł się do łóżka, zasypiał spokojnie i mogła wreszcie odetchnąć od jego kaprysów.

W prasie i czasopiśmie roilo się od artykułów opisujących podobne sytuacje. Pocieszała się, że nie jest potworem. Inne matki, w każdym bądź razie niektóre z nich, czuły to samo co ona. Rola matki, to siedzenie w domu, nie było łatwe. Nudziła się i miała prawo się buntować. I nie była w tym osamotniona. Nowy Jork aż trzeszczał od takich prowincjuszek jak ona, Thelma czy Amy, spędzających swój czas na wyczekiwaniu, żeby dzieci podrosły, i dzielących swój czas między kuchnię, plac zabaw dziecięcych i przedszkole.

Ted wiedział, że Joannę trawi niepokój. Wierzył, że jej pomaga zajmując się domem. Rozmawiał z innymi mężami: Marv, ten z „Newsweeka”, zwierzył mu się, że jego małżeństwo przeżywa kryzys i że większość małżeństw nie jest w lepszej sytuacji. Powiedział Tedowi, że przeprowadzają się na przedmieście i spróbują zacząć wszystko od nowa. Bezpośredni szef Teda, Jim O’Connor, żonaty od dwudziestu trzech lat, mędrzec zalewający się szkocką od wczesnych godzin południowych, miał gotową odpowiedź: „Kobiety to kobiety. Nic na to nie poradzisz”. Między Tedem a Joanną nieczęsto dochodziło do kłótni, ale

dzielił ich jakiś chłód. Czasem ogarniała ją chandra, zmęczenie, nie miała ochoty na seks. I jemu też podobne nastroje nie były obce. Oboje uginali się pod tym samym ciężarem.

Ted zaprosił swego przyjaciela, Charliego, na lunch. Po raz pierwszy spotykali się sami, bez świadków i nie musieli rozmawiać o dzieciach. Charlie był dentystą, należał do kategorii solidnych obywateli. Wysłuchawszy Teda, pokiwał głową i wyznał mu, że od dwóch lat sypia z pielęgniarką, którą zatrudnia w swoim gabinecie.

A więc Ted miał prawo żywić przekonanie, że jego małżeństwo nie jest gorsze od innych. Czasem tylko zastanawiał się, czy jej chłód nie był z jego winy. Ciągłe zaabsorbowany swoją pracą, nie poświęcał jej chyba tyle uwagi, ile należałoby. Przecież była wciąż piękna. Uważał, że powinni mieć drugie dziecko; to by ich do siebie zbliżyło, znów staliby się sobie tak potrzebni jak wtedy, gdy urodził się Billy. Nie powinni tego odkładać na później. Ted, Joanna, Billy i jeszcze jedno dziecko, to by dopiero była prawdziwa rodzina, jak z obrazka. Pierwsze lata nie będą łatwe, ale z biegiem czasu będzie lżej. Zresztą mieli już doświadczenie, a to nie jest bez znaczenia. A gdyby uporali się z tym wszystkim szybko, to za kilka lat mogliby cieszyć się prawdziwym szczęściem rodzinnym. On, a obok niego żona i dwoje uroczych dzieci. Szczęśliwy ojciec i mąż w swoim małym świątku. Cóż z tego, że nie grzeszy urodą, coś z tego, że przeżył lata frustracji pod ojcowskim dachem, lata walki i pracy, by do czegoś dojść. Nareszcie posiadałby coś, co mógłby naprawdę uważać za swoje.

– Mamusiu, kup mi nowy obrus z Piggy.

– Tak, Billy.

– Chcę mieć taki kapelusz jak Kim. Wszystkie dzieci mają takie kapelusze.

– Dobrze.

– Zapisz sobie, żebyś nie zapomniała.

– Już zapisuję. Nowy obrus z Piggy i nowy kapelusz.

– Taki, jaki nosi Kim.

– Widzisz, już zapisałam.

– Kupisz mi tort?

– Oczywiście. To też zapisałam.

– Na pewno?

– Sam zobacz. Widzisz, tu jest literka „k” na kapelusz, a to jest litera „t” na tort.

– Czy mogę dostać tort z Myszka Miki?

– Nie wiem, czy sklep, w którym kupuję ciastka, robi torty z Myszka Miki.

– Bardzo proszę, mamusiu. Ja kocham Myszkę Miki.

– Zobaczymy, czy w tym sklepie jest Myszka Miki. Jeśli nie, to spróbujemy w innym.

A jeśli i tam nie znajdziemy, to może kupimy tort z Kaczorem Donaldem.

– Kaczor Donald też jest dobry. Ale ja wolę Myszkę Miki.

– To już wiem.

– Kończę cztery lata, mamusiu. Już jestem duży, prawda?

Miała właśnie urządzić przyjęcie dla dziesięciorga czterolatków. Wszyscy byli z tej samej co Billy grupy w przedszkolu i ich urodziny przypadły mniej więcej w tym samym czasie. Billy chodził na ich przyjęcia urodzinowe, a teraz oni mieli przyjść na jego urodziny. Joanna i Billy układali razem jadłospis. Billy uważał, że jego przyjęcie powinno być „bombowe”, co oznaczało, że będzie pizza, dużo napojów chłodzących i tort z lodami. Tort z Myszka Miki udało im się kupić w pobliskim sklepie. Joanna przygotowała małe koszyczki ze słodyczami i kupiła drobne prezenciki dla każdego z zaproszonych dzieci. Przypomniały jej się czasy, kiedy zorganizowała eleganckie wieczorne przyjęcie w jednym z salonów dużego nowojorskiego hotelu dla wyższych urzędników agencji, w której pracowała, i ich żon. Billy miał dostać „Małego majsterkowicza”, wielki zestaw różnych elementów i narzędzi, doskonały prezent dla dużego chłopca od kochających rodziców. Znalazła pasujące do koloru obrusa papierowe talerze i serwetki. Wszystko zostało przygotowane na medal i pewnej kwietniowej niedzieli zwały się maluchy i wywróciły całe mieszkanie do góry nogami. Mimi Aronson, mająca alergię na czekoladę, po zjedzeniu kawałka Myszki Miki zwróciła cały podwieczorek, a Joanna Kramer poczuła, że znów dostaje pokrzywki.

– Ted, przestań się bawić tym samochodzikiem. Trzeba sprzątać ten bałagan.

– Nie bawię się. Chcę mu się tylko bliżej przyjrzeć. Nie bądź taka spięta.

– Jest już prawie jedenasta i chciałabym się położyć.

– No to się połóż. Ja wszystko uporządkuję.

– Nie trzeba. Twoje sprzątanie i tak nie jest wiele warte.

– Całe szczęście, że nie jestem sprzątaczką.

– Nie musisz być, bo ja nią jestem.

– Kochanie, pomyśl raczej o przyjemnych stronach tego wieczoru. To było naprawdę wspaniałe przyjęcie.

– Po tym jak się napracowałam, nie mogło być inaczej.

– Posłuchaj mnie...

– Tobie się zdaje, że to się robi samo, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Na przygotowanie tego cholernego balu straciłam trzy dni.

– Billy był naprawdę szczęśliwy.

– Wiem. Miał tort z Myszka Miki.

– Joanno...

– Tak. Jestem niezastąpiona, jeśli chodzi o urządzenie przyjęć dla dzieci. Nikt mi w tym nie może dorównać. To moja specjalność.

– Chodźmy spać.

– Oczywiście, chodźmy spać. A ten cały bałagan może poczekać do jutra. W domu pozostaje twoja kochana żona i zajmie się sprzątaniami.

Położyli się i zasnęli nie powiedziawszy do siebie słowa. W nocy Joanna wstała z łóżka i poszła do pokoju Billy'ego. Billy spał ze swoimi ludzikami – tak nazywał misia, psa i szmacianą lalkę. Na podłodze leżały prezenty, które otrzymał tego dnia: „Mały majsterkowicz”, domino, ciężarówka, komplet do gry w kręgle. To był jego dzień. Zasłużył na to, bo skończył cztery lata. Chciała go obudzić i powiedzieć mu: kochanie, nie miej czterech lat, miej roczek, zaczniemy wszystko od początku, będziemy się razem bawić, śmiać się, nie będę krzyżeć na ciebie, nie będziemy sobie dokuczać, będę cię tulić do siebie, całować, będę cię kochać bardzo, bardzo mocno i nie będzie już tak strasznie, jak skończysz dwa latka, i będę twoją ukochaną mamusią, a kiedy skończysz trzy latka, będzie wspaniale, a kiedy skończysz cztery, będziesz moim małym mężczyzną, będziemy spacerować trzymając się za ręce, rozmawiać o różnych sprawach, nie będę idealna, bo nie mogę być idealna, ale nie będę zła, Billy, już nigdy nie będę niedobra, będę się starać, będę cię kochać i będzie nam dobrze razem, naprawdę będę się starać. Gdybyśmy tylko mogli wszystko zacząć od nowa, Billy. Łzy spływały jej po policzkach. Przeszła do kuchni, by go tym płaczem nie obudzić.

Zaczęła stawiać sobie stopnie z zachowania. Za każdym razem, gdy się zdenerwowała i była zła na Billy'ego, co w końcu było nie do uniknięcia, jeśli się uwzględni kłopoty związane z ciągłym przebywaniem z czteroletnim chłopcem, uważała, że jest złą matką, że jest niedobra dla swego dziecka, a od tego był już tylko niewielki krok, by uznać, że nie miała w tym wina samego Billy'ego. Z coraz większym krytycyzmem odnosiła się również do zachowania Teda. Za każdym razem, gdy robił coś nie tak jak trzeba, gdy na przykład zostawił koszulę na krześle, oskarżała go o niechlujstwo, prostactwo, czemu zresztą trudno się było dziwić, skoro pochodził z Bronxu. Jeśli mówił o swojej pracy, był to dowód gadulstwa. Cokolwiek robił, by jej pomóc, cały dom był nadal na jej głowie, a w tej dziedzinie wymagania jej były nieubłagane. Na nią spadały wszystkie obowiązki, wszystkie prace w

gospodarstwie. Każda zaś czynność, codzienne zakupy, nawet założenie od czasu do czasu rolki papieru toaletowego, stawało się osobistą obelgą i poniżeniem. A te prośzone kolacje, które urządzało się tylko dlatego, że na nich przypadła kolej, były prawdziwą udręką; to ona musiała zajmować się przygotowaniami, ustalać menu, robić zakupy, gotować. Ted podawał drinki – też mi wysiłek! – a Billy jak zwykle przeszkadzał budząc się ze snu i domagając się szklanki soku jabłkowego. A zresztą czy to wszystko w ogóle obchodziło Teda? To spływało po nim jak woda. Cały nawał spraw i kłopotów spadał na jej barki. To ona musiała się martwić, jak przeżyć każdy dzień. Tym razem, pokrzywka nie mijała tak szybko. Nie mogła zasnąć i leżała w łóżku drapiąc się do krwi.

Na domiar złego musiała jeszcze znosić wynurzenia Teda i jego sentymentalizm. Przyznawał, że z początku, gdy dowiedział się, że ma zostać ojcem, nie czuł entuzjazmu. Ale teraz wiedział już, co to znaczy być matką. Przynurzał, że nie będzie szczędził sił, by jej pomóc. Chciał, żeby wiedziała, że on też zdaje sobie sprawę z tego, że nie jest im łatwo, ale co to wszystko znaczy w porównaniu z więzią, jaką stwarza dziecko.

– Pamiętasz tę wspaniałą chwilę, kiedy urodził się Billy i kiedy trzymałem cię za rękę dodając otuchy?

– Naprawdę?

– Oczywiście! Trzymałem cię, a ty starałaś się przeć.

– Naprawdę tak było? Wcale sobie nie przypominam, żebyś był przy mnie.

Ted nie dał się zbić z tropu.

– Joanna, świetnie dajemy sobie radę z dzieckiem.

– Tak, Ted, jesteś dobrym ojcem.

Wierzyła w to, co mówiła. Ted był naprawdę bardzo dobry dla Billy'ego. Ale o co mu chodziło? Czyżby chciał ją namówić na drugie dziecko? Jak mógł? Czowała się osaczona. I do tego jeszcze to nieznośne swędzenie.

Z początku chciała zostawić mu list. Miała dość czasu, by uporządkować swe myśli. Zastanawiała się nawet nad tym, czy napisać ten list odręcznie, co by nadawało mu bardziej osobisty charakter, czy też napisać go na maszynie, co byłoby bardziej czytelne, ale mniej osobiste. Rozważała również ewentualność wysłania listu pocztą po odejściu, oczywiście bez podania adresu nadawcy. Ale w końcu doszła do wniosku, że Ted zasługuje na coś więcej, że powinna się zdobyć na szczerą rozmowę.

Billy poszedł już spać ze swoimi ludek. Ona i Ted mieli właśnie zebrać talerze ze



stołu po kolacji, która składała się z hamburgerów. Były to już trzydzieste hamburgery w tym roku.

– Ted, odchodzę od ciebie.

– Co takiego?

– Duszę się tutaj.

– Nie rozumiem.

– Powiedziałam, że odchodzę od ciebie.

– Że co?

– Wiem, że trudno ci to zrozumieć. Zacznę jeszcze raz od początku. Ted, opuszczam cię. Czy to jasne?

– Chyba żartujesz.

– Nie mam głowy do żartów.

– Joanno!

– Koniec z naszym małżeństwem.

– Nie wierzę.

– Więc uwierz wreszcie.

– Przecież jeszcze niedawno mówiliśmy o tym, żeby mieć drugie dziecko.

– To ty mówiłeś o tym.

– Joanno, wiem, że mamy problemy. Ale przecież wszyscy mają problemy.

– Mnie wszyscy nic a nic nie obchodzą.

– W porównaniu z innymi małżeństwami nie kłócimy się znów tak często.

– Nic nas nie łączy. Nic prócz rachunków, przyjęć, wspólnych kolacji i odrobiny seksu.

– Naprawdę nie pojmuję.

– Nie musisz. Nie zależy mi na tym.

– O co ci chodzi, na miłość boską? Co ja takiego zrobiłem?

– Kobieta powinna być sobą, mieć swą osobowość.

– Zgoda. Ale co z tego?

– Duszę się tutaj. Muszę się stąd wyrwać.

– To szaleństwo. Nie zgadzam się.

– Czyżby?

– Nie pozwolę ci.

– Naprawdę? Za pięć minut mnie już tu nie będzie, czy się zgadzasz, czy nie.

– Nie zrobisz tego w ten sposób, Joanno. Nie w ten sposób.

– Dlaczego nie?

– Bo przedtem próbuje się innych rzeczy. Powinniśmy z kimś porozmawiać, poradzić się kogoś.

– Nie nabierzesz mnie na doradców małżeńskich. To są przeważnie zamożni ludzie, osobiście zainteresowani w umacnianiu trwałości instytucji małżeństwa.

– Co ty wygadujesz?

– Już ci powiedziałam. Muszę z tym zerwać i moja decyzja jest nieodwołalna.

– Joanno!

– Każda feministka przyzna mi rację.

– Co to znowu za feministki?! Nie widzę żadnych feministek!

– Odchodzę, Ted.

– Dokąd?

– Nie wiem.

– Nawet nie wiesz dokąd?

– To nie ma znaczenia.

– Jak to?

– Powtarzam: to nieważne. Rozumiesz?

– Joanno, takie rzeczy mogą zdarzyć się innym ludziom, ale nie nam. I nie w ten sposób. Nie można tak odchodzić bez słowa wyjaśnienia.

– Co to ma za znaczenie? Chciałam zostawić ci list. Może to byłoby lepsze!

– Dość tych żartów, Joanno! Czy ty myślisz, że jesteś w szkole i zrywasz ze swoim adoratorem? Jesteś moją żoną!

– Nie kocham cię, Ted. I nienawidzę życia, jakie prowadzę. Nie mogę tak dłużej żyć. Nie wytrzymam tego.

– Joanno!

– Nie zostanę tutaj ani dnia, ani chwili dłużej.

– Znajdę kogoś, może jakiegoś lekarza. Przecież musi być rozsądniejszy sposób załatwienia tej sprawy.

– Nie rozumiesz mnie, Ted. Nigdy nie chciałeś zrozumieć, co do ciebie mówię. Odchodzę, Ted. Mnie tu już nie ma.

– Posłuchaj, Joanno, wiem, że czasem za bardzo pochłaniała mnie moja praca. Tak jest, za dużo myślałam o biurze. Przepraszam cię za to.

– Ted, nie o to chodzi. To nie ma nic wspólnego z tobą. Tu chodzi o mnie. Nie mogę tak dłużej żyć. Muszę z tym skończyć. Muszę sobie znaleźć nowe miejsce dla siebie.

– Więc co powinniśmy zrobić? Jak mamy to załatwić? Mam się wyprowadzić? Może jest inny mężczyzna? Może on się tu wprowadzi?

– Ty naprawdę nic nie rozumiesz.

– A więc wszystko dokładnie obmyślałaś, co? Jeśli tak, to powiedz mi, do jasnej cholery, co powinniśmy zrobić?!

– To proste. Jestem spakowana. Zabieram swoje walizki, dwa tysiące dolarów z naszego wspólnego konta i odchodzę.

– A więc odchodzisz. A co z Billym? Czy mam go obudzić? Jego rzeczy też spakowałaś?

Po raz pierwszy od początku tej rozmowy zawahała się.

– Nie... ja... ja nie chcę Billy'ego. Nie biorę go ze sobą. Będzie mu lepiej beze mnie.

– Na miłość boską, Joanno!

Nie mogła wydobyć z siebie słowa. Weszła do sypialni, wzięła walizkę i torbę z rakietami tenisowymi, podeszła do drzwi wyjściowych, otworzyła je i wyszła na klatkę schodową. Ted stał bez ruchu, przyglądając się jej. Był oszołomiony. Wierzył głęboko, że za godzinę Joanna wróci do domu.

## 5

Zasnął około piątej nad ranem zrozumiawszy w końcu, że nie usłyszy zgrzytu klucza wkładanego do zamka, że nie zadzwoni telefon, że nie rozlegnie się głos błagający o przebaczenie, że Joanna nie powie mu: „Ted, zaraz wracam, kocham cię”. Piętnaście po siódmej obudziły go jakieś dźwięki. W pierwszej chwili nie wiedział, co się dzieje. Czyżby to była Joanna? Nie. To był Batman i Robin; budzik Billy'ego z nagranych głosami obu bohaterów: „Do dzieła, Batmanie, jesteście znów potrzebni”. „Tak jest, Robinie. Musimy obudzić naszych przyjaciół”. Po co? Od czego zacząć? Teraz wszystko było na jego głowie. Trzeba będzie powiedzieć coś Billy'emu. Ale co?

– Gdzie mamusia? – To pytanie było oczywiście nieuniknione, ale padło wcześniej, niż się spodziewał.

– Wczoraj wieczorem tatuś i mamusia pokłócili się... – Ledwo wypowiedział te słowa, a już zaczęły targać nim wątpliwości. Czyżby to była naprawdę kłótnia? – No i mamusia postanowiła wyjechać na jakiś czas, żeby móc wyładować swoją złość. Sam wiesz, jak to jest.

Jak się człowiek zdenerwuje, to zamyka się w swoim pokoju i nie chce, żeby ktokolwiek do niego wchodził.

– Ja byłem zły, jak mamusia nie chciała mi dać ciasteczka.

– No widzisz.

– I zatrzaskałem drzwi, i nie pozwoliłem jej wejść.

– No właśnie. Mamusia jest zła na tatusia i chce być przez jakiś czas sama.

– Aha.

– Dzisiaj ja zaprowadzę cię do przedszkola.

– Aha. A kiedy mamusia wróci?

– Nie wiem.

– Czy ona odbierze mnie z przedszkola?

Tak zaczął się dzień. Od razu wyłoniły się komplikacje.

– Nie. Ja przyjdę po ciebie albo Thelma.

Ted pomógł Billy’emu ubrać się, potem zrobił śniadanie i zaprowadził małego do przedszkola. Tego dnia dzieci miały iść do cyrku, a więc nie trzeba się było martwić o niego. Przez jakiś czas będzie szczęśliwy i nie będzie myślał o swoich rodzicach. Ted nie wiedział, czy ma siedzieć przy telefonie, czy iść do pracy, zawiadomić policję, wyładować na kimś swą złość, kopać opony zaparkowanych samochodów czy też zamówić kogoś do Billy’ego na wieczór. Jeszcze nie mógł uwierzyć, że opuściła go żona. To było nie do wyobrażenia.

Kłamanie zawsze przychodziło mu z dużym trudem. Nigdy nie udawał chorego, żeby sobie przedłużyć weekend. Zawsze wierzył, że kłamią tylko ludzie źli, a on chciał być dobrym człowiekiem. Nawet teraz, kiedy wiedział, że nie mógłby pokazać się w biurze, nie chciał splamić się kłamstwem. Ale przecież nie dzwonił się do szefa i nie zawiadamia go takim samym tonem, jakby chodziło o przeziębienie: „Nie przyjdę dzisiaj, bo porzuciła mnie żona”. Zatelefonował więc do swojej sekretarki:

– Powiedz Jimowi, że nie czuję się dobrze.

Odpowiadało to prawdzie.

– Co się stało? – zapytała go.

– Nie wiem dokładnie. – I to też było prawdą, do pewnego stopnia. Nie mógł skłamać swojej sekretarce, mówiąc, że jest chory, ale bez trudu okłamywał siebie, wmawiając sobie, że jego małżeństwo z Joanną jest trwałe i szczęśliwe.

Zatelefonował do Thelmy i poprosił, żeby odebrała Billy’ego z przedszkola i zatrzymała go u siebie. Niech się bawi razem z jej córeczką Kim i niech zje u nich kolację. Thelma chętnie się zgodziła, ale zapytała, co się stało. Ted obiecał wyjaśnić jej to później.

Miał teraz czas do siódmej wieczorem i mógł czekać spokojnie na powrót Joanny. Wierzył, że wróci, że wszystko sobie wybaczą.

Wydawało mu się, że najlepiej byłoby zwierzyć się przyjacielowi. Zadzwoić i powiedzieć: „Pomóż, przydarzyła mi się przykra historia. Trudno uwierzyć, ale...” Cóż, kiedy nie wiedział, do kogo dzwonić. Nagle uświadomił sobie, jak bardzo odizolował się od wszystkich, odkąd założył rodzinę. Prawdę mówiąc, nie miał przyjaciół. Uczestniczył w przyjęciach i kolacjach, ale nie miał nikogo bliskiego. Owszem, był dentysta, Charlie, ale ten nie słuchał, co się do niego mówiło, i wołał opowiadać z dumą o swoich konkwistach i wyczynach na fotelu dentystycznym. Marva, który pracował w „Newsweeku”, trudno było zaliczyć do przyjaciół. Z Danem spotykał się na meczach. Z nim można było tylko rozmawiać o zaletach i wadach poszczególnych graczy baseballu. Z Larrym nie widział się od czasów wspólnych eskapad na Fire Island. Wiedział o nim tylko tyle, że wciąż podrywa autostopowiczki. Kupił sobie nowy samochód; wybrał model combi, żeby mieć dużo przestrzeni. Ze swym bratem, Ralphem, Ted nie utrzymywał nigdy bliskich stosunków. Zresztą Ralph mieszkał w Chicago i widywali się tylko wtedy, kiedy przyjeżdżał do Nowego Jorku. Nie mieli wspólnych zainteresowań i porozumiewali się raz do roku, kiedy chodziło o kupno prezentu urodzinowego dla rodziców. Ralph pozostał starszym bratem, któremu się powiodło w życiu: zrobił majątek na handlu winem i spirytualiami i był daleko. Kiedyś Ted miał kolegów i przyjaciół w dzielnicy, gdzie mieszkał, potem byli współtowarzysze nauki w college’u, potem przygodni znajomi, bliżsi i dalsi, z którymi zetknął się w pracy, ale wszyscy gdzieś się ulotnili. Teraz obracał się w kręgu podobnych do swego małżeństw i prawdę mówiąc z nikim nie rozmawiał od serca.

Ale czuł, że musi się komuś zwierzyć, więc zadzwonił do Larry’ego. Dopadł go w końcu w firmie „Kupno i Sprzedaż Nieruchomości”, gdzie Larry właśnie pracował.

– Ted, chłopie, jak się masz?

– Nie bardzo. Joanna mnie rzuciła. Po prostu wyszła z domu i pozostawiła mnie samego z dzieciakiem.

– Dlaczego, człowieku?

– Nie mam pojęcia.

– Jakie masz plany?

– Nie mam żadnych.

– Gdzie ona jest?

– Nie wiem.

– Tak nagle z tobą zerwała?

- Tak. To przyszło jak grom z jasnego nieba.
- Jest inny mężczyzna?
- Nie sędzę. Feministki będą z niej dumne.
- Co?
- To są jej słowa.
- A więc zostawiła cię z dzieciakiem. Coś takiego! Co zamierzasz zrobić?
- Nie wiem.
- Czy mogę ci w czymś pomóc? Chcesz, żebym wpadł do ciebie?

– Nie, dziękuję. Dam ci znać, jak będę czegoś potrzebował. Nie była to szczególnie zadowalająca rozmowa, ale trochę jednak ulżyło. Fizyczne i psychiczne wyczerpanie dawało się coraz bardziej we znaki. Zapadł w kilkugodzinny głęboki sen tylko po to, by obudzić się w nie lepszym stanie. Czuł się tak, jakby próbował zwalczyć snem ciężki ból głowy, który wrócił natychmiast, gdy tylko znów otworzył oczy. Joanna odeszła i zostawiła go z dzieckiem. Taka była prawda.

Gdyby tylko mógł dotrzeć do piątku. Jeszcze miał nadzieję, że wróci na weekend albo co najmniej zadzwoni. Kiedy wieczorem Thelma przyprowadziła Billy’ego, Ted położył go do łóżka i jak przystało na troskliwego ojca, czytał mu przed snem bajki. O Joannie nie wspomnieli.

Umówił się z Thelmą, że następnego dnia też odprowadzi Billy’ego do przedszkola, ale tym razem nie obyło się bez wyjaśnienia.

- Posprzeczaaliśmy się, więc Joanna postanowiła wyjechać na kilka dni.
- Rozumiem – odparła Thelma.

Potem zadzwonił do biura i powiedział to samo co wczoraj. Sekretarka przekazała mu wszystkie telefony, jakie odebrała do niego. Było ich sporo, ale żaden od Joanny. Przynieśli pocztę – same rachunki. Siedział przy telefonie, a gdy odezwał się dzwonek, chwycił za słuchawkę tylko po to, by dowiedzieć się, że firma Teleprompter oferuje swe usługi w dziedzinie instalacji telewizji kablowej, którą już miał. Potem zadzwonił Larry, żeby go namówić na coś, co go wcale nie nęciło.

- No, jak leci, stary?
- Tak sobie.
- Opowiedziałem twoją historię pewnej dziewczynie. Nie masz pojęcia, jakie wrażenie to na niej zrobiło. Po prostu szaleje z litości. Znajdź kogoś do dziecka na wieczór...
- Nie mogę. Muszę zostać w domu.
- Wiesz, co zrobimy? Przyprowadzę ją, wypijemy kilka głębszych, potem dasz mi

znak i ulotnię się. Jak za starych dobrych czasów.

– Nic z tego, Larry. Ale dziękuję ci za pamięć.

– Ona uwielbia pocieszać ludzi. To prawdziwe uosobienie miłosierdzia.

– Dziękuję, Larry. Zadzwoń do ciebie.

Wystarczył jeden dzień, by klub kawalerów zaczął się nim interesować.

Wieczorem Ted i Billy towarzyszyli słoniowi Babarowi w jego przygodach w Nowym Jorku, Waszyngtonie i na innej planecie. Czy Joanna tam gdzieś jest? Ted, zmęczony czytaniem, zgasił światło. Minęło pół godziny, Ted był pewny, że Billy już śpi, gdy nagle rozległo się z jego pokoju wołanie.

– Tatusiu, kiedy mamusia wróci?

Skąd się bierze u dzieci ta brutalna bezpośredniość, dziwił się Ted.

– Nie wiem, Billy. Już coś wymyślimy.

– Co?

– Zobaczymy. Śpij, synku. Jutro jest sobota. Pojedziemy rowerem do zoo. Będzie fajnie.

– Kupisz mi pizzę?

– Tak, kupię ci pizzę.

– To dobrze.

Billy zasnął zadowolony. Nazajutrz pojechali do zoo. Spędzili cudowny dzień. Billy dostał swoją pizzę już o jedenastej przed południem. Przejechał się wózkiem zaprzęgniętym w kucyka, jechał na karuzeli, bawił się w piaskownicy i poznał innego chłopca. Lunch zjedli w chińskiej restauracji. Ted czuł, że porusza się na bardzo delikatnym gruncie, że niebawem będzie musiał podjąć trudne decyzje. Ta zabawa mogła trwać jeszcze dzień lub dwa, ale przyjdzie poniedziałek i trzeba będzie wrócić do pracy, chyba że weźmie kilka dni urlopu, żeby zyskać na czasie. Oczywiście zawsze istniała możliwość, że Joanna wróci lub zadzwoni.

W niedzielę o ósmej rano przyszedł listonosz z ekspresowym listem zaadresowanym do Billy'ego, bez nadawcy, ze stemplem pocztowym Denver Colorado.

– To od twojej mamusi, do ciebie.

– Przeczytaj mi.

List pisany był odręcznie. Ted czytał wolno, tak by Billy mógł wszystko zrozumieć. I Billy wszystko zrozumiał.

„Mój kochany, słodki syneczku. Mamusia odeszła. Czasem na tym świecie odchodzi tatuś i mamusia musi wychowywać sama swego małego chłopczyka. Ale bywa również i tak, że mamusia odchodzi, i wtedy pozostaje tatuś. Odeszłam, bo muszę znaleźć coś

interesującego dla siebie na tym świecie. Każdy musi i ja też muszę. Być Twoją mamusią to bardzo ważna rzecz, ale są inne sprawy, którymi muszę się zająć. Nie miałam okazji, żeby ci o tym powiedzieć, i dlatego piszę do Ciebie, żebyś wiedział, jak jest. Oczywiście, zawsze będę Twoją mamusią, będę Ci przysyłała zabawki i życzenia na Twoje urodziny. Nie będę tylko Twoją mamusią w domu, ale sercem będę zawsze przy Tobie. Będę przysyłać Ci pocałunki, które dotrą do Ciebie, gdy będziesz spał. Teraz muszę odejść, by stać się tym, kim chcę być. Bądź grzeczny i słuchaj tatusia. Twój tatuś jest tak mądry jak twój misio. Kocham Cię. Twoja mamusia”.

Napisanie tych słów musiało sprawić jej niemało bólu. Ted wiedział o tym, choćby po męce, jaką odczuwał czytając je. Billy wziął list do rączki, potem włożył go do szuflady, gdzie przechowywał swoje ulubione monety i karty z życzeniami urodzinowymi.

– Mamusia odeszła?

– Tak, Billy.

– Na zawsze, tatusiu?

Niech cię piekło pochłonie, Joanno! Przeklinam cię!

– Na to wygląda, Billy.

– Będzie mi przysyłać zabawki?

– Tak. Będzie ci przysyłać zabawki.

– Ja lubię zabawki.

Tym razem nie mogło już być żadnych wątpliwości. Joanna odeszła. Opuściła ich obu.

W poniedziałek Ted zaprowadził Billy’ego do przedszkola i oświadczył nauczycielce: „Pani Kramer i ja nie jesteśmy już małżeństwem”. Teraz on sam będzie zajmował się Billym, prosił ją więc, by zwróciła uwagę na chłopca, gdyby czuł się nieswojo. Nauczycielka wyraziła mu swoje ubolewanie i zapewniła, że zajmie się Billym i że jeśli Billy zechce, to dziś będzie mógł rozdawać ciasteczka w swojej grupie.

Ted wolałby tego dnia też rozdawać ciasteczka niż zarabiać na chleb z masłem. Zdawał sobie sprawę, że musi teraz dbać o swoją posadę bardziej niż kiedykolwiek. Billy był całkowicie zależny od niego. Jeżeli prawdą było, jak przypuszczał, że jego status pracownika wzrósł z chwilą, gdy ożenił się i założył rodzinę, to czy nie należało się obawiać, że straci wiele w oczach swych przełożonych, kiedy dowiedzą się, że jest rogaczem? Ale przecież nie jest rogaczem. Rogacz to człowiek, którego żona zdradziła, a Joanna go nie zdradziła. Ale jeśli nie jest rogaczem, to kim jest?



Jego bezpośredni przełożony, Jim O'Connor, nie wiedział, co powiedzieć.

– Biedaku – westchnął. – Po prostu odeszła?

– Tak.

– Złapała cię z jakąś babką?

– Nie.

– A ona...?

– Nie sędzę.

– Masz twardy orzech do zgryzienia.

– Chciałbym zwolnić się na jakiś tydzień, na poczet mojego urlopu, by zorganizować jakoś swoje życie.

– Nie mam nic przeciwko temu.

– Oczywiście moja nowa sytuacja nie będzie miała żadnego wpływu na moją pracę.

– Ted, pracujesz doskonale, masz lepsze wyniki niż nasza firma. Ale kto wie, czy nie czeka nas jeszcze jedna obniżka pensji.

Ted zamarł. Czyżby jego akcje spadały aż tak szybko?

– Ze względu na twoje położenie tym razem to cię ominie. Rozumiesz, co to oznacza?

To tak jakbyś dostał podwyżkę.

– Ale nie poprawi to mojego kredytu w banku.

– Co zamierzasz zrobić z dzieckiem?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Zatrzymasz chłopaka przy sobie?

– Oczywiście. To moje dziecko.

– Czy nie byłoby lepiej, gdyby zamieszkał u dziadków? Nie będzie ci łatwo.

Tedowi nigdy nie przyszło do głowy, że mógłby się rozstać z Billym. Ale O'Connor nie był głupi i problem, jaki postawił, na pewno nie należał do błahych. Ted zaczynał zadawać sobie pytanie, czy jego szef wie coś więcej, coś, czego on nie wie.

– Jakoś to będzie.

– To twoja sprawa – rzekł O'Connor. – Jeśli tego pragniesz...

Ale czy naprawdę tego pragnął? Ted postanowił przemyśleć wszystko do końca. A więc zatrzymać Billy'ego czy nie? Pozostawały jeszcze inne możliwości. Na przykład zmusić Joannę, żeby zabrała dziecko. Ale trzeba by wiedzieć, gdzie jej szukać. A gdyby nawet ją odnalazł, to czy potrafiłby wpłynąć na nią, żeby zmieniła zdanie? Przecież mówiła, że nienawidzi swego życia, że się dusi. Ted nie sądził, by Joanna zaakceptowała nagle to wszystko, co właśnie porzuciła, tylko dlatego że wytropił ją w jakimś motelu w towarzystwie

przystojnego tenisisty – jego wyobraźnia pracowała na pełnych obrotach. Nie, będę musiał zapomnieć o Joannie, i to zupełnie, pomyślał. Nie mogłaś, moja droga, znaleźć lepszego prezentu na dwusetną rocznicę powstania Stanów Zjednoczonych.

A inne możliwości? Przecież nie mógł umieścić czteroletniego chłopca w internacie. A może zajęliby się nim jego rodzice? To też nie wchodziło w rachubę. Cały zasób ich uczuć wyczerpał się już dawno na wnukach, jakimi ich obdarzył Ralph. Teda irytował ich brak zainteresowania Billym podczas ich rzadkich wizyt w jego domu. Ojciec Teda wolał oglądać telewizję niż zachwycać się uśmiechem swego wnuka. Matka Teda zachwycała się urodą Ralpha, kiedy był dzieckiem, a teraz przeniosła swe uczucia na jego dzieci. A jeżeli dziadkowie nie mogli zdobyć się na to, by okazać swe zainteresowanie wnukowi podczas krótkiego weekendu w Nowym Jorku, to czy można przypuszczać, że Billy wytrzyma konkurencję ze słońcem Florydy? Jeśli zaś chodzi o rodziców Joanny, to ich miłość dla Billy'ego graniczyła z patologicznym strachem o niego. „Niech on tutaj nie stoi. Może wypaść przez okno” – „Ależ mam, nasze okna są zabezpieczone” – „On na pewno ma gorączkę” – „Nie, Harriet, dzisiaj jest straszny upał. Przeszło trzydzieści stopni”. Ted mógł im oczywiście powierzyć małego i mieć pewność, że Billy to jakoś przeżyje. Z nimi na pewno nie wypadnie przez okno. Ale czy Billy ich jeszcze w ogóle obchodzi? Jakie go teraz łączyło z nimi pokrewieństwo? To wszystko nie miało sensu. Nikomu nie mógł oddać Billy'ego. Billy był jego, należał do niego i do nikogo innego. Jakoś to będzie. Pozostaną razem.

Ted odebrał Billy'ego z przedszkola i zaprowadził do domu. Thelma zadzwoniła i zaprosiła małego do siebie. Jej córeczka bardzo lubiła się z nim bawić. To żadna grzeczność ani przysługa. Chciała również wiedzieć, czy ma jakieś wiadomości od Joanny. Ted uważał, że ludziom należy się jakieś wyjaśnienie, więc oświadczył Thelmie, że Joanna odeszła i nie zamierza wracać, że zrezygnowała z Billy'ego. Thelmę aż zatkało. Nawet przez telefon słychać było, że nie może złapać tchu.

– Wielki Boże!

– To nie jest koniec świata – zapewnił ją Ted. – To początek.

– Wielki Boże!

– Thelma, zachowujemy się tak, jakbyśmy grali w jakimś kiepskim melodramacie. Takie rzeczy się zdarzają – rzekł Ted, choć nie słyszał, żeby coś takiego przydarzyło się komuś z jego znajomych.

Przez resztę dnia siedział przy telefonie i udzielał wyjaśnień, które w końcu ułożyły się w pewien schemat. Joanna rzekomo musiała odejść, bo sytuacja, w jakiej się znalazła, była dla niej nie do zniesienia. Zapewniał przy tym wszystkich, że nie zamierza korzystać z

niczyjej pomocy. Ludzie chcieli zająć się dzieckiem, przygotowywać mu posiłki, robić cokolwiek, by tylko Tedowi ulżyć. Pomóżcie mi odzyskać Joannę, myślał, tylko tego pragnę.

Podczas gdy Billy bawił się w domu Thelmy, Ted przejrzał jego garderobę, zapoznał się z jego zabawkami, lekarstwami, z tym wszystkim, co miało związek z potrzebami dziecka. Niewiele wiedział do tej pory o tych sprawach. Była to domena Joanny.

Następnego dnia przyszedł znowu list, również bez adresu nadawcy, ze stemplem pocztowym Lake Tahoe w stanie Nevada.

„Drogi Ted. Jest kilka spraw prawnych do załatwienia. Powierzyłam je swojemu adwokatowi, który ci przyśle papiery związane z rozwodem. Przyślę Ci również niezbędne dokumenty, które będą Ci potrzebne dla uzyskania praw opiekuńczych w stosunku do Billy’ego. Joanna”.

Ted uważał, że jest to najbrzydliwszy list, jaki kiedykolwiek widział w życiu.

## 6

Ted nie zadzwonił ani do swoich rodziców, ani do rodziców Joanny, próbował natomiast złapać pana Gonzalesa, co nie było wcale takie łatwe. Pan Gonzales pracował w American Express w dziale kart kredytowych. Te dwa tysiące dolarów, które Joanna wyjęła z ich wspólnego konta, odpowiadały dokładnie sumie, jaką otrzymała od swoich rodziców w dniu ślubu. Ted zrozumiał, że mogła uważać, że te pieniądze należą wyłącznie do niej. Oboje posiadali karty kredytowe American Express, ale Ted figurował jako właściciel polisy. Wszystkie rachunki, jakie Joanna wystawiała, przychodziły do niego. Gdziekolwiek przebywała, wszystkie jej wydatki – mogły to być bilety samolotowe, rachunki za drinki w barach, zapłata za usługi zigolaków – pokrywał w końcu on. Ale skoro już został rogaczem, nie zamierzał dać się oskubać. Zadzwonił więc do pana Gonzalesa, unieważnił ich dotychczasowe karty kredytowe i kazał sobie wystawić nową.

Pani Colby ogłaszała się w „New York Timesie” i książce telefonicznej oferując usługi w zakresie pomocy domowej „dla wymagających klientów”. Jako człowiek zatrudniony w reklamie Ted wiedział, że formuła „dla wymagających klientów” znaczy, iż kosztuje drożej. Ale przynajmniej pani Colby nie oferowała, jak to czynili inni, usług w dziedzinie mycia okien i cyklinowania podłóg. Ted szukał agencji, która zatrudniała osoby pomagające innym

w różnych pracach domowych. Nie wiedział zbyt dobrze, o jakie usługi mu chodzi i co jest w jego wypadku ważniejsze, sprzątanie czy gotowanie, opieka nad dzieckiem czy załatwianie zakupów. Znajomi ostrzegali go, że nigdy nie znajdzie osoby mającej wszystkie zalety. O tym, żeby Billy przebywał przez cały dzień w przedszkolu, nie mogło być mowy. Całodzienne przedszkola miały jak najgorszą reputację, ciągle brakowało funduszy na ich utrzymanie, ciągle pisano o fatalnym stanie ich wyposażenia. Zresztą za dużo zarabiał, aby uzyskać w takim ośrodku miejsce dla swego dziecka, poza tym troska o to, by nie zakłócać zbytnio dotychczasowego trybu życia Billy'ego, też odgrywała swoją rolę. Ted udał się więc do biura pani Colby, które mieściło się na Madison Avenue. Na ścianach wisiały listy z podziękowaniami od różnych osób, delegatów do Organizacji Narodów Zjednoczonych i przewodniczących Rady Dzielnicowej Brooklynu. Biuro urządzone było w stylu wiktoriańskim, a sama pani Colby, kobieta energiczna, około sześćdziesiątki, mówiła z lekkim akcentem brytyjskim.

– A więc, panie Kramer, czy chodzi panu o dochodzącą, czy stałą pomoc domową?

– Raczej o dochodzącą.

Ted przypuszczał, że pomoc domowa na stałe kosztowałaby go co najmniej sto dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo, a na taki wydatek nie mógł sobie pozwolić. Z pewnością jakaś studentka mogłaby zajmować się drobnymi pracami domowymi i opiekować się Billym w zamian za pokój i wyżywienie, ale ktoś taki nie wydawał mu się odpowiedni dla małego. Wolał jakąś stateczną osobę, która mogłaby zastąpić matkę. Najbardziej odpowiadałaby mu jakaś kobieta na przychodne od dziewiątej do szóstej, mówiąca dobrze po angielsku. Gotów był płacić dziewięćdziesiąt do stu dolarów tygodniowo.

Poradził się przedtem Thelmy, ona zaś powiedziała mu:

– Pamiętaj, że ta gospośka będzie przebywać długo z Billym. Chyba nie chcesz, by dziecko zaczęło nagle mówić z cudzoziemskim akcentem.

Z początku wydało mu się to śmieszne, ale potem zrozumiał, że Thelma ma rację. Najważniejsze było to, by Billy żył tak jak dawniej i nie odczuwał żadnej zmiany.

– Chodzi mi o kogoś, kto dobrze zna angielski, proszę pani.

– Och, dobry angielski. To będzie pana kosztować przeszło sto dolarów.

– Tylko z powodu dobrego angielskiego?

– Chodzi o osobę z odpowiednimi kwalifikacjami, panie Kramer. My nie zatrudniamy byle kogo.

– Zgoda. – Ted zdał sobie sprawę, że w tych negocjacjach pani Colby okazała się silniejsza od niego.

– A teraz chciałabym wiedzieć coś więcej o pana osobistej sytuacji. Powiada pan, że mieszka sam ze swoim czteroletnim synkiem i pracuje w reklamie.

– Tak jest.

– A pani Kramer?

– Ulotniła się, proszę pani.

– A więc to tak. Ostatnio mieliśmy sporo takich wypadków.

– Naprawdę?

– Tak jest.

Oczywiście pani Colby prowadząc takie biuro musiała się orientować w tych sprawach, pomyślał Ted.

– Rzecz jasna, przeważnie mamy do czynienia z matkami bez mężów. Jeśli zaś chodzi o ojców bez żon, w grę wchodzi normalne zgony, zawały, śmierć w wypadku drogowym albo takie nieszczęścia, jak upadek ze schodów, poślizgnięcie w łazience, utonięcie i temu podobne.

Tedowi wydało się, że dostrzega w jej oczach jakiś ironiczny błysk.

– Rozumiem panią.

– Ale mieliśmy również do czynienia z wypadkami, które pan nazwał „ulotnieniem się”. Z jednym, szczególnie interesującym, zetknęłam się zupełnie niedawno. Trzydziestoosmioletnia kobieta – dwoje dzieci, córeczki w wieku dziesięciu i siedmiu lat – wyszła z domu nie pozostawiając słowa. Przedtem wyciągnęła wieczorowe koszulę męża z szafy, rozłożyła na podłodze i pokryła je swymi ekskrementami.

– Ależ pani Colby...

– Umieszczono ją w końcu w zakładzie dla umysłowo chorych. Nie zaliczyłabym jej zatem do tej samej kategorii co pańska żona. W tamtym wypadku chodziło raczej o zakłócenie stanu psychicznego.

– Czy nie zechciałaby pani wrócić do zasadniczego tematu?

– Mam trzy świetne kandydatury. Wszystkie w granicach stu piętnastu dolarów tygodniowo.

– Mówiła pani przed chwilą, że to będzie w granicach stu pięciu dolarów.

– Pozwoli pan, że sprawdzę w swojej kartotece. No tak, sto dziesięć dolarów.

– Czy nigdy nie chciała pani zostać agentem w jakiejś firmie reklamowej?

– Wybacz pan, ale nie rozumiem.

– Chciałbym przedtem zapoznać się z kandydatkami. Potem porozmawiamy o cenie. Jestem do dyspozycji u siebie w domu po godzinie dziewiątej wieczorem. I chciałbym to

załatwić możliwie jak najszybciej.

– Doskonale, panie Kramer. Zadzwoń do pana w ciągu dnia.

Przyszła Thelma i Charlie. Thelma przyniosła gotową pieczeń wołową. Była to przystojna trzydziestoletnia kobieta, doskonale zadbana dzięki wyrobom amerykańskiego przemysłu kosmetycznego, farbowanym włosom, szkłom kontaktowym, najmodniejszym strojom i najnowszej diecie. Gdyby nie troska o linię, miałyby na pewno pełniejsze kształty. Zresztą ta skłonność do tycia ujawniała się, gdy była zmęczona. Czula się teraz w towarzystwie Teda znacznie swobodniej. Z początku odejście Joanny zdeprimowało ją, zmusiło do myślenia o własnych problemach małżeńskich i w końcu zapędziło z powrotem do psychoanalitka.

– Dlaczego ona to zrobiła? – łamała sobie głowę.

– Może to był tylko chwilowy kaprys – sugerował Charlie, starając się tak pokierować rozmową, by uniknąć kłopotliwych dla siebie tematów.

– No cóż, poślubiłam dentystę, a nie psychiatrę – powiedziała Thelma ostro. Ted unikał ich wzroku, czując na sobie ciężar poufnych zwierzeń Charliego.

– Joanna suszyła mi głowę, że chce iść do pracy, a ja tłumaczyłem jej, że to by nas za drogo kosztowało. Teraz muszę i tak płacić za pomoc domową, a straciłem pieniądze, które ona mogłaby przynosić do domu, gdyby została.

– To naprawdę zabawne – odezwał się Charlie. – Za wszystko, co zrobisz, musisz słono płacić. – I zaśmiał się głośno ze swego dowcipu. Ted i Thelma nie widzieli w tym nic śmiesznego.

– Uspokój się, Charlie! – zawołała Thelma.

Ted nagle uświadomił sobie, że roztrząsając jego kłopoty, oni rozładowują swoje własne kompleksy.

– Czy nie widzisz, że ten człowiek cierpi? – powiedziała myśląc o własnych cierpieniach.

Ted zaczął podejrzewać, że ona o wszystkim wie, wie, że Charlie ją zdradza.

– Ale dlaczego Joanna odeszła? Czy już nie potraficie się ze sobą porozumieć?

– Chyba nie bardzo.

– Nie chciałabym cię urazić, Ted, i proszę, nie zrozum mnie źle, ale uważam to, co zrobiła Joanna, za swego rodzaju akt odwagi.

– Thelma, nie gadaj głupstw.

– Zamknij się, Charlie. Chcę po prostu powiedzieć, że trzeba odwagi, by popełnić coś tak aspołecznego. I za to czuję dla niej szacunek.

– A ja nie widzę w tym nic odważnego. Człowiek, który ma odwagę, nie dezerteruje! – zawołał Ted. Złość, którą tłumił w sobie, ujawniła się w końcu. – Te bzdury o prawach kobiety! Joanna nie była większą feministką niż Charlie!

– Nie mieszaj mnie do tych spraw, Ted.

– A zresztą co mnie to obchodzi, u diabła, dlaczego odeszła! Odeszła, koniec, kropka! To ciebie bardziej obchodzi, Thelma, niż mnie.

– Naprawdę tak sądzisz?

– Koniec zabawy. Zachowujecie się jak ci komentatorzy radiowi, co po meczu siedzą sobie spokojnie w swoich kabinach i wygłaszają mądre podsumowania. Co by było, gdybyśmy potrafili się lepiej porozumieć ze sobą? Zabawa się skończyła! „Ona odeszła!”

– A jak wróci, to nie dowiesz się nawet, dlaczego odeszła.

– Ona nie wróci.

Porwał leżący na stole list od Joanny i podał go Thelmie. Chcieli wiedzieć, to niech wiedzą, jakie to wstętnie. Thelma znosiła coraz gorzej tę scenę, choć sama ją sprowokowała. Zanim zdążyła przeczytać, Ted wyrwał jej z ręki list i podsunął go Charliemu.

– Ładne, co? To mi dopiero bohaterka. Po prostu tak sobie zwyczajnie uciekła z domu. Odeszła, koniec, kropka.

Wziął z rąk Charliego list Joanny, zmiął go w ręce i wrzucił do kominka.

– Słuchaj, Ted – powiedziała Thelma – wiem, że Joanna nie chciała tego, ale może byłoby dobrze, gdybyś zobaczył się z jakimś specjalistą. Mogłabym porozmawiać z moim lekarzem.

– Po co mi lekarz, skoro jestem otoczony tak serdecznymi przyjaciółmi.

– Nie musisz się od razu obrażać – rzekł Charlie. – Wiem, że jesteś zdenerwowany...

– Tak, to prawda. A teraz chciałbym zostać sam. Dziękuję za pieczeń i miłą pogawędkę.

– Ted, nie ma nic złego w dążeniu człowieka do osiągnięcia samowiedzy – powiedziała Thelma.

Pożegnali się. Thelma i Ted musnęli się wargami. Ted nie myślał o osiągnięciu większego stopnia samowiedzy od tego, jaki już posiada, ani nie szukał dodatkowego wyjaśnienia postępowania Joanny ponad to, co już wiedział. Nie chciał dłużej słuchać teoretycznych rozważań swoich przyjaciół. Niech pilnują swego małżeństwa i nie analizują jego. Myślał tylko o jednym: dostać gosposię, ułożyć sobie jakoś życie, zapewnić opiekę Billy’emu. Gdy tego dokona, Joanna przestanie dla niego istnieć.

Pierwszą osobą przyslaną na rozmowę przez panią Colby była panna Evans, kobieta starsza, raczej drobna, wykazująca jednak niespotykaną werwę. Mówiła bez przerwy o swoich dietetycznych potrzebach. Okazało się, że je biały ser tylko marki Breakstone, a nie marki Friendship, jogurt tylko marki Dannon, a nie marki Sealtest, chleb tylko bez soli, który nabywać można w sklepach ze zdrową żywnością, a nie takie zwykłe pieczywo, do którego dodaje się cukier. Potem poprosiła Teda, by pokazał jej mieszkanie, zapytała, gdzie jest łazienka, ale zaraz zrezygnowała z wizji lokalnej twierdząc, iż chciała tylko upewnić się, że są wszystkie wygody. Ted nie dał jej nawet zajrzeć do pokoju Billy'ego. Uznał, że ich kulinarne upodobania nie dadzą się ze sobą pogodzić.

W rubryce drobnych ogłoszeń w „Timesie” znalazł jakąś panią Roberts, która reklamowała się lakonicznie: „Dobra kucharka. Lubi dzieci”. Okazało się, że jest to potężna Portorykanka, która – sądząc po stylu ogłoszenia – musiała mieć reprezentującego ją agenta. Wprawdzie nosiła bardzo angielskie nazwisko, ale mówiła zupełnie niezrozumiałym angielskim.

– Pracować wiele hiszpańskie dyplomaty.

– Rozumiem – odparł grzecznie Ted.

– Różne hiszpańskie dygnitarz.

Sytuacja nabierała rumieńców.

– Mam małego chłopczyka.

– A pana kobieta?

– Zniknęła.

– Rozumiem – odparła.

To mówiąc uszczypnęła go w policzek. Ted nie wiedział, co to oznacza, ale czuł, że boli.

– Czy opiekowała się pani dziećmi? – zapytał.

– Sześć. Własne. Puerto Rico. Bronx. Najmłodszy, dwadzieścia dwa. Na kolei.

Gdyby zatrudnił panią Roberts, Billy na pewno mówiłby po hiszpańsku przed ukończeniem piątego roku życia.

– Morowy.

– Przepraszam?

– Morowy facet jest pan.

Albo próbuje mnie uwieść z własnej inicjatywy, albo wypełnia polecenia swego agenta, pomyślał Ted. Zresztą, jak wynikało z dalszej rozmowy, pani Roberts nie mogłaby i tak objąć swoich funkcji natychmiast, udawała się bowiem na wakacje do Puerto Rico, gdzie



mąż jej pracował w „dyplomacji”. Tedowi wydało się, że gdyby pozostał z nią dłużej, to może nawet zacząłby rozumieć, co mówi, ale doszedł do wniosku, że chociaż pani Roberts jest bardzo morową osobą, to jednak nie odpowiada jego potrzebom.

Próbował szczęścia w różnych biurach pośrednictwa pracy, przeglądał drobne ogłoszenia w gazetach i znalazł nawet kilka interesujących osób reklamujących swoje usługi jako pomoce domowe. Była wśród nich jedna pani z Jamajki o śpiewnym głosie, przy którym sam by chętnie zasypiał, ale wolna tylko podczas miesięcy letnich, poza tym jakaś starsza pani, która zjawiała się na rozmowę w białym wykrochmalonym uniformie, jakaś emerytowana angielska piastunka, która wychowała niejedno pokolenie amerykańskich dżentelmenów, lecz która nie czuła się już na siłach, by pracować w pełnym wymiarze godzin, i mogła się zgodzić tylko na dwa dni w tygodniu, jakaś Irlandka mówiąca żargonem, która zakończyła rozmowę dowiedziawszy się, że Ted pozwolił odejść swojej żonie. Pani Colby zadzwoniła i oświadczyła solennie, że znalezienie odpowiedniej osoby dla Teda uznała za swoją misję życiową, bo osobiście bardzo mu współczuje z powodu tragicznej śmierci jego małżonki. Coś jej się najwidoczniej pomieszało.

Pani Colby dotrzymała słowa i przysłała mu cztery osoby. Pierwsza oświadczyła z miejsca, że bierze sto dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo, i zapytała, czy w domu jest kucharka. Druga wydała się nawet dość sympatyczna, ale jak się okazało, była szalenie roztargniona, gdyż zapomniała, że od sierpnia przyjęła już inną pracę. Trzecia, raczej pulchna, chichotała bez przerwy i chyba nadawałaby się, gdyby nie to, że nazajutrz po rozmowie zadzwoniła, że znalazła lepszą pracę za wyższą płacę. Czwarta, Szwedka, nazywała się Larson, stwierdziła, że u Teda jest brudno. Ted poczuł się nieswojo, bo właśnie sprzątną starannie mieszkanie, by żadna Szwedka nie mogła mu nic zarzucić.

Zastanawiał się, czy nie powinien sam zamieścić ogłoszenia w gazecie, ale obawiał się, że ściągnie sobie na głowę różnych pomyleńców, od których roi się w Nowym Jorku. Zamiast tego umieścił karteczkę na tablicy ogłoszeniowej w supermarkecie, który znajdował się naprzeciwko domu. „Potrzebna gosposia 9 rano – 6 wieczór. Dobra rodzina”. Ostatnio miał okazję przekonać się, że to określenie nie jest bez znaczenia. „Ja pracuję tylko w dobrych rodzinach”, słyszał aż nazbyt często. Zadzwoniła do niego pewna pani, Etta Willewska, zamieszkała w sąsiedztwie, i oświadczyła, że wprawdzie nie wykonywała takiej pracy od dłuższego czasu, ale chciałaby mu pomóc, Była to niska, dość tęga Polka o okrągłej twarzy, raczej na taką rozmowę ubrana nieodpowiednio, włożyła bowiem na siebie najlepszą swoją czarną wyjściową sukienkę. Mówiła z lekkim cudzoziemskim akcentem, z dumą podkreślała, że ona i jej mąż są od trzydziestu lat obywatelami Stanów Zjednoczonych. Jej

syn już się ożenił. Ona sama przez wiele lat zajmowała się gospodarstwem, a potem pracowała w dużych pralniach przemysłowych. Jej mąż pracował w fabryce w Long Island City. Pomyślała, że dobrze byłoby popracować znowu w jakiejś dobrej rodzinie. Potem zadała Tedowi pytanie, z którym się do tej pory w ogóle nie spotkał.

– A jaki jest ten chłopczyk?

Ted nie odpowiedział od razu. Owszem, znał swego syna, ale nigdy nie zastanawiał się nad tym, jak zdefiniować jego osobowość.

– Jest bardzo miły. Czasem trochę nieśmiały. Bardzo lubi się bawić. I już dobrze mówi. – Nie wiedział, co jeszcze powiedzieć.

– Czy mogłabym zajrzeć do niego? – zapytała pani Willewska.

Przez szparę w drzwiach zajrzeli do pokoju, gdzie Billy spał ze swoimi ludozikami.

– Śliczny – szepnęła.

Światło z hallu padło chłopcu na twarz i nagle Billy się obudził.

– Kochanie, to ja. A to jest pani Willewska.

– Pani Willewska – powtórzył Billy zaspanym głosem.

– Odwróć się i śpij.

Kiedy wrócili do pokoju, pani Willewska powiedziała:

– To bardzo mądry chłopczyk. Moje nazwisko powtórzył bezbłędnie. Nie wszystkim się to udaje za pierwszym razem.

Ted pomyślał, że trudno nosić nazwisko, którego wiele ludzi nie potrafi wymówić bezbłędnie.

– Nie wiem, czy jest mądry. Ma przecież dopiero cztery lata, ale myślę, że jest.

– Ma pan szczęście, panie Kramer.

Ted był zaskoczony tym stwierdzeniem. Od pewnego czasu nie uważał się za szczęśliwego.

Rozmawiali jeszcze o jej obowiązkach. Ted zaoferował sto dziesięć dolarów tygodniowo, uważając, że powinien zapłacić tyle, ile brałaby kandydatka przysłana przez panią Colby. Zapytał, czy nie zechciałaby wpaść jutro na kilka godzin, by obejrzeć dokładniej mieszkanie i poznać bliżej Billy'ego i czy mogłaby zacząć od przyszłego poniedziałku. Pani Willewska zapewniła go, że z zadowoleniem obejmie funkcje pomocy domowej w jego domu i zaopiekuje się Williamem. Wychodząc zapytała jeszcze, jakie potrawy Ted lubi i co chciałby jeść wracając do domu z pracy. To go również zaskoczyło, nie przypuszczał bowiem, że za te pieniądze pani Willewska zechce się jeszcze zająć kuchnią.

A więc wreszcie miał gosposię o twarzy cherubina, która będzie mu gotować kolacje i

zajmie się Billym. Thelma mówiła, że angażując pomoc domową należy przede wszystkim zawierzyć swemu instynktowi, a Ted czuł, że znalazł osobę, której szukał. Zadzwoił do pani Colby i oświadczył, że może go wykreślić ze swojej kartoteki. Pani Colby przyjęła to do wiadomości, a przy okazji zapytała, czy pani Kramer już czuje się lepiej. Znow coś się jej pomieszało.

Teraz mógł załatwić inne telefony. Mógł zadzwonić do swoich rodziców i powiedzieć: „Moja żona odeszła. Ale nie denerwujcie się, mam świetną gosposię, wszystko załatwiłem”. Mógł zadzwonić do rodziców Joanny i powiedzieć: „Wiecie, gdzie podziewa się Joanna? Opuściła mnie. Ale mamy gosposię. Wspaniała kobieta”. Mógł im powiedzieć: „Nie potrzebuję waszej pomocy. Billy zostanie ze mną. Będzie nam dobrze razem. Możecie być o nas spokojni”.

Ted wszedł do pokoju Billy’ego i stanął nad jego łóżeczkiem. A jaki jest ten chłopczyk? Co można wiedzieć, kiedy dziecko ma dopiero cztery lata? Co z niego wyrośnie? Jakie czeka go życie?

Wszystko będzie okay, Billy. Mamy panią Willewską. Mamy siebie.

Billy poruszył się pogrążony w swoich dziecięcych snach. Ruszał wargami i wypowiadał jakieś niezrozumiałe słowa. To było fascynujące, ale Ted zawstydził się na myśl o tym, że w taki bezceremonialny sposób wkracza w intymny świat swego syna. Nie przejmuj się, koteczku. Wszystko się jakoś ułoży. Pocałował Billy’ego i wyszedł z pokoju. Billy przeżywał nadal swój sen. Mówił coś o Snoopym.

## 7

Na drugim końcu linii odpowiedział mu prawie histeryczny krzyk.

– Co to znaczy, że ona rzuciła ciebie i dziecko?! Co to wszystko znaczy?! – wołała jego matka, powtarzając w kółko to samo, jakby inaczej nie mogło to dotrzeć do jej świadomości. – Odeszła sobie tak po prostu, zostawiła cię z dzieckiem?! Ach!

Przypomniało mu się dzieciństwo. – Co to znaczy, że złapali cię, jak chciałeś się dostać do kina bez biletu? Co to znaczy, że kierownik kina zabrał cię do swego biura?

Kierownik kina znał rodzinę Kramerów. Ojciec Teda prowadził restauracyjkę na tej ulicy, na której znajdowało się kino. Kierownik zadzwonił więc do restauracyjki, a nie na policję. Ted i Johnny Marin chcieli wślizgnąć się na salę bocznym wejściem, gdy Jimmy

Perretti otworzył drzwi od środka. Już wydawało im się, że zdołają wywinąć się jak ci komandosi z filmu „Komandosi uderzają o świat”, ale zostali ujęci przez biletera jak ci przestępcy z filmu „Za żelaznymi kratami”. „Co to znaczy, że mój syn jest przestępcą? Ach!” – „Nie wiedziałem, że masz takie zdolności, mały” – powiedział brat Teda, kiedy kierownik kina zgodził się wypuścić swą zdobycz w zamian za porcję pieczonego indyka.

Zanim jeszcze Billy przyszedł na świat, Ted i Joanna pojechali do Fort Lauderdale, by obejrzeć nowe mieszkanie Dory i Harolda Kramerów w domu otoczonym ogrodem i wyposażonym w basen pływacki. Podczas gdy Harold oglądał telewizję, Dora przechadzała się z nimi po ogrodzie.

– To jest mój młodszy syn, Ted, a to jego żona – mówiła przedstawiając ich sąsiadom. Synów przedstawiało się wymieniając ich zawód, córki i synowe identyfikowano w zależności od zawodów ich mężów. – Ted zajmuje się sprzedażą – ciągnęła jego matka, nie precyzując, co sprzedaje, zapewne dlatego, że nie bardzo wiedziała, czym zajmuje się sprzedawca w firmie reklamowej. Nie miała takich problemów ze swoim starszym synem, którego można było zaprezentować zwyczajnie mówiąc: – To jest mój starszy syn, Ralph, sprzedaje hurtowo napoje alkoholowe.

– Co ty wyprawiasz, Ted?

– Właśnie zajmuję się likwidacją małżeństwa.

– Nigdy nie słyszałam o czymś takim.

– To bardzo modne ostatnio.

– Kto pozwala na takie rzeczy?

– Ted? – Jego ojciec przerwał oglądanie telewizji, ale podszedł do telefonu dopiero wtedy, gdy zaczął podejrzewać, że sprawa jest poważna.

– Jak się masz, ojczy?

– Pozwoliłeś, żeby żona cię opuściła?

– Ta decyzja nie zapadła w sposób demokratyczny.

– I zostawiła dziecko? Ach!

Teraz on też wrzeszczał. Ten wstyd musiał być nie do zniesienia. Takiego „Ach!” nie słyszał jeszcze nigdy od swego ojca.

– Ale to nic, nasza sytuacja domowa jest całkowicie opanowana – zapewniał go Ted.

– Opanowana... – wtrąciła się matka. – Jak można opanować taką sytuację?

– Posłuchaj mnie, mamoo...

- Twoja żona uciekła od ciebie...
- Znalazłem pomoc domową, wspaniałą kobietę. Sama wychowała syna i opiekowała się innymi dziećmi.
- Co to za jedna?
- Jakaś Polka.
- To dobrze. Polki są bardzo pracowite. A zresztą, co za różnica. To tragedia! I co za wstyd!
- Ona jest bardzo miła. Będzie przychodzić codziennie i wszystkim się zajmie.
- Co za wstyd. Co za kobieta. To szlaja! Prawdziwa szlaja.
- Ależ mamó, o Joannie można powiedzieć różne rzeczy, sam nawet nie wiem jakie, ale nigdy by mi nie wpadło na myśl nazwać ją szlają – rzekł próbując stłumić śmiech. – Skąd ten pomysł?
- Szlaja – zawyrokowała definitywnie jego matka.
- Flądra! – dodał ojciec dla zwiększenia efektu.

Ted próbował przekazać im tę wiadomość w możliwie spokojny sposób, ale, jak widać, jego starania były bezskuteczne. Kiedy odłożył słuchawkę, uśmiechnął się jeszcze do siebie zadając sobie pytanie, jak mogli z Joanny zrobić szlaję i flandrę.

Pani Willewska mówiła do niego William, on nazywał ją panią Willewską. Ted nie zwracał się do niej inaczej jak per pani Willewska, ona zaś zwracała się do niego per panie Kramer. Ten oficjalny ton odpowiadał mu, czuł się prawie jak jakiś Kennedy, przyzwyczajony od małego do służby. Pani Willewska była miła, wyrozumiała, a w obcowaniu z Billym wykazywała duże wyczucie. Dla Billy’ego myśl o tym, że jego mamusia mogła odejść na zawsze, była czymś niepojętym. Realne były dla niego codzienne szczegóły życia: kto go prowadzi do przedszkola, kto go przyprowadza do domu, kto przygotowuje mu lunch, z kim ogląda telewizję, kto podaje mu kolację, kto robi to, co kiedyś robiła mamusia. To wszystko było namacalne, a myśl, że w ten porządek rzeczy mogłoby się wdrzeć coś nieoczekiwanego, przerażała go. Nieobecność mamusi nie oznaczała, że jego świat się rozleciał, ale to, że nie było nikogo, kto by mu zrobił jego ulubioną kanapkę z masłem fistaszkowym, miało wręcz katastrofalne skutki. Takie były zmartwienia Billy’ego, zanim w domu nie zjawiła się pani Willewska, a swoje rozdrażnienie uzewnętrzniał nie kończącymi się pytaniami, kiedy już pójdzie do przedszkola, kiedy pójdzie na spacer, kiedy dostanie lunch lub kolację, gdzie się podziały jego rzeczy. Obecność pani Willewskiej nie rozwiązała

oczywiście niepojętego problemu, dlaczego nie ma mamusi, ale wszystkie inne kłopoty znikły. Po kilku dniach Billy mówił: „Tatusiu, pani Willewska powiedziała, że nie mogę dostać drugiego ciasteczka, bo już zjadłem jedno”. Pewnego dnia Ted szedł razem z panią Willewską, która prowadziła Billy’ego do przedszkola, i nieopatrznie zstąpił na jezdnię, gdy paliło się jeszcze czerwone światło. „Nie wolno, tatusiu”, strofował go Billy.

– My przechodzimy przez jezdnię tylko przy zielonym świetle, panie Kramer – powiedziała pani Willewska.

– Bardzo słusznie – odparł Ted. Zdawało mu się, że za chwilę poprosi panią Willewską, żeby go wzięła za rękę i przeprowadziła na drugą stronę ulicy.

Pani Willewska wniosła do domu ład i porządek. W gruncie rzeczy Ted i Billy nie ochłonęli jeszcze całkowicie po tym, co się stało, ale ich tryb życia nie uległ zmianie. Pani Willewska czuwała nad tym, żeby im niczego nie brakowało.

Kolegom z pracy Ted oświadczył, że opuściła go żona, ale zapewnił ich, że panuje nad sytuacją dzięki wspaniałej gosposi. W ten sposób z góry ucinał wszelkie kłopotliwe pytania.

Po kilku dniach normalnej pracy w biurze i unormowanego życia w domu Ted postanowił zadzwonić do rodziców Joanny, od których nie miał żadnych wiadomości. Żywił nadzieję, że może się od nich dowiedzieć, gdzie Joanna przebywa. Ale oni nie tylko nic na ten temat nie wiedzieli, ale w ogóle o niczym nie mieli pojęcia.

– O niczym nie wiecie?

– A o czym mamy wiedzieć?

– Słuchaj, Harriet, Joanna nas opuściła. Odeszła. Zostawiła mnie i dziecko. Wyjechała, żeby się odnaleźć. – A więc to tak, ślicznotko. Nawet ten obowiązek pozostawiłaś mnie. Na linii panował tymczasowy spokój. – Myślałem, że ona sama wam o tym powiedziała.

– Porzuciła swego syna? Swoje własne dziecko?

– I swojego męża. Mnie też zostawiła.

– Coś ty jej takiego zrobił?

– Nic, Harriet. Nie chciałem, żeby odeszła.

– Zdaje mi się, że dostanę ataku serca.

– Uspokój się, Harriet. Gdzie jest Sam?

– Kręci się gdzieś po domu.

– Poproś go do telefonu. Czekam.

Ted był pewien, że osobie, która zapowiada, że zaraz dostanie ataku serca, nic nie grozi.

– Halo?

– Sam? Co z Harriet?  
– W porządku. Usiadła.  
– Powiedziała ci?  
– Jak śmiesz telefonować w takiej sprawie?  
– Rzeczywiście, może powinienem napisać list.  
– Joanna zostawiła dziecko?  
– Tak, ona...  
– Swoje własne, piękne dziecko?  
– Tak. Powiedziała, że musi to zrobić dla samej siebie.  
– Czuję, że będę miał atak serca.  
– Chwileczkę, Sam...  
– Moje serce tego nie wytrzyma. Harriet, porozmawiaj z nim. Już mi jest niedobrze.  
– Sam, nie możesz mieć ataku serca, jeśli rozmawiasz o tym ze mną.  
– Ted, to ja, Harriet. Sam usiadł.  
– Nic mu nie jest?  
– Nie możemy teraz rozmawiać z tobą. Bardzo nas zmartwiłeś tą wiadomością. Naprawdę, nie brak ci tupetu. – Powiedziawszy te słowa odłożyła słuchawkę.

Po pracy Ted wracał zazwyczaj do domu około szóstej, razem z Billym zjadali kolację, potem Ted kąpał małego, bawił się z nim trochę, czytał mu bajki i około pół do ósmej Billy kładł się do łóżka. Było to bardzo pracowite dziewięćdziesiąt minut. Podczas weekendów, kiedy pani Willewska miała wolne, Ted starał się wypełnić Billy'emu cały czas zabawą i wycieczkami po Nowym Jorku. Tego dnia zamierzał pójść z nim do Muzeum Przyrodniczego. Nagle odezwał się dzwonek, a gdy Ted otworzył drzwi, ujrzał rodziców Joanny. Weszli do środka szybkim krokiem rozglądając się wokół siebie jak detektywi z brygady antyterrorystycznej, którzy dostali cynk, że podłożono tu bombę. Gdy otworzyli drzwi, zobaczyli małe dziecko oglądające telewizję. Poderwali je z podłogi, obsypali całusami i gradem kolorowych książeczek. Po zlustrowaniu pozostałych pomieszczeń w poszukiwaniu namacalnych dowodów Harriet jako pierwsza skonstatowała:

– Nie ma jej.

Sam nadal węszył po kątach, mając zapewne nadzieję, że natknie się na jakiś ważny ślad, zajrzał do Billy'ego, który nie ruszał się ze swego miejsca – właśnie na ekranie pojawił się Człowiek-Pająk, co było na pewno ważniejsze niż odwiedziny dziadków, nawet jeśli

przyjechali z Bostonu. Wreszcie zmęczony usiadł na kanapie.

Sam i Harriet tworzyli bardzo piękną parę. Ona była raczej drobna, wyglądała młodo mimo swych pięćdziesięciu lat, miała ciemne oczy i siwiejące włosy. Sam miał ładną twarz o wyrazistych rysach, siwe włosy i atletyczną budowę ciała. Ted już zapomniał, jak wyglądali. Oczywiście Joanna była ich córką, Billy miał ich krew. Jak mógł przypuszczać, że wyrzekną się wnuka.

– Co masz do powiedzenia na swoje usprawiedliwienie? – zapytał Sam głosem pełnym emfazy. Chyba ćwiczył swą rolę przez cały czas podróży z Bostonu, pomyślał Ted.

Opowiedział im więc wszystko dokładnie, relacjonując minutę po minucie, cytując dokładnie jej słowa, a oni słuchali, mrużąc oczy, tak jakby mówił do nich jakimś obcym językiem.

– Nigdy nie mieliśmy z nią żadnych kłopotów – powiedziała Harriet.

– Ale teraz mamy, i to niemało – rzekł Ted.

Oni nadal nie rozumieli, jak mogło do tego dojść. Przecież oddali mu swoją piękną córkę, a teraz patrzcie, co on jej zrobił. Zaczęli wspominać dawniejsze sukcesy swej córki, jak się wspaniale zapowiadała, zanim poznała Teda. – „Pamiętasz, jak cudownie wyglądała tego wieczoru...” – nie bacząc na to, że on tu siedzi i musi tego słuchać. Potem pograżyli się w długim milczeniu. Tymczasem Billy zapytał z pokoju, czy może oglądać Muppety. Jego głos wyrwał ich z apatii. Zerwali się z miejsc, wpadli do sypialni Teda, gdzie stał telewizor, jakby się chcieli upewnić, że Billy wciąż tam jest. I znów podrywali z podłogi, przyciskali do siebie, okrywali pocałunkami to biedne dziecko, które nie mogło zrozumieć, dlaczego ci ludzie przeszkadzają mu w oglądaniu telewizji. Skończywszy z Billym, zaczęli sprawdzać, czy okna są odpowiednio zabezpieczone. Wciąż zadawali pytanie, jak Ted sobie z tym wszystkim poradzi. Przecież on nie może zajmować się dzieckiem. A kim jest ta gosposia? Czy słyszał, że ostatnio zdarzył się wypadek z niańką, która porwała dziecko oddane pod jej opiekę i zamordowała je? Dlaczego pozwala, by Billy tak długo siedział przed telewizorem? A jak on się odżywia? Kto zajmuje się jego garderobą? Ted robił, co mógł, by ich uspokoić, ale oni nie słuchali jego odpowiedzi. Wciąż myszkowali po mieszkaniu.

– Lizaki? Ty trzymasz w domu lizaki? – zapytał Sam, który przypomniał sobie nagle, że jest farmaceutą. – Nie wiesz, że cukier jest niezdrowy, że lizaki niszczą zęby?

Ted pocieszał się, że to zaraz się skończy, że wkrótce odjadą do Bostonu. Zachciało im się jeszcze obejrzyć panią Willewską, ale Ted sprzeciwił się. Nie chciał psuć jej weekendu. Powiedzieli, że zabiorą Billy'ego do ogrodu zoologicznego. Ted nie miał nic przeciwko temu pod warunkiem, że w obecności dziecka nie będą wspominać o Joannie. To znów wywołało



nową falę wspomnień o córce.

– Stworzyliśmy jej takie wspaniałe warunki, a co ty jej dałeś? – powiedziała ostrym tonem Harriet.

– Skoro naprawdę chcecie wiedzieć, to wam powiem. Wychowaliście rozkapryszonego bachora, który postąpił, jak na rozkapryszonego bachora przystało, kiedy nie mógł sobie poradzić ze swoimi problemami.

– Zabraniam ci mówić w ten sposób o mojej córce! – zawołał Sam.

– Uspokój się. Dziecko! – przestrzegła Harriet.

I znów deszcz pieśczoł i całusów spadł na Billy'ego. Wreszcie Tedowi udało się wyprawić ich do zoo. On zaś udał się do pobliskiego kina, żeby obejrzeć jakiś western, który miał tę zaletę, że dotyczył spraw tak bardzo odległych od jego własnych. Wrócili późnym popołudniem. Billy cały lepił się od cukierków, a na jego koszulce widniały plamy po pizzy. A więc, jak się okazało, farmaceuta przegrał ze swoim wnukiem. Oświadczyli, że pozostaną jeszcze jeden dzień w Nowym Jorku, żeby być z Billym, ale wolą pokój hotelowy od kanapy u Teda, który nie mógł oczywiście nie zaoferować im gościny.

Następnego dnia zjawili się o ósmej rano, gotowi przemierzyć miasto wzdłuż i wszerz. Billy chciał jednak znów pójść do zoo, a więc udali się tam, żeby obudzić zwierzęta. Wrócili we wczesnych godzinach popołudniowych.

– Na nas już czas. Musimy iść – powiedziała Harriet do swego wnuka.

„Na nas już czas, na nas już czas, spać iść musimy, bo na nas już czas”, to była jedna z piosenek, które Joanna śpiewała Billy'emu, kiedy zbliżała się pora snu. Słowa te ożyły nagle w pamięci Teda. Zabrała swoje rzeczy, ale pozostawiła po sobie echo.

– Jeśli Joanna się odezwie, to powiedzcie jej, że doskonale sobie radzimy – powiedział Ted żegnając się z teściami.

– Naprawdę? – zapytała z niedowierzaniem w głosie Harriet. – Naprawdę wierzysz, że sobie poradzisz?

Wyszli nie podając mu nawet ręki. Oni już wydali wyrok. Winien był Ted. To on zrujnował życie ich córce.

Mijały tygodnie. Ludzie z otoczenia Teda nie mogli już wątpić, że Joanna Kramer naprawdę porzuciła męża i dziecko. Zaczęli więc interpretować to wydarzenie w najwygodniejszy dla siebie sposób. Larry na przykład chciał koniecznie skumać Teda z jakąś dziewczyną. Ted tłumaczył mu, że w tej chwili życie towarzyskie go nie interesuje i że nie ma do tego głowy.

– Co to ma wspólnego z głową – pytał Larry. Gdyby Ted zaczął uganiać się za

spódniczkami, Larry widziałby w tym uzasadnienie i usprawiedliwienie własnego postępowania. Ostatecznie, skoro taki Ted Kramer to robi, to dlaczego on, Larry, miałby sobie odmawiać.

Rodzice Teda zajmowali krańcowo odmienne stanowisko. Ich zdaniem najważniejsze było, by się znów ożenił. Jego życie seksualne było sprawą drugorzędną.

– Nie jesteśmy nawet rozwiedzeni – tłumaczył Ted.

– Na co czekacie? – pytała matka.

Właśnie miała być wszczęta procedura rozwodowa. Ted poradził się Dana, jednego ze swych znajomych, a ten polecił mu bardzo szanowanego adwokata specjalizującego się w sprawach rozwodowych. Ted wiedział, że szybki rozwód i szybki ożenek z inną kobietą, wszystko jedno z jaką, to jedyny sposób uratowania reputacji jego rodziców w ich środowisku na Florydzie.

– Rozwód to rozwód. Ludzie rozumieją, co to jest. Ja już im mówię, że jesteś rozwiedziony – powiedziała mu matka.

– Wątpię, czy twoje słowa będą miały moc prawną w Nowym Jorku.

– Nie ma się z czego śmiać. Teraz muszę się wszystkim tłumaczyć. Muszę mówić, że żyjesz tymczasem razem ze swoim synem, natomiast ona się gdzieś szlaja.

Ted rozmawiał również ze swoim bratem, – ale dystans, jaki ich dzielił, był nie do pokonania. Ralph chciał mu dać pieniądze. Ted odmówił. Nie mając już nic więcej do powiedzenia Ralph oddał słuchawkę swojej żonie, Sandy, która oświadczyła, że Joanna nigdy jej się nie podobała. Zapewniła Teda, że wzięłaby Billy'ego do siebie na jakiś czas, gdyby ich dzieci nie były od niego tyle starsze. Po wymianie wzajemnych grzeczności powiedzieli sobie do widzenia i nie odezwali się przez całe miesiące.

Thelma widziała w Joannie mściciela za wszystkie nieudane małżeństwa. Pewnego razu wstąpiła do Teda na kawę i oświadczyła mu, że ucieczka Joanny przyczyniła się jej zdaniem do „ujawnienia pewnych spraw”.

– Charlie powiedział mi, że ma romans. Prosił, żeby mu wybaczyć. Wybaczyłam, ale się z nim rozwodzę.

Charlie wpadł następnego wieczoru.

– Thelma powiedziała mi, że mogę się ożenić z tą moją pielęgniarką. Ale ja wcale nie mam na to ochoty. – Wypił kilka głębszych i wychodząc dodał: – Gdyby nie ty, byłbym szczęśliwym małżonkiem.

Rodzice Joanny uspokajali swoje sumienia posyłając Billy'emu zabawki. W ten sposób utratę córki rekompensowali sobie nadzieją na wdzięczność i miłość wnuka. Od czasu

do czasu dzwonił z Bostonu do Nowego Jorku, tak jakby przypuszczali, że te międzymiastowe telefony mogą wyrzucić jakiegokolwiek wrażenie na małym dziecku.

– Billy? To ja, twoja babcia.

– Billy? To ja, twój dziadziuś. Ja też jestem przy telefonie.

– Och. Dzień dobry.

– Jak się masz, Billy? Co robisz?

– Nic.

– Nic? To niemożliwe. Taki duży chłopczyk musi coś robić – mówiła babcia.

– Bawię się.

– Wspaniale. Słyszysz, Sam? On się bawi. A w co się bawisz?

– W ptaszka.

– W ptaszka? To bardzo ładnie. A co to za zabawa?

– Leżę sobie w łóżeczku w pidżamie i ściskam swego ptaszka, który robi się duży i chce wyfrunąć.

– Och.

Jaki był Billy? Miał niewątpliwie temperament. Był pogodny i bezpośredni. Czasem zwracał się do ojca mówiąc: „Co za przyjemny dzień, tatusiu”. Ted uważał, że Billy ma dużo uroku. Bawiąc się z innymi dziećmi nie okazywał żadnej agresywności i Ted zastanawiał się, czy nie odziedziczył tego po nim. Być może Billy, podobnie jak on, nie będzie miał dostatecznej siły przebiccia, gdy dorośnie.

Podziwiał wyobraźnię swego syna, jego zdolność do układania historyjek o latających zajęczkach, o Zrzędzie Oskarze, który pojechał metrem do Paryża, o patykach, które zamieniły się w rakiety kosmiczne, o kamykach, które zamieniły się w motory. Ted zapytał nawet kiedyś pediatrę, czy nie ma w tym nic niepokojącego. Lekarz stwierdził, że są to bardzo cenne cechy, które należy pielęgnować. Uspokojony tymi zapewnieniami Ted robił, co mógł, by sprostać swym zadaniom w tej dziedzinie, i prowadził z Billym rozmowy na temat istoty bytu.

– Tatusiu, coś ty robił, jak byłeś mały?

– Bawiłem się, tak samo jak ty.

– Oglądałeś Muppety?

– Nie było Muppetów. Nie było telewizji.

To było już trudniejsze do zrozumienia.

– Nie miałaś telewizji?

– Nie wynaleziono jeszcze telewizji. Wtedy nikt jeszcze nie myślał o telewizji.

A więc coś tak oczywistego jak telewizja nie istniało? Billy próbował to pojąć.

– A sok jabłkowy był?

– Tak, mieliśmy sok jabłkowy.

Ted zadawał sobie pytanie, jak musi się czuć czteroletnie dziecko, które chce zrozumieć świat.

Właśnie wychodzili z restauracji Burger King, w której jedli kolację każdego piątku. Było to ulubione miejsce Billy’ego.

– Kiedy byłeś mały, to istniał Burger King?

– Nie, Billy, Burger King nie istniał.

– I czego jeszcze nie było?

– Nie było też astronautów ani lodów, które można trzymać w domu, bo nie było takich dużych zamrażalników. I nie było żon i matek, które uciekają od swych mężów i dzieci – mruknął do siebie.

Kancelarię adwokacką Shaunessy i Phillips poleciał Tedowi Dan, sam też adwokat i kibic futbolowej drużyny Giants. Dan, rekomendując Johna Shaunessy, nie omieszkiał zaznaczyć, że jest on również zagorzałym kibicem drużyny Giants. Przez pierwsze piętnaście minut pan Shaunessy, wysoki, dystyngowany mężczyzna powyżej pięćdziesiątki, rozmawiał z Tedem na temat historii klubu i jego obecnych szans, zapewne po to, by nawiązać bliższy, bardziej osobisty kontakt z przyszłym klientem. Potem przeszli do rzeczy.

– Moja sprawa jest chyba bardzo prosta i oczywista.

– Nie ma spraw prostych i oczywistych. Mógłbym panu przytoczyć dziesiątki przykładów, które świadczą o tym, jak bardzo laik może się mylić.

– Nie trzeba, wierzę panu. Czy Dan powiedział panu, o co chodzi?

– Tak. Żona pana rzuciła, przysłała jakieś papiery i gotowa jest wyrzec się wszystkiego.

– Proszę mi powiedzieć: jak to się odbywa, jak długo trwa i ile to mnie będzie kosztować?

– No więc, pierwsza rzecz, o której powinien pan wiedzieć to to, że zajmujemy się obiema stronami. Wśród naszych klientów są mężowie, są również i żony. Mamy zatem nieograniczone doświadczenie. Po drugie, każda sprawa o rozwód może być skomplikowana. Tymczasem mogę panu powiedzieć tylko jedno. Mieszka pan w Nowym Jorku, więc powinniśmy wystąpić o rozwód w Nowym Jorku. Proszę nie zwracać uwagi na to, co ona

robi. Może pan oskarżyć żonę o porzucenie domu rodzinnego, ale to zajmie co najmniej rok, a więc będzie trwało długo, albo o nieludzkie i okrutne postępowanie, co można załatwić w ciągu kilku miesięcy.

– Nieludzkie i okrutne postępowanie...

– Pójdzie pan do lekarza. Lekarz powie, że żyje pan w napięciu. Żyje pan w napięciu, prawda?

– No...

– To widać, że nie ma pan łatwego życia. A jeśli chodzi o pana ostatnie pytanie, to odpowiedź brzmi: dwa tysiące dolarów.

– Uff...

– Ja jestem, jak to się mówi, starym wygą. Wykładam w college'u. Publikuję. Nie jestem tani. Niektórzy żądają mniej, inni więcej. Radzę się rozejrzeć, może znajdzie pan kogoś tańszego.

– Prawdę mówiąc nie mam odwagi. A zresztą, niech to wszystko diabli. Oddaję się w pana ręce.

– Doskonale. Najważniejsza rzecz to mieć dobrego adwokata. Sprawa rozwodowa musi być przeprowadzona w sposób czysty, legalny, ale ostateczny. W końcu chodzi przecież o pańskie życie.

Ted miał zaufanie do Shaunessy'ego. Ale te dwa tysiące dolarów... Zaczął posądzać Joannę, że to też była jej sprawka.

W przedszkolu, do którego chodził Billy, organizowano latem dla dzieci pozostających w mieście zabawy. Za niewielką opłatą Billy mógł więc spędzać przedpołudnia od poniedziałku do piątku z innymi dziećmi. Ted zapisując Billy'ego do takiej grupy rozmawiał przy okazji na jego temat z kierowniczką przedszkola. Wiedział, że okazała mu dużo serca w pierwszym okresie po odejściu Joanny, i liczył się z jej zdaniem. Ona zaś zapewniła go, że Billy daje sobie doskonale radę. „Wie pan, dodała, dzieci przystosowują się dużo łatwiej, niż nam się wydaje”. Ted zwolnił nieco tempo w czasie weekendów, nie urządzał tak często wycieczek turystycznych po Nowym Jorku, nie czuł już potrzeby wypełniania Billy'emu każdej wolnej chwili. Na placu zabaw w pobliskim parku była zjeżdżalnia, liny, drabinki, na które Billy lubił się wspinać, brodzik z fontanną dla ochłody; z parku rozciągał się widok na statki płynące po East River, a przy wejściu zawsze stał samochód z wodą sodową, lemoniadą i lodami o najprzeróżniejszych smakach. Ted siedział sobie i czytał gazetę, podczas gdy Billy

bawił się sam, tylko od czasu do czasu przerywając ojcu lekturę po to, by poprosić, żeby ten kupił mu loda lub pokręcił na karuzeli. Ted nie zachęcał oczywiście syna, by bawił się tylko z nim, ale kończyło się zwykle na tym, że obaj uczestniczyli w jakiejś wspólnej zabawie. Billy zresztą wykazywał pod tym względem dużo inwencji.

– Bawmy się w małpy.

– Co to za zabawa? – pytał Ted.

– Ty jesteś małpą tatusiem, a ja małpą dzidziusiem i wspinamy się na wszystko, co tutaj jest.

– Nie na wszystko – zastrzegł się Ted.

– Na zjeżdżalnię.

– Dobrze, niech będzie zjeżdżalnia.

– Ale musisz piszczeć jak małpa.

– Twój ojciec nie będzie piszczał jak małpa.

– I musisz chodzić po ziemi na czworakach.

– Dlaczego nie mogę być wyprostowaną małpą?

– Bo taka małpa nie jest prawdziwą małpą.

Ted zdał sobie sprawę, że rozmowy weszły w delikatne stadium.

– No, dobrze już – rzekł. – Ty będziesz chodził na czworakach i piszczał, a ja będę się drapać.

– W porządku. Małpa tatuś się drapie.

Tak więc wspinali się na zjeżdżalnię i wydawało im się, że są gdzieś w Afryce. Udawali małpy, Billy prawdziwą, Ted nieco zmodyfikowaną.

W pewien upalny lipcowy poranek udali się do parku na plac zabaw zabierając ze sobą kanapki na lunch. Billy bawił się w brodziku pod fontanną, a Ted podobnie jak inni ojcowie zdjął buty i skarpetki, podwinął nogawki, moczył nogi i czytał gazetę. Billy biegał po całym placu zabaw i pluskał się w wodzie szczęśliwy, że może spędzić dzień w majtkach kąpielowych.

– Bądź moim nosiwodą – mówił Ted, a Billy napełniał kubek wodą, a potem podchodził do ojca i wylewał całą zawartość na jego pochyloną głowę. Ted parskał, a Billy pękał ze śmiechu.

Zostali do późnych godzin popołudniowych, a gdy minął upał i zaczęły wydłużać się cienie, w parku robiło się coraz piękniej. Ted czuł się naprawdę dobrze, a Billy był najszczęśliwszym z dzieci. Razem przeżywali te przyjemne chwile. Rzeczywiście dzieci przystosowują się szybciej, niż nam się wydaje, a może tak samo jest również z dorosłymi,

myślał Ted. Gdy rozejrzał się wokół, stwierdził nagle, że Billy gdzieś zniknął. Nie było go w brodziku ani w piaskownicy, ani na drabinkach, ani na zjeżdżalni. Ted zaczął krążyć po placu zabaw. Po Billym nie było śladu.

– Billy! – zawołał. – Billy! – Pobiegnął do wyjścia, gdzie stał sprzedawca z lodami, ale i tu go nie było. – Billy! Billy!

Nagle zauważył syna. Billy opuścił plac zabaw i biegł ścieżką. Ted ruszył za nim, wołając go, ale Billy nie oglądał się za siebie. Biegł dalej chwiejnie na swoich małych nóżkach. Ted dogonił go w końcu i będąc już tylko o kilka kroków za nim, usłyszał, jak mały woła: „Mamusi! Mamusi!” Jakaś kobieta o ciemnych włosach szła przed nimi. Billy dopadł ją, chwycił rączkami za spódnicę. Odwróciła się i spojrzała na niego zdziwiona. Jakaś kobieta, spacerująca po parku.

– Myślałem, że pani jest moją mamusią – rzekł Billy.

## 8

Larry twierdził, że to nadzwyczajna okazja: jest do kupienia mieszkanie w domu na Fire Island, bo dotychczasowa właścicielka zwariowała.

– Dlatego że mieszkała w tym domu? – zapytał Ted.

– Nie wiem dokładnie, jak to było – odparł Larry. – Zdarzyło się to podczas święta 4 lipca, które spędziła sama. Pod koniec weekendu okazało się, że nie może wstać z krzesła.

Ted miał skrupuły, nie chciał bowiem wykorzystywać sytuacji biednej kobiety. Poza tym wołał nie wprowadzać się do domu, w którym lokatorzy wariują. Ale Larry nalegał, więc Ted mimo wszystko postanowił zadzwonić do pani, która zajmowała się administracją tego domu. Z zawodu była dekoratorką wewnątrz miała dziesięcioletniego synka, a poza tym flirtowała z Larrym.

– W tym domu mieszkają tylko samotni ojcowie albo samotne matki z dziećmi – powiedziała Tedowi przez telefon, Ted poczuł się od razu nieswojo, dowiedziawszy się, że został katalogowany. – Nie chcemy kawalerów. Pan się doskonale nadaje. A poza tym jest pan mężczyzną. Chętnie przyjmimy do naszego grona jeszcze jednego mężczyznę.

W piątek o pół do szóstej pani Willewska przyprowadziła Billy'ego na dworzec, skąd odchodził pociąg na Fire Island, dworzec przepełniony był ludźmi uciekającymi z miasta na przedmieścia, nad morze. Ted przepychał się przez tłum. Gdy zauważył panią Willewską i

Billy'ego, widok ten wydawał mu się tak niecodzienny, że zwolnił kroku i zatrzymał się. Billy, ta istota odgrywająca tak ważną rolę w jego życiu, był tak nieprawdopodobnie maleńki i bezbronny na tym zapchanym ludźmi dworcu. Stał trzymając za rękę panią Willewską, drobnutki chłopczyk, zagubiony w tłumie.

– Cześć! – zawołał Ted. Billy rzucił się w jego kierunku i przytulił mocno, jakby nie widział go od tygodni, zapewne zdziwiony, że jego własny ojciec wyłonił się z tego niesamowitego chaosu.

Ted zawsze uważał, że Ocean Beach na Fire Island to miejscowość przeludniona i brudna. Nagle, dzięki Billy'emu, który dostrzegł tylko kiosk z lodami, sklep z zabawkami i stoiska z pizzą („Nie mówiłeś, że oni tu mają pizzę”) Ocean Beach wydała mu się Cannes.

Ted znalazł dom podobny do wielu innych, z osłoniętym gankiem i czerwoną tablicą nad wejściem z napisem „U Glorii”. Drzwi otworzyła mu pani Gloria, kobieta o obfitych kształtach, około czterdziestki. Miała na sobie dzinsy z obciętymi nogawkami i koszulkę (a był to okres, kiedy bardzo modne były koszulki z różnymi nadrukami) z napisem „Duży biust”.

– Więc to ty jesteś Ted! – zawołała gromkim głosem.

Onieśmielony Billy chował się między nogami ojca. Gloria przedstawiła go pozostałym lokatorom. Ellen pracowała w wydawnictwie i miała jedenastoletnią córkę, Bob był psychiatrą i miał szesnastoletniego syna, który razem z nim spędzał wakacje, Marta była właścicielką sklepu ze zdrową żywnością i miała czterdzieści sześć lat i dziewiętnastoletnią córkę. W domu znajdował się wspólny salon i jadalnia oraz pięć odrębnych sypialni. Każdy rodzic dzielił sypialnię ze swoim potomstwem.

Zgodnie z regulaminem wywieszonym nad umywalką odpowiedzialność za zachowanie dzieci przy stole ponosili rodzice. Posiłki przygotowywali kolejno poszczególni lokatorzy, ale to, czy dziecko jadło, czy nie, czy marudziło przy stole, czy nie, było wyłącznie sprawą rodziców. Rodzice biegali stale do kuchni, ciągle coś przygrzewali lub odgrzewali. Ellen, redaktorka, wysoka, mająca około czterdziestki, prosiła wszystkich, żeby uważali, czy kura, którą wstawiła do pieca, się nie przypała. Bob, psychiatra o surowym obliczu i lekko zgarbionych plecach, był raczej małomówny, a jego syn był nie tylko fizycznie, ale również psychicznie podobny do ojca. Pani Marta, właścicielka sklepu ze zdrową żywnością, musiała zapewne odkryć duże zalety spożywcze sprzedawanych przez siebie produktów, bo przy dość niskim wzroście ważyła chyba z dziewięćdziesiąt kilo, a jej córka, dziewczyna o blond



włosach, była wprawdzie o kilka centymetrów wyższa, ale za to o kilka kilo cięższa. Na deser potrafiły zjeść we dwie cały tort czekoladowy.

Po kolacji przyszedł Larry. W ostatnich latach nie widywali się często. Ted patrząc na swego przyjaciela w scenerii Fire Island przypominał sobie dawne przygody, a widok jego łysiejącej czaszki i zaokrąglającego się brzucha uświadomił mu nieuchronnie przemijanie czasu.

– Dziś wieczór szykuje się wielka zabawa. Będą wspaniałe dziewczyny. – Pod tym względem Larry się nie zmienił.

– Muszę zostać z Billym.

– Zabierz Billy’ego. Dla niego też się ktoś znajdzie.

– To brzmi zachęcająco.

– Oczywiście. Nie zapominaj, stary, że to Fire Island. – Potem wyszedł z Glorią, która zmieniła swoją koszulkę z nadrukiem „Duży biust” poplamioną podczas kolacji na inną, czystą, z takim samym nadrukiem.

Ted i Billy spędzili kilka przyjemnych dni na plaży. Ted grał w siatkówkę, a Billy budował zamki z piasku. W niedzielę po południu zadzwonił Larry i zaoferował się, że ich odwiezie samochodem do domu.

– Proszę cię tylko o małą przysługę. Nie mów nic na mój temat Glorii. Zerwaliśmy ze sobą.

– Larry, jak mogliście zerwać? Przecież nawet nie byliście razem.

– Byliśmy przez tydzień. A jak twoje sprawy, stary? Poderwałś kogoś?

– Nie starałem się.

– Na co czekasz? Weź się wreszcie do roboty.

Od odejścia Joanny minęły cztery miesiące. W tym czasie Ted dotknął innej kobiety. W ogóle przez sześć lat, a więc od chwili, poznał Joannę, nie miał innej kobiety.

– Wyszedłem z wprawy, stary. Nawet nie wiem, na co się z podrywa – wyznał Ted.

Żeby zebrać wszystkich lokatorów, Gloria biła w gong. Tłumaczyła się przed Tedem, że wprawdzie zwoływanie zbiórki w ten sposób ma w sobie cechy żołnierskiego drylu, ale pomaga utrzymać porządek. W niedzielę wszyscy schodzili się, by wysłuchać sprawozdania finansowego o wydatkach, które ponosił kolejno każdy lokator. To też należało do regulaminu. I o tym Ted zapomniał. Teraz musiał się zdecydować, czy chce przystąpić do spółki. Jego udział miał wynieść dwieście dolarów, co Larry uważał za cenę wyjątkowo korzystną.

– Nie podjąłem jeszcze ostatecznej decyzji – powiedział Ted. Inni lokatorzy

przypatrywali mu się zdziwieni, jakby ich osobiście obrażał. – Muszę się jeszcze poradzić.

Billy bawił się na dworze w chowanego z chłopcem, który mieszkał w sąsiednim domu. Ted powiedział mu, że muszą wracać do miasta. I właśnie miał jeszcze dodać, że trzeba się będzie zdecydować, czy zechcą tu znów przyjechać, gdy Billy wybuchnął płaczem. Oświadczył, że nie chce opuszczać swego nowego przyjaciela, że podoba mu się tutaj i lubi tę wyspę. Ted zapłacił więc dwieście dolarów i stał się oficjalnym udziałowcem w domu „U Glorii” dla samotnych ojców i matek z dziećmi.

Ocean Beach aż roiła się podczas weekendów od ludzi krążących po barach i różnych domowych przyjęciach. Ale współlokatorzy Teda byli raczej domatorami i to mu odpowiadało. Przesiadywał wieczorami w ich towarzystwie w salonie, czytając lub rozmawiając. Był szczęśliwy, że nie musi udawać kawalera.

– Jestem taka spięta w ciągu tygodnia – mówiła Marta – że marzę po prostu o relaksie.

Ale Ted czuł, że w tym domu panuje jakaś nerwowość. Rosła ona i dochodziła do zenitu, jeśli Marta, Ellen i Gloria wypuszczały się na noc i wracały nie upolowawszy nikogo. George, psychiatra, rzadko opuszczał fotel. Największe towarzyskie sukcesy miał Billy. Zaprzyjaźnił się z pięcioletnim chłopcem imieniem Joey, mieszkającym w sąsiednim domu. Bawili się razem albo jeździli z innymi chłopcami na małych czerwonych motocyklach.

Był to już trzeci weekend Teda w Ocean Beach. Właśnie siedział w sobotę wieczorem w salonie z George'em. Obaj trzymali książki i udawali, że czytają. Ted uznał, że powinien odezwać się do George'a. Tak rzadko ze sobą rozmawiali.

– Ciekawe? – zapytał Ted. Była to raczej prymitywna próba rozpoczęcia rozmowy.

– Tak.

– O czym to? – Ted nie poznawał własnego głosu. Żałował, że się odezwał.

– O starości – odparł George i na tym skończyła się rozmowa.

Jakieś pół godziny później Ted zakończył czytanie książki o oceanografii i powiedział dobranoc.

– Czy to prawda, że opuściła pana żona? – zapytał nagle George ku zdziwieniu Teda.

– Tak. Kilka miesięcy temu.

– Ach tak.

George najwyraźniej zastanawiał się. Ted czekał. Przecież miał do czynienia z psychiatrą!

– Myślę – rzekł powoli George, jakby dobierał starannie słowa – że powinien pan więcej wychodzić z domu.

– Naprawdę? – rzekł Ted. – Taką radę mógłbym dostać od swojej matki.

Nie mógł już tego dłużej odkładać. Zbliżała się połowa sierpnia. Billy bawił się w domu swego przyjaciela i został zaproszony na kolację. Ted miał co najmniej dwie godziny do swej dyspozycji, a w domu obok odbywało się przyjęcie przy drzwiach otwartych. Nalał sobie drinka i ze szklanką w ręce ruszył w kierunku rozbawionego tłumu. Ze wszystkich stron otaczali go ludzie również ze szklankami w rękach. I nagle odżyły dawne wspomnienia. Wydało mu się, że zaraz ją ujrzy, tę najpiękniejszą ze wszystkich dziewcząt na przyjęciu, że prześlizgnie się zręcznie przez tłum, stanie obok niej, przedstawi się, weźmie jej numer telefonu, umówią się w mieście, będą spędzać razem każdą wolną chwilę, pobiorą się... Joanno, Joanno, gdzie jesteś? Pod powiekami poczuł ucisk łez, ale opanował się. Nie da jej tej satysfakcji.

Larry był na posterunku; obejmował ramieniem jedną ze swych ostatnich zdobyczy. Ujrzawszy Teda pomachał mu dłonią i zaprosił do siebie. Ted przeciskał się przez tłum i rozglądał wokół, czy czasem nie warto się kimś zainteresować. Jeszcze nie wyszedł całkowicie z wprawy.

– A więc nareszcie jesteś, stary! – zawołał Larry. – Ted, to jest Barbara, a to jej przyjaciółki, Roda i Cyntia.

Dziewczyna Larry’ego była ładna, choć może trochę za bardzo wymalowana. Wszystkie one, Barbara, Roda i Cyntia, miały chyba powyżej trzydziestki. Roda była niska, tęga i miała brzydką cerę. Kilka lat temu Ted nie zwróciłby na nią uwagi z powodu jej niezbyt atrakcyjnej urody. Teraz właśnie z powodu jej wyglądu czuł dla niej litość. Ona była do wzięcia, od razu, tak zresztą jak on sam. Cyntia prezentowała się lepiej, miała łagodniejsze rysy, ciemne włosy i wysmukłą figurę.

– Ted rozpoczyna życie na nowo – reklamował swego przyjaciela Larry.

– Niezupełnie – sprostował Ted.

– Wyznam wam coś, dziewczęta, tylko tego nie rozgłaszajcie – ciągnął Larry. – Otóż Ted był swego czasu najbardziej wziętym kawalerem w naszym gronie.

Roześmiali się wszyscy, prócz Teda. Pierwsze pytanie zadała mu Cyntia:

– Czym się zajmujesz, Ted?

– Sprzedaję reklamy.

Od razu wyczuł, że jego akcje spadły.

– Kiedy widzisz reklamy w jakimś czasopiśmie, to znaczy, że ktoś sprzedał miejsce na reklamy firmom, które chcą się reklamować. Ja reprezentuję czasopisma i mam do czynienia z agencjami reklamowymi. Namawiam je, by kupiły miejsce w czasopismach na reklamy dla swoich klientów.

- To brzmi fascynująco.
- A co ty robisz? – zapytał Ted.
- Jestem sekretarką w kancelarii adwokackiej.
- To chyba bardzo ciekawe.

Barbara zaprosiła Larry'ego na kolację, Cyntia również zaprosiła Teda na kolację. Ted wskoczył do domu i zapytał Martę, czy zechciałaby położyć Billy'ego do łóżka. Marta nie miała nic przeciwko temu, Billy też nie, więc Ted mógł przyjąć zaproszenie. Wraz z Barbarą i Cyntią mieszkała jeszcze trzecia pani, która również zaprosiła na ten wieczór jakiegoś mężczyznę. Matka Barbary, która przyjechała na weekend, próbowała być młodsza od swej córki. Przeprowadziła ze sobą dwóch marynarzy poznanych w porcie, którzy przynieśli skrzynkę piwa.

– Nie sądzę, by to przyjęcie zostało odnotowane w kronice towarzyskiej „Timesa” – szepnął Ted Larry'emu.

– Poczekaj chwileczkę. Zmienisz zdanie, jak zobaczysz, czym nas uraczą. Na pewno będą wspaniałe jajka z rusztu.

Po chwili zjawiała się Barbara ze stekami, co wywołało powszechny entuzjazm. Marynarze zajęli się grillem. Ted i Larry przygotowali sałatę. Piwo i inne napoje alkoholowe płynęły szeroką strugą. Okazało się, że jeden z marynarzy jest zażartym kibicem baseballu, więc nie zabrakło tematów do rozmowy. Matka Barbary zrobiła tort orzechowy, który został zjedzony do ostatniej kruszynki. Rozmawiali o jedzeniu, prawili sobie komplementy i snuli plany o wspólnym zakupieniu dużego domu. Cyntia była najcichsza, jakby się obawiała, że jakieś niepotrzebne słowo urazi kogoś z gości. Chciała więcej wiedzieć o tym, co robi Ted, a on wypytywał ją o szczegóły jej pracy. Ktoś nastawił adapter na cały regulator i zrobiło się jeszcze głośniejsze. Tedowi przypomniały się te wszystkie przyjęcia, w których nie uczestniczył, a przez które nie mógł zmrużyć oka w swoim pokoju. Tańczył z Cyntią, która lgnęła do niego tak, że po raz pierwszy od wielu miesięcy miał naturalną erekcję.

Podczas gdy towarzystwo bawiło się w najlepsze, Ted ujął Cyntię za rękę i poprowadził na brzeg oceanu. Przez chwilę stali obok siebie milcząc, potem Ted pocałował ją. Rozchyliła usta, przylgnęli do siebie, ich języki spotkały się, jego dłonie błądziły po jej sukni, szukały jej ciała. Po chwili leżeli na wydmie niewidoczni i całowali się. „Och, Ted”, wyrwało jej się z ust. Przez sekundę Ted nie wiedział, co odpowiedzieć, bo zapomniał, jak ma na imię. Przywarł do niej myśląc równocześnie, że gdyby ich odkryto, to mogliby powędrować za kratki. Wreszcie przypomniał sobie jej imię i wykrztusił: „Och, Cyntia”. Jakiś policyjny wóz patrolowy oświetlił plażę reflektorem, zerwali się więc na nogi poprawiając na

sobie ubrania. Szli do domu zatrzymując się co kilka kroków, żeby się pocałować. Nie chcieli im się wracać do rozbawionego towarzystwa, a w mieszkaniu Teda paliło się wciąż jeszcze światło, szli więc obok siebie całując się. Tedowi zrobiło się nagle smutno na myśl o tej dziewczynie, tak strasznie spragnionej miłości, nawet ze strony kogoś, kto nie może zapamiętać jej imienia. Znów przyłgnęli do siebie w ciemności, opierając się o jakiś parkan. Ted zaczął szukać jej ciała. Była spocona i lepka jak powietrze Ocean Beach.

Wreszcie w jego domu zgasły światła. Ted ujął jej ramię.

– Chodź do mnie.

– A co z twoim chłopakiem? – zapytała.

– On się nie obudzi.

Wślizgnęli się do domu, potem do pokoju, potem do łóżka. Leżeli obok Billy'ego, który spał smacznie lekko pochrapując, przykryci prześcieradłem. Mieli nadzieję, że jeśli Billy się obudzi, to zobaczy prześcieradło, a nie ich, i pomyśli, że to jakiś duch. Poruszali się ostrożnie, żeby materac za mocno nie skrzypiał. Ted pocałował ją kilka razy z obowiązku, a potem ich ciała złączyły się. Dla Teda wszystko trwało nie dłużej niż kilka sekund.

– Przepraszam cię – rzekł. – Od dawna nie spałem z kobietą.

– Nie szkodzi – odparła.

I tak skończyła się ta szaleńcza noc miłosna, w wąskim łóżku, pod dużym prześcieradłem, obok śpiącego dziecka. Ted próbował raz jeszcze swych sił, ale łóżko skrzypiało coraz głośniejsze, Billy kręcił się we śnie, ona miała już dość. „Nie wstawaj”, powiedziała, wychodząc z łóżka i poprawiając na sobie bieliznę, której nie zdążyła zdjąć. On jednak wstał i założył te części garderoby, które zrzucił z siebie w pośpiechu przed chwilą. Nie zapomniał, że należy panią odprowadzić do domu. Szli obok siebie w milczeniu. W jej mieszkaniu wciąż trwała zabawa. Pocałował ją, ona odwzajemniła mu się i weszła do środka. Wkrótce Ted był znów w swoim pokoju i zasypiał obok swego synka.

Nazajutrz spotkali się na spacerze, powiedzieli dzień dobry, ale nie spojrzeli na siebie. Z tej nocnej miłosnej przygody nie pozostało nic. Ale Cyntia, której imienia nie pamiętał, nawet gdy był przy niej, oznaczała coś znacznie ważniejszego w jego życiu. Była pierwszą kobietą, z którą spał od odejścia Joanny. Wiedział, że następnym razem będzie w lepszej formie, odegra swoją rolę sprawniej, ale zawsze będzie to inna kobieta, nie Joanna. Przez jakiś czas nie dopuszczał tej myśli do siebie, ale teraz musiał się z tym pogodzić. To było nieuniknione. Jeśli żona cię porzuca, to nadejdzie chwila, kiedy zaczniesz od nowa z innymi kobietami. Był znów samotny, do wzięcia.

Ale jeżeli sądził, że wystarczy tylko pokazać się na jakimś przyjęciu, by zakończyć

wieczór z kimś w łóżku, to czekało go rozczarowanie. Podczas następnego weekendu nikt nie zwrócił na niego uwagi, podczas kolejnego też szczęście mu nie dopisało, a podczas weekendu w Święto Pracy, kiedy wszyscy uganiaли się za nowymi znajomościami, Ted stał przed swoim domem z drinkiem w ręku i przyglądał się przechodniom śpieszącym na różne przyjęcia. Nawet próbował zagadnąć jakąś przystojną dziewczynę w białej sukni. Ona wprawdzie uśmiechnęła się do niego, ale podążyła na swoje przyjęcie, na które on nie mógł pójść. Miał czteroletniego synka, cierpiącego na jakieś dolegliwości żołądkowe, który właśnie zwymiotował w salonie i teraz odpoczywał w swoim pokoju. Spoglądał z zazdrością na tych wszystkich ludzi, którzy zegnali lato na ostatnich przyjęciach, i myślał sobie, że dobrze jest nie mieć żadnych obowiązków i przejmować się tylko własnymi sprawami. Im było dobrze, on nawet na krok nie mógł ruszyć się stąd.

– Jak się czujesz, koteczku?

– Niedobrze, tatusiu.

– Chyba zjadłeś za dużo prażynek u Joey’ego.

– Aha. Zjadłem za dużo prażynek u Joey’ego.

– Staraj się zasnąć, kochanie. Jutro to nasz ostatni dzień tutaj. Zobacysz, będzie fajnie. Zbudujemy z piasku największy zamek na całej plaży.

– Ja nie chcę jechać do domu.

– Słuchaj, Billy. Zaraz zacznie się jesień, a jesienią jest pięknie w Nowym Jorku. No, a teraz trzeba już spać.

– Zostań ze mną, aż zasnę, tatusiu.

– Zostanę, koteczku.

– Zjadłem za dużo prażynek u Joey’ego.

Nadszedł ostatni dzień w domu „U Glorii”. Ellen, redaktorka, która przez całe lato nie poznała nikogo, nie ruszyła się ze swego miejsca. Według George’a, psychiatry, zawsze skorego do stawiania diagnozy, Ellen to osoba bardzo wrażliwa i jej stan ma związek z tym, że podczas weekendu, kiedy obchodzono święto 4 lipca, jej dawna sąsiadka wpadła w stan apatii i nie mogła wstać z krzesła. Tak to już było na Fire Island, gdzie do kroniki każdego letniego sezonu przechodziła zarówno ilość par, jakie się tu skojarzyły, jak i liczba zachorowań na tle nerwowym, jakie wystąpiły wśród wczasowiczów.

Ted zrozumiał, że wracając na Fire Island znów wdał się w nieprzyjemną grę, która nie dodaje mu splendoru. Wiedział również, że nie skończy się to po powrocie do Nowego Jorku. Czuł jakiś niesmak, tym większy, że czekał go długi okres samotności.

Rozprawa rozwodowa trwała siedem minut. Sędzia załatwił to w swoim gabinecie. John Shaunessy, adwokat, szedł przebojem, przedstawił kilka zaświadczeń, zgodę małżonki, list od lekarza mówiący o stanie napięcia nerwowego występującego u Teda, Ted odpowiedział na piśmie na kilka pytań, oświadczył, że jego małżeństwo z Joanną było niezadowolające. Sędzia nie okazywał większego zainteresowania sprawą. Strona przeciwna nie oponowała. Orzeczenie o rozwodzie i przyznanie praw opiekuńczych Tedowi zostało wydane z uzasadnieniem „okrutnego i nieludzkiego traktowania, czyniącego wspólne pożycie niebezpiecznym i niewłaściwym”. Po dziesięciu dniach przyszły pocztą papiery podpisane przez sędziego i od tej chwili Ted Kramer i Joanna Kramer mogli się uważać za oficjalnie rozwiedzionych.

Ted czuł, że powinien zdobyć się na jakiś gest, i zabrał Billy’ego na dużego hamburgera. Uroczystość była raczej skromna, bo chłopiec zadowolił się tylko specjalną porcją frytek. Do tej pory Billy nie bardzo orientował się, na czym polega małżeństwo, a Ted wolał nie komplikować sobie i jemu życia. Ale teraz, kiedy sprawa została prawnie uregulowana, Ted uważał, że jego syn powinien znać prawdę.

– Posłuchaj mnie, Billy – zaczął Ted. – Otóż jest coś takiego, co się nazywa rozwód. Rozwód jest wtedy, gdy dwoje ludzi, którzy byli małżeństwem, przestaje być małżeństwem.

– Wiem, Seth się rozwiodła.

– To nie Seth się rozwiodła, tylko rodzice Seth się rozwiedli. Tak jak twój tatuś i twoja mamusia. Otóż teraz twój tatuś i twoja mamusia są rozwiedzeni.

– A czy mamusia nie powiedziała, że będzie mi przysyłać prezenty?

– Nie mogę odpowiadać za jej słowa, Billy.

– Może mi jeszcze przyśle.

Ted wpatrywał się w chłopca jak w obrazek.

– Mogę jeszcze dostać trochę frytek?

– Nic z tego. Masz już dość.

Ten lunch był bardzo przyjemny, ale raczej niewspółmierny do wydarzenia, które na dodatek kosztowało dwa tysiące dolarów w adwokackich honorariach. Ted czuł, że należy mu się coś więcej. Z restauracji zadzwonił do młodej dziewczyny mieszkającej w tym samym domu co on i pełniącej od czasu do czasu funkcje babysitterki. Okazało się, że może ona ten wieczór spędzić z Billym. Ted nie miał żadnej przyjaciółki, z którą mógłby świętować swój

rozwód. Cały dwumiesięczny okres po powrocie z Fire Island minął bez przygód, a jego życie towarzyskie, jak to się mówi, leżało odłogiem. Wieczór w towarzystwie Larry'ego nie wchodził w rachubę, bo byłby zbyt męczący. Iść samotnie do jakiegoś baru i opowiadać nieznaną historię swego życia też mu się nie uśmiechało. W końcu postanowił zadzwonić do dentysty, Charliego.

Charlie przeprowadził się do kawalerki, zamieszkał tam ze swoją pielęgniarką, ale po dwóch tygodniach wspólnego pożycia zerwali ze sobą. Charlie zadzwonił wtedy do Teda i oświadczył, że tacy jak oni powinni trzymać się razem i widywać częściej. Kiedy Ted zaproponował, żeby się spotkali tego wieczoru, Charlie przyjął tę propozycję z entuzjazmem. Umówili się w barze na Drugiej Alei przy 72 Ulicy, w samym sercu dzielnicy barów, do których uczęszczali samotni mężczyźni. W planie mieli odwiedzenie kilku barów. Ted miał na sobie sztruksową marynarkę i golf. Charlie, mężczyzna raczej tęgi, lat około czterdziestu pięciu, ubrany był w blezer i kraciaste spodnie o jaskrawych kolorach, jakby żywcem wyjęte z op-artu.

Bar, w którym się umówili, wyglądał z zewnątrz dość przyzwoicie i pełen był mężczyzn ubranych w skórę. Przy drzwiach stał jakiś facet w stroju kowboja; miał na sobie obcisłe spodnie podkreślające wypukłość jego krocza. Następnym barem, do którego wstąpili, była „Rio Rita” z grającą szafą i tłumem młodych ludzi. Tu wypili kilka drinków i Charlie oświadczył Tedowi, że już nie obciąża go odpowiedzialnością za to, iż rozszedł się z Thelmą. U „Hansela” roilo się od niedbale ubranych chłopców i dziewcząt, jakby trafili na jakiś europejski festiwal młodzieży. Tu Ted dowiedział się, że Thelma widuje się teraz ze znajomym Charliego, również dentystą. W „Zapacie” goście byli w nieco starszym wieku, ale Ted i Charlie wciąż wydawali się najstarszymi. Tutaj Charlie rozgrzeszył Teda za swoje zerwanie z pielęgniarką. Ted, lekko zamroczony, nie był całkiem pewny, czy zasługuje na taki akt laski. W następnym barze goście byli bardziej dystyngowani, ale panował tak wielki tłok, że dla dwóch nowych, nie będących stałymi bywalcami, nie znalazło się miejsce. Nie pozostało im nic innego, jak szukać gdzie indziej.

– Do tej pory próbowaliśmy w tych wszystkich barach szesnastu sposobów, by poderwać jakąś cizię – rzekł Ted, sam nie wiedząc, jak określić poczynania swego przyjaciela, który niczym zepsuta płyta nie mógł się zdobyć na nic oryginalniejszego niż: „Cześć, mała. Jak ci na imię?”

Ted i Charlie stali na Drugiej Alei oparci o mur i przygotowywali się do godziny wyznań, która miała być ukoronowaniem tego wieczoru, ale do której jakoś nie dochodziło, bo mieli za wielki zamęt w głowach.



– Czy już ci powiedziałem, jak mi przykro z powodu Joanny? – wymamrotał Charlie.

– Staram się nie myśleć o niej – odpowiedział Ted.

– A ja bez przerwy myślę o Thelmie – ciągnął Charlie zalewając się łzami. Ted ujął go pod ramię i zaproponował, jak przystało na trzeźwego pijaka, by wypili strzeziennego w „Smaragdowej Wyspie”. Charlie zasypiał. Ted wyciągnął go z baru i zaprowadził do domu. Potem, trzymając się na nogach, jak mógł najpewniej, wrócił do siebie i udając dżentelmena wobec babysitterki podziękował jej za umożliwienie mu spędzenia uroczego wieczoru.

Ted poinformował niektórych ludzi ze swego otoczenia o rozwodzie i pomyślał, że dobrze byłoby zawiadomić o tym fakcie również Joannę. Kiedy jego adwokat wszczął sprawę rozwodową, Ted otrzymał adres od jej rodziców; był to numer skrzynki pocztowej w miejscowości La Jolla w Kalifornii. Postanowił więc wysłać jej kopie dokumentów. Stosunki między nim a jej rodzicami nie uległy poprawie. Przyjeżdżali do Nowego Jorku, ale jemu nie mieli nic do powiedzenia.

– Zapytaj go, kiedy mamy przyprowadzić dziecko do domu – mówił ojciec Joanny do swej żony.

Ted chciał dowiedzieć się, co słyhać u Joanny, ale jej matka zbywała go mówiąc:

– Gdyby Joanna miała ochotę poinformować cię o tym, co robi, uczyniłaby to sama.

Ted mógł się zorientować, że rodzice Joanny nie są w pełni zadowoleni ze swej córki, nie wykluczał też wcale i tej ewentualności, że sami niewiele o niej wiedzą. Jego ekspert od psychologii, Thelma, która sama korzystała z usług psychoanalityka przez siedem lat, oświadczyła, że Joanna być może zbuntowała się przeciwko swoim rodzicom i wcale nie muszą oni wiedzieć, co się z nią dzieje. W gruncie rzeczy, twierdziła Thelma, Joanna uciekła nie tylko od niego, ale również od swoich rodziców.

– A ty powinieneś więcej dbać o swój stan psychiczny – radziła Tedowi.

– Masz rację. Do diabła z Joanną.

– Nie to miałam na myśli. Uważam, że powinieneś się leczyć. Po tym wszystkim, co ci się przydarzyło. Nie chciałbyś wiedzieć, dlaczego?

– Joanna wie.

– Ale ty też na pewno nie jesteś bez winy. Dlaczego nie chcesz pójść do mojego doktora?

– Nie czuję się winny. A zresztą już jest na to za późno.

Siedział przy stole trzymając przed sobą orzeczenie sądu o rozwodzie i układał w

myślach list do Joanny. „Możesz znów wyjść za mąż, dziecino, w Newadzie czy w Nowym Jorku, gdzie chcesz”. Ale to wydało mu się zbyt trywialne. „Pomyślałem sobie, że przy okazji mógłbym dopisać kilka słów o tym, co u nas słychać, a raczej jak się ma Billy”. Ale to też było nie na miejscu. Przecież ona wcale nie prosiła go o informacje. W końcu postanowił włożyć te papiery do koperty i wysłać je bez słowa. Niech mówią same za siebie. Kiedyś porozumiewali się wzrokiem, dotykiem, mową; teraz rozmawiali ze sobą za pośrednictwem orzeczenia rozwodowego.

Rodzice Teda przyjechali do Nowego Jorku z od dawna zapowiadzaną wizytą. Wyglądali świetnie z piękną opalenizną na okrągłych twarzach.

– On jest taki chudy – oświadczyła babcia.

– Nie szkodzi. Nic mu nie jest. Już ma taką budowę – tłumaczył Ted.

– Wiem, jak powinno wyglądać dziecko. Nie na próżno miałam restaurację przez tyle lat.

Od razu orzekli, że to na pewno wina „tej Polki”, która nie karmi Billy’ego jak trzeba (na panią Willewska natknęli się po swoim przyjeździe i potraktowali ją z wyniosłą uprzejmością). Dora Kramer postanowiła sama zająć się kuchnią i wypełniła lodówkę najrozmaitszymi wiktuałami oraz przygotowała potrawy z drobiu i wołowiny, których Billy nie chciał jeść.

– Nie rozumiem, czym to dziecko żyje – mówiła.

– Spróbuj mu dać pizzę – rzekł Ted.

– Billy, dlaczego nie jesz pieczeni, którą babcia przygotowała specjalnie dla ciebie? – próbowała go skłonić pochlebstwem.

– Nie mogę, babciu. To mięso jest za twarde. Nie mogę rozgryźć.

Ted chętnie pocałowałby swego syna za te słowa. Od nie wiadomo ilu lat całe pokolenia Kramerów tolerowały skłonność Dory Kramer do przetrzymywania wołowiny zbyt długo w piecu i dopiero William Kramer odważył się powiedzieć jej w oczy, co myśli o jej pieczeni. Zaraz potem Billy poszedł spać odmawiając uczestniczenia w układaniu łamigłówki przywiezionej przez dziadka, na której zapewne połamałby sobie zęby chłopak dwa razy starszy od niego.

– Nie podoba ci się łamigłówka, którą babcia wybrała specjalnie dla ciebie?

– Nie, babciu. Te klocki są za małe.

Gdy starsi zostali sami i mogli rozmawiać swobodnie, Dora Kramer przeszła do

poważniejszych tematów.

– Z tym sprzątaniem nie jest tutaj najlepiej – powiedziała.

– Pani Willewska jest bardzo dobra. Żyje nam się wcale nie najgorzej – bronił się Ted.

Dora Kramer wołała nie odpowiadać. Ci z Bostonu, jak i ci z Florydy, to znaczy zarówno jego rodzice, jak i rodzice Joanny zmówili się, tak się przynajmniej Tedowi zdawało, żeby mu udowodnić, iż nie potrafi ułożyć sobie życia, a przede wszystkim, że nie potrafi zapewnić odpowiednich warunków Billy’emu. Postanowił nie poddawać się ich krytyce.

– Billy to wspaniały chłopak, mamo.

– Ale ma jakiś zagubiony wzrok.

– Uważam, że jest bardzo szczęśliwy, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności.

– A co ty o tym sądzisz, Harold? – zapytała Dora swego męża.

– Jest za chudy – odparł Harold Kramer.

Kiedy zbierali się już do wyjazdu, Dora Kramer rozejrzała się po mieszkaniu i powiedziała:

– Trzeba tu zmienić wiele rzeczy.

– Dlaczego? – zapytał Ted.

– Bo to wciąż jest jej mieszkanie. Sama się dziwię, że nie pozbyłeś się jeszcze niektórych mebli.

Mieszkanie zostało umeblowane w nowoczesnym, a zarazem eklektycznym stylu, z obiciami w kolorze beżowym i brązowym, ze szwedzką sofą, zasłonami w indiańskie wzory w salonie i stołem na rzeźnickim kłocu w jadalni. Wszystko to było w dobrym guście, choć nie bardzo w guście Teda, który zresztą nie miał wyraźnie sprecyzowanych upodobań. O urządzeniu mieszkania decydowała przeważnie Joanna. Po jej odejściu nie przyszło mu do głowy, że mógłby cokolwiek tu zmieniać.

– To na przykład – powiedziała Dora wskazując dużą czarną ceramiczną popielniczkę, prezent od rodziców Joanny. – Co to jeszcze tu robi?

– Bardzo wam dziękuję, żeście nas odwiedzili – odparł Ted.

Po ich wyjściu rozbolała go głowa. Nie pojmował, dlaczego jego matka uwzięła się nagle na jego mieszkanie. A może rzeczywiście ogarnęła go apatia, może rzeczywiście akceptował biernie swój stan, nie zmieniając tego, co powinien był zmienić? Może rzeczywiście powinien był przemeblować mieszkanie, jej mieszkanie? Ale z drugiej strony, czy takie zmiany nie odbiłyby się ujemnie na Billym? A może posługuje się Billym, by wytłumaczyć swą beczynność? Wziął popielniczkę, która się zresztą nikomu nie podobała, nawet Joannie, i wyrzucił do śmieci. Zadał sobie pytanie, czy wszystko z nim jest w

porządku, skoro nie zrobił tego wcześniej. Te wątpliwości odbierały mu spokój.

Kiedy pewnego dnia Larry, ten prostoduszny, prostoliniowy Larry, zwierzył mu się, że chodzi do psychoanalityka, Ted zaczął podejrzewać, że jednak w każdym człowieku istnieją jakieś ciemne siły.

– Obawiam się, że cierpię na kompleks Casanovy – wyznał Larry. – Uganiam się za kobietami, bo żyję w strachu, że jestem impotentem.

– Żartujesz.

– Nie twierdzę, że jestem impotentem. Nie twierdzę również, że mam kompleks Casanovy. Wydaje mi się tylko, że mogę popaść w taki kompleks, i nad tym właśnie pracujemy.

– To jest raczej dość skomplikowane.

– Wiem. To cholernie trudna sprawa. Ale ja to lubię.

Upłynęły trzy tygodnie. Jedynym towarzyskim ewenementem w jesiennym kalendarzu Teda był poranek w kinie spędzony razem z Billym na filmie „Lampa Aladyna”. Nawet Charlie prowadził bogatsze życie towarzyskie i próbował wyciągać z domu Teda, który wieczorami pracował przynosząc sobie robotę z biura. Kalendarzyk Teda coraz bardziej wypełniały numery telefonów różnych pań, które zdaniem Charliego tylko czekały na jego wezwanie. Ted tymczasem coraz częściej myślał o tych wszystkich, co szukają ratunku w psychoterapii. Wreszcie postanowił zadzwonić do Thelmy i wziąć numer telefonu jej lekarza.

Lekarz oświadczył, że jest do dyspozycji i że honorarium za pierwszą konsultację wynosi czterdzieści dolarów. Ted pomyślał, że skoro leczenie kataru Billy’ego kosztowało go pięćdziesiąt pięć, to jego własne zdrowie psychiczne warte jest chyba te czterdzieści. Doktor Martin Graham miał chyba ponad czterdzieści lat i nosił włoską wzorzystą jedwabną koszulę sportową bez krawata.

– Gdzie się podział Zygmunt Freud? – odezwał się Ted.

– Nie rozumiem – powiedział doktor Graham.

– Spodziewałem się, że przyjmie mnie jakiś brodaty starszy pan w ciemnym garniturze.

– Proszę się odprężyć, panie Kramer.

Siedzieli naprzeciwko siebie, po dwóch stronach biurka. Ted próbował zachować spokój, jakby chciał dać lekarzowi do zrozumienia, że jest zupełnie zdrowy; opowiedział mu o swoim małżeństwie, o odejściu Joanny, o przeżyciach ostatnich kilku miesięcy. Doktor Graham słuchał uważnie, zadał kilka pytań. Interesowało go, jak Ted reaguje na pewne sytuacje. Nie robił żadnych notatek. Ted zastanawiał się, czy naprawdę w tym, co powiedział,

nie było nic godnego zanotowania.

– To byłoby wszystko, panie Kramer – oświadczył doktor, – Pierwsza konsultacja to jak gdyby wstępny zwiad. To, co mi się nie podoba i czemu jestem jak najbardziej przeciwny, to wyciąganie z takiej pierwszej rozmowy zbyt pochopnych wniosków. Nie uprawiam szybkościowej psychoanalizy.

– Inaczej mówiąc, nie powie mi pan od razu, na jaki cierpię kompleks – rzekł Ted zdenerwowanym głosem.

– Zgadł pan. Natomiast podzielę się z panem kilkoma spostrzeżeniami. Mogą one być trafne albo zupełnie chybione. Sam nie wiem.

Ted zawsze myślał, że psychoanaliza to nauka, a nie jakieś błądzenie po omacku.

– Wydaje mi się, że próbuje pan stłumić w sobie swoje uczucia. Gdzie się podział pana gniew? Mówi pan o awersji do życia towarzyskiego. W porządku. Czy to znaczy, że nie znosi pan teraz kobiet? Że nienawidzi pan matki, ojca? Zresztą pańskie życie w domu rodzinnym też nie było usłane różami...

Ted uśmiechał się, choć wcale nie miał ochoty do śmiechu.

– Bardzo możliwe – choć może to być tylko wrażenie – że to wszystko bierze się z pańskich przeżyć w domu rodzinnym. Tłumił pan swoje uczucia i to wkradło się do pańskiego małżeństwa, i przeszkadza w pełnym rozwoju pana osobowości.

– Czy to znaczy, że muszę się leczyć? – zapytał nieśmiało Ted.

– W naszej praktyce spotykamy się z różnymi przypadkami, panie Kramer. Są ludzie, którzy po prostu nie potrafią poradzić sobie w życiu. Inni mają jakiś problem i udziela im się pierwszej pomocy jak w pogotowiu. Jeszcze innym możemy pomóc generalnie, żeby zrozumieli, skąd się biorą ich problemy.

– Czy to właśnie dotyczy mnie?

– Nie chcę pana namawiać do niczego. Pan musi sam zdecydować. Jeśli o mnie chodzi, uważam, że psychoterapia może panu pomóc. Nie jest pan bez problemów.

Doktor Graham poinformował Teda, że za godzinę psychoterapii bierze czterdzieści dolarów, że właśnie jeden z jego pacjentów kończy leczenie i Ted mógłby zająć jego miejsce. Najlepiej byłoby odbywać trzy seanse tygodniowo; absolutne minimum to jeden seans w tygodniu. W jego przypadku nie chodzi o jakąś doraźną pomoc. Ted powinien wiedzieć, że są ludzie, którzy leczą się latami, i że takie leczenie jest kosztowne, ale doktor Graham nie znał nikogo, kto bierze mniej. Oczywiście jest terapia grupowa, ale on, doktor Graham, nie wierzy w jej skuteczność bez terapii indywidualnej. Są wreszcie kliniki, ale te zatrudniają zazwyczaj mniej doświadczonych lekarzy. Zresztą leczenie w klinice nie jest wcale tańsze, bo opłaty

kliniczne ciągle rosną. Tak więc Ted sam musi zdecydować, ile warte jest jego zdrowie psychiczne, ile pieniędzy warto wydać, by – jak się wyraził doktor Graham – poznać lepiej samego siebie i czuć się lepiej z samym sobą.

– Ależ zapewniam pana, panie doktorze, ja radzę sobie w życiu zupełnie dobrze – Ted próbował przekonać doktora Grahama, że naprawdę nic mu nie jest. Daremnie. No cóż, lekarz jest tylko lekarzem.

– Czy oczekuje pan, że pochwalę pana za to? Dobrze radzić sobie w życiu to jeszcze nie wszystko.

Ich czas się kończył. Wstali i uścisnęli sobie dłonie.

– Panie doktorze – rzekł Ted – czy mogę, zanim wyjdę, zadać panu kilka krótkich pytań?

– Mam nadzieję, że zdołam na nie odpowiedzieć.

– Czy pana zdaniem – Ted zawahał się, bo wydawało mu się że jest to wyjątkowo głupie pytanie – powinienem przemeblować mieszkanie?

Ale doktor Graham wcale go nie wyśmiał. Potraktował to pytanie zupełnie serio.

– Czy nie jest urządzone jak należy? Czuje się pan w nim źle?

– Nie.

– No to po co miałby pan je zmieniać?

– Ma pan rację, panie doktorze. Ale Ted miał jeszcze jedno pytanie.

– Czy sądzi pan, panie doktorze, że powinienem bywać więcej poza domem? – I od razu uśmiechnął się, jakby chciał w ten sposób dać doktorowi do zrozumienia, że uważa to pytanie za niezbyt mądre.

– A ma pan ochotę spędzać więcej czasu poza domem? – z całą powagą indagował doktor Graham.

– Tak.

– No to nie siedź pan w domu.

Ted zastanawiał się poważnie, czy poddać się psychoterapii. Doktor Graham podobał mu się. Odpowiadała mu jego prostota, bezpośredni sposób wypowiedzania się. Może rzeczywiście ten człowiek mógłby mu pomóc. Ale nie sądził, że może sobie pozwolić na czterdziestodolarowy wydatek tygodniowo ani nawet na wydatek trzydziestu dolarów co tydzień, gdyby udało mu się znaleźć coś tańszego. Razem z opłacaniem pomocy domowej i pokrywaniem normalnych wydatków na leczenie byłoby to ponad jego siły. Powiedział sobie, że to, co go gnębi, będzie musiało tymczasem nadal pozostać tajemnicą. Po prostu zadowolony był tym, że jakoś radzi sobie w życiu. Mieszkanie pozostanie takie, jakie jest. Ale będzie

więcej czasu spędzał poza domem. Nie po to płaci się lekarzowi, żeby ignorować jego zalecenia.

## 10

Przekonał się, że życie towarzyskie przestało być takie jak przed laty. Dla niektórych kobiet małżeństwo stało się „przeżytkiem”. Oświadczyła mu to Tania, dwudziestokilkuletnia tancerka. Kiedyś leżąc z nim w łóżku, wyznała, że „nie stroni też od kobiet”.

– Ale niech cię to nie peszy – dodała. – Fajny jesteś i naprawdę dobrze mi z tobą.

Wśród kobiet, które teraz poznał, sporo było rozwódek. Ich pierwsze małżeństwa zdążyły się już rozpaść z najróżniejszych powodów. Niektóre z nich z niezwykłą wspaniałomyślnością dawały mu numery telefonów swoich przyjaciółek, gdy oboje dochodzili do wniosku, że nie mają co liczyć na „wielką miłość”. Jeżeli któraś z nich miała dziecko, wspólnie spędzany wieczór zamieniał się w istny wyścig z czasem. Taksometr bił po obu stronach. On płacił za opiekunkę do dziecka, ona też. Przy taryfie dwa dolary za godzinę każde godzinne tete a tete kosztowało ich razem cztery dolary. Nie wolno więc było marnować czasu. Musieli szybko polubić się i szybko iść do łóżka. Ich miłość była czymś więcej niż miłością. Każda chwila rozkoszy mierzona była dodatkowymi kosztami na babysitterki, dodatkowymi wydatkami na taksówki. Jeżeli spotykali się w centrum miasta i szli do jego mieszkania, to musiał odprawić opiekunkę do dziecka, w wyniku czego nie mógł odprowadzić swojej partnerki do domu i musiała ona wrócić do siebie taksówką. Jeżeli proponował jej, że zapłaci za taksówkę, to wyłaniał się problem urażonej dumy kobiecej. Przecież nie mogła brać od niego pieniędzy. Za każdym razem musiała więc sobie wykalkulować, czy opłaca się jej ponieść wydatki na opiekunkę do dziecka i taksówkę do domu. Cała ta gra była męcząca dla obu stron, tym bardziej że oboje mieli obowiązki domowe, które zmuszały ich do wcześniejszego wstawania niż większość innych ludzi.

Zdarzało się, że zagadnienia logistyki zaczynały przeważać nad sprawami serca i ciała. Pewnego wieczoru o dziesiątej trzydzięci spojrzawszy na zegarek uświadomił sobie, że babysitterka kosztuje go już sześć dolarów. Czy warto więc iść do łóżka? Musieliby to zrobić bardzo szybko, inaczej bowiem rachunek za opiekunkę do dziecka urósłby do ośmiu dolarów, a on właśnie w tym tygodniu nie miał za dużo gotówki. Taki nastrój nie sprzyjał oczywiście miłosnym uniesieniom. Bywały również przyjemniejsze wieczory, kiedy zapominał o zegarku

i kosztach, ale nie zdarzało się to zbyt często.

Billy nie miał większego zrozumienia dla życia towarzyskiego swego ojca.

– Tatusiu, znów wychodzisz?

– Ja też mam kolegów, tak jak ty. Ty spotykasz swoich w ciągu dnia, a ja wieczorem.

– Będę tęsknić za tobą.

– Mnie też będzie tęskno za tobą, syneczku. Ale zobaczymy się z rana.

– Nie wychodź, tatusiu, proszę cię.

– Muszę, synku.

W przedszkolu Billy zaczął odbierać dzieciom zabawki, jakby chciał zdobyć i zatrzymać przy sobie tyle, ile tylko zdoła. Ted rozmawiał z lekarzem i wychowawczynią; oboje byli zdania, że jest to reakcja na nieobecność Joanny, zapewne przejściowa, choć nigdy nic nie wiadomo. Na ogół czas, jaki spędzał z Billym, upływał spokojnie, z wyjątkiem tych chwil, kiedy zmęczony całodzienną pracą nie wiedział, jak sobie poradzić z łaknącym pieścizot dzieckiem, które dosłownie lepiło się do niego i które trzeba było prawie siłą zaganiać do łóżka.

Phyllis była adwokatem, pochodziła z Cleveland, nie miała jeszcze trzydziestki, ale za to miała dużo temperamentu. Była bardzo elokwentna, bezpośrednia i rozmowa z nią mogła dawać sporo zadowolenia. Ubierała się zawsze w ciężkie, trochę niemodne już tweedy. Poznał ją na jakimś przyjęciu. Teraz siedzieli razem w restauracji i jedli kolację. Tym razem nie spoglądał na zegarek. Po kolacji postanowili pójść do niego „na kawę”.

Była już późna noc, kiedy wstała z łóżka, by przygotować się do wyjścia, i ruszyła do przedpokoju szukając łazienki. W tym samym czasie Billy stamtąd właśnie wychodził. Wpadli na siebie w przedpokoju i popatrzyli zdziwieni tym spotkaniem jak dwie spłoszone sarny; ona była zupełnie naga, on w swojej pidżamce z żyrafami.

– Jak się nazywasz? – zapytał Billy.

– Phyllis. Jestem znajomą twojego tatusia – dodała jak zawsze dbając o dokładność.

Billy przyglądał się jej uważnie, a ona usiłowała ukryć swoją nagość, uważając zapewne, że nie wypada pokazywać się tak dziecku. Żadne z nich nie ruszyło się ze swego miejsca. Billy miał poważną minę, jakby to, co chciał powiedzieć, było bardzo ważne.

– Lubisz piezzonego kurczaka? – zapytał.

– Tak – odparła.

Najwyraźniej zadowolony tą odpowiedzią Billy wrócił do swego pokoju i poszedł



spać.

– Przed chwilą natknęłam się na twojego syna.

– Tak?

– Chciał wiedzieć, czy lubię pieczonego kurczaka.

Ted zaczął się śmiać. – No i co, lubisz?

– Tak, lubię pieczonego kurczaka. To była nielicha przeprawa.

– Naprawdę?

– Przyznasz, że znalazłam się w raczej niecodziennej sytuacji.

Phyllis była w jego życiu przez dwa miesiące. Nie lubiła rozmawiać o byle czym. Ted musiał z nią dyskutować o poważnych sprawach. Spierali się i wymieniali poglądy na temat rozmaitych problemów społecznych oraz moralnego stanu społeczeństwa. Ted przeglądał wiele czasopism i był au courant wszystkiego. Można powiedzieć, że było to połączenie intelektu z seksem. Ale kongresman z Cleveland zaproponował Phyllis posadę w Waszyngtonie. Uważała, że oferta jest interesująca i że nie posunęli się w swych wzajemnych stosunkach tak daleko, by – jak mówiła – mogło to przekreślić szanse jej kariery. Ted też nie był zbyt pewny swych uczuć i przyznawał jej rację.

– Chcę być z tobą szczerą – oświadczyła. – Nie sądzę, bym była gotowa podjąć się tak ambitnego zadania, jakie by mnie czekało tutaj.

Powiedzieli sobie do widzenia, wymienili gorące pocałunki, przyrzekli, że będą pisać albo dzwonić do siebie, ale nigdy tego nie zrobili.

Ale Ted ucieszył się, gdyż przekonał się, że potrafi jeszcze nawiązać bardziej trwałą więź z kobietą i że wytrwał w tym związku przez kilka miesięcy. Zaniepokoiło go natomiast, iż nie każda kobieta chce podjąć się – jak mówiła Phyllis – tak ambitnego zadania u boku rozwiedzionego mężczyzny z małym chłopcem.

Ted i Thelma stali się bliskimi przyjaciółmi. Ted nie miał specjalnie dobrego mniemania o swych miłosnych eskapadach, lecz uważał, że gdyby spróbował szczęścia z Thelmą, to zapewne zyskałby noc, ale straciłby przyjaciela. Oboje odrzucili myśl o czymkolwiek innym prócz przyjaźni. Istnieli dla siebie, wspierali się wzajemnie, pomagali sobie, tak by każde mogło mieć trochę wolnego czasu dla siebie. Jeżeli Ted zaczynał martwić się, że staje się za bardzo zaabsorbowany Billym, Thelma tłumaczyła mu, że to jest nieuniknione, bo Billy jest jedynakiem; oboje zresztą są w podobnej sytuacji. Pewnego razu poszli z dziećmi na plac zabaw. Było im jakoś obojgu ciężko, a poza tym dzieci zachowywały

się tego dnia okropnie. Ciągłe kłóciły się ze sobą.

– Nie lubię Kim – mówił Billy. – Ona się mądrzy.

– Nie lubię Billy’ego – skarżyła się Kim. – On mnie bije. Co chwila wybuchała nowa awantura – to o zabawki, to o sok jabłkowy czy rower. Ted i Thelma musieli ich ciągle godzić. W końcu Billy rozplakał się i Ted wziął go za rękę, by się z nim przejść po parku. W ich stronę szedł jakiś mężczyzna z małym chłopcem.

– Jeżeli zaprowadzi go pan do najbliższego lodziarza i tam zje lody, to cała droga tam i z powrotem zajmie wam dwadzieścia minut – powiedział nieznajomy.

Ted nie bardzo wiedział, o co tamtemu chodzi.

– Co najmniej dwadzieścia minut – powtórzył nieznajomy. – Moje słowo.

Był to zapewne „niedzielny ojciec”, pomyślał Ted, albo mąż zajmujący się dzieckiem podczas gdy żona poszła gdzieś na zakupy.

– Ja mam więcej czasu niż dwadzieścia minut – odezwał się Ted.

Dzień zakończył się rozejmem między Billym a Kim, oboje bowiem połączyli swe siły, by obrzucać piaskiem dziecko, którego matka wyładowała swą złość na Thelmie nazywając ją „bestią”. A Billy był tak rozbrykany, że trzeba było gorącej kąpieli i kilku bajek, by go w końcu uspić. Ted zastanawiał się, czy tego dnia w zachowaniu chłopca nie było czegoś nienaturalnego. Taka Kim mogła siedzieć godzinami i malować albo rysować, a Billy nie był w stanie skupić uwagi na niczym dłużej niż przez kilka minut. Czy działo się tak dlatego, że w ogóle dziewczynki i chłopcy bardzo różnią się od siebie? A może tylko te dzieci są takie inne? A czy czasem Billy nie jest zbyt żywym dzieckiem? Może mu coś dolega? A może ja się nim przesadnie zajmuję? Boże, ja jak go kocham! Jezusie Nazareński, co za okropny dzień.

Jakieś połamane kawałki plastikowych zabawek, kółka i sprężynki od mechanicznych samochodzików, wyszczerbione figurki drewniane bez głów, luźne kartki z książeczek do kolorowania piętrzyły się na podłodze razem z innymi bezużytecznymi przedmiotami. Ted próbował zaprowadzić tu jakiś ład walcząc zawzięcie z Billym, który bronił każdego kawałka kredki.

– Jak tak dalej pójdzie, to ten pokój zamieni się w prawdziwą stajnię Augiasza.

– Czyją stajnię?

– To był taki pan, co nie sprzątał w swojej stajni przez całe lata, tak że w końcu potrzebny był taki superman, żeby to zrobił.

Ted miał ochotę zaprowadzić tu porządek wykorzystując nieobecność synka, ale bał się, że po jakimś czasie Billy zmartwi się nie mogąc znaleźć jakiejś swojej ulubionej zabawki.

– Do śmieci! – zawołał Ted podnosząc z podłogi połamany dźwig, którego ramię już się nie podnosiło.

– Nie! To mój kochany dźwig.

Ted rozejrzał się po pokoju i doszedł do wniosku, że w ten sposób nic nie da się zrobić. Trzeba było spróbować inaczej. Zabrał więc Billy'ego do sklepu i kupił kilka pustych plastikowych pudełek. Kosztowało go to czternaście dolarów, ale rezultat nie był najgorszy.

– Teraz spróbuj trzymać wszystkie ołówki i kredki w pudełku na ołówki i kredki, a wszystkie samochodziki w pojemniku na samochodziki.

– Ale jak będę malował, wtedy pudełko będzie puste. To skąd będę wiedział, że tam powinny być ołówki i kredki?

– Na każdym pudełku umieścimy odpowiedni napis.

– Nie umiem czytać.

Ted nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– Dlaczego się śmiejesz?

– Przepraszam cię, Billy. Masz rację. Nie ma się z czego śmiać. Nadejdzie taki dzień, że będziesz umiał czytać. A do tego czasu na każdym pudełku umieścimy rysunek tego, co powinno być w środku. Rozumiesz?

– Aha. To dobry pomysł.

– Jesteś najmądrzejszy z najmądrzejszych chłopczyków.

Siedząc na podłodze i próbując ułożyć ołówki i kredki rozrzucone po całym pokoju Ted doznał olśnienia, jakby mu jabłko spadło na głowę. Następnego dnia czekał ze swym pomysłem przed drzwiami gabinetu Jima O'Connora.

Firma, dla której pracował, wydawała czasopisma poświęcone różnym dziedzinom rekreacji – fotografii amatorskiej, narciarstwu, żeglarstwu, tenisowi, turystyce. Tedowi przyszło nagle do głowy, że można by przecież połączyć te wszystkie czasopisma w jedno. Byłoby to atrakcyjniejsze dla wielu czytelników i korzystniejsze z punktu widzenia interesów reklamy.

– A jak byśmy to nazwali?

– Obojętne jak. Na przykład „Sport i Rekreacja”.

– Ted, sprawiłoby mi dużą przyjemność, gdybym mógł powiedzieć, że to wspaniały pomysł, ale tak nie jest.

– A ja sądziłem, że ci się spodoba.

– Nie powiem, że nic w tym nie ma. Ale co, do jasnej cholery, robiliśmy do tej pory? Dlaczego nikt dotąd o tym nie pomyślał? Owszem, w tym coś jest, ale nic wspaniałego.

– Dobrze. Mnie wystarczy, że w tym coś jest.

Ted jeszcze nigdy nie widział O'Connora w stanie takiej euforii. Natychmiast uruchomiony został dział badań, który miał przeanalizować odpowiednie informacje statystyczne, oraz dział promocji, któremu zlecono przygotowanie kampanii na rzecz nowego czasopisma pod nazwą „Sport i Rekreacja”. W ciągu tygodnia sporządzono wstępną ofertę, którą Ted mógł przedstawić klientom firmy, w ciągu dwóch tygodni powstała broszura reklamowa wraz z cennikiem, nie minęły trzy tygodnie, a w prasie fachowej zaczęły ukazywać się ogłoszenia zapowiadające publikację „Sportu i Rekreacji”. Firma Teda, która przez tak długi czas borykała się z różnymi trudnościami, mogła się teraz znów wykazać dynamizmem. Reakcja agencji reklamowych była pozytywna. Kierownictwo firmy postanowiło zwolnić Teda z jego dotychczasowych obowiązków i powierzyć mu realizację nowej koncepcji. Ze wszystkich stron nadchodziły nowe zamówienia. Wydawca i właściciel firmy, drobny, elegancki mężczyzna nazwiskiem Mo Fisher, którego nieczęsto widywano w biurze, bo albo grywał w golfa, albo chodził na przyjęcia, zatrzymał Teda na korytarzu. Ostatnim razem rozmawiał z nim wiele lat temu, kiedy Teda przyjmowano do pracy. Powiedział mu wtedy: „Witamy w naszych szeregach”. Tym razem zawołał: „No cóż, jakoś leci, co?” I oddalił się szybko; nie chciał spóźnić się na golfa.

Pięknie było późną jesienią w Nowym Jorku. Chłodne, czyste powietrze, dużo spacerujących ludzi, drzewa w parkach w najpiękniejszej jesiennej szacie. W soboty i niedziele Ted wypuszczał się na długie przejażdżki rowerem z Billym na tylnym siodełku. Przemierzali Central Park, zatrzymując się w ogrodzie zoologicznym i na placach zabaw. Billy miał cztery i pół roku. Już wyrósł ze swoich dziecińczych ubranek i nosił teraz długie spodnie, koszulki sportowe z numerem na plecach, takie, jakie noszą gracze w baseball, oraz wiatrówkę z kapturem. Z tymi swoimi okrągłymi ciemnymi oczami i małym noskiem, ubrany jak dorosły chłopiec, wyglądał prześlicznie. Ted uważał, że na całym świecie nie ma cudowniejszego dziecka. Był szczęśliwy. W pracy też mu się wiodło, a weekendy spędzone na świeżym powietrzu podczas tych pogodnych jesiennych dni przydawały jego życiu jakiegoś dodatkowego uroku. Nowy Jork stawał się wspaniałą scenerią dla miłości ojca do syna.

Nowa kampania reklamowa przynosiła dobre wyniki. Gdy inni z trudem utrzymywali się na swoich posiadach, Tedowi przyrzeczono premię w wysokości tysiąca pięciuset dolarów.

Lista jego agencji reklamowych, które odwiedzał nie bez sukcesu, stawała się coraz dłuższa. W czasie jednej z takich wizyt poznał sekretarkę, młodą dwudziestoletnią dziewczynę w dżinsach i koszulce z krótkimi rękawami. Po raz ostatni miał do czynienia z taką dziewczyną, gdy liczył mniej więcej tyle samo lat. Zajmowała studio w domu bez windy w Greenwich Village i nazywała się Angelica Coleman. Ted nie przypuszczał, że ludzie jeszcze mieszkają w takich warunkach. Była uosobieniem prostoty i bez troski; wkroczyła w jego życie w sandałkach. Spotkanie się z mężczyzną w wieku średnim, który miał dziecko, było dla niej „doświadczeniem”, samo zaś „doświadczenie” miało swoją „specyficzną pikanterię”. Angelica chciała „zaczepić się” w Nowym Jorku i „zrobić trochę forsy”. Uważała, że Ted jest bardzo „fajny”, ale nie mogła zrozumieć, dlaczego nie pali „trawki”.

– Nie mogę – tłumaczył jej Ted. – Kiedyś nawet próbowałem, ale teraz nie mogę.

– Dlaczego?

– Może dlatego, że miałem złe doświadczenie. Nie mogę zaczynać od nowa. Mam dzieciaka w domu.

– Ależ ty jesteś poważny.

Pewnej deszczowej niedzieli przyjechała do Teda bez uprzedzenia na rowerze, usiadła na podłodze i przez bitą godzinę bawiła się z Billym. Ted nie znał nikogo, kto by z taką łatwością, tak szybko nawiązał kontakt z małym. Z tymi swoimi mokrymi włosami i w sportowej koszulce Teda Angelica wyglądała jeszcze młodziej niż zwykle. Ted miał wrażenie, że czas się cofnął, że flirtuje z zastępową harcerskiego obozu dla dziewcząt, która jakiegoś deszczowego poranka przyszła do jego namiotu, by się rozgrzać.

Po kilku tygodniach doszedł do wniosku, że za mało ich łączy, by mogli kontynuować to „doświadczenie”. Był stanowczo za stary na takie romanse.

Zadzwoił do niej, by o tym oznajmić.

– Angie, jestem za stary dla ciebie.

– Nie jesteś przecież aż taki stary.

– Mam czterdzieści lat.

– Czterdzieści lat. To ci dopiero.

Ted zainkasował swoją premię i z tej okazji zamówił stolik w nowej eleganckiej restauracji u Jorgesa. O umówionej porze wkroczył wraz z Billym na salę.

– To pan zamówił ten stolik dla dwóch osób, panie Kramer? – zapytał maitre d’hotel spoglądając na nich z góry.

– Tak jest.

– Nie dysponujemy wysokimi krzeselkami.

– Ja nie siedzę na wysokim krzeselku – zaprotestował Billy.

Maitre d’hotel zaprowadził ich do niezbyt dobrego stolika przy wejściu do kuchni i oddał w ręce kelnera, który również spoglądał na nich z góry. Ted zamówił martini na wódcę i lemoniadę dla Billy’ego. Właśnie obok ich stolika przechodził jakiś inny kelner niosący na tacy potężnego homara.

– Co to takiego? – zapytał lekko przestraszony Billy.

– To homar.

– Nie chcę tego.

– Nie musisz tego jeść.

– To homar z wody?

– Tak.

– I ludzie to jedzą?

Wytłumaczyć dziecku, z czego się robi potrawy, nie było wcale tak prostą sprawą, jak by się mogło wydawać. Jak powiedzieć, że kotlety jagnięce przyrządza się z mięsa malutkich, białych jagniąt, a hamburgery z takich ślicznych zwierząt jak krówka Bessie. Kto wie, czy dziecko dowiedziawszy się tych wszystkich szczegółów zechce tknąć cokolwiek. Ted czytał nazwy potraw figurujące w jadłospisie, Billy pytał, jak się je robi, i natychmiast tracił apetyt.

– Dla mnie proszę o stek z polędwicy, raczej krwisty, a dla niego grzanek z serem.

– Nie podajemy grzanek z serem – oświadczył kelner takim głosem, jakby chciał powiedzieć, że człowiek na jego stanowisku nie musi się poniżać i ulegać kaprysom gości.

– Niech pan powie szefowi kuchni, żeby zrobił. Zapłacę każdą cenę.

Po chwili zjawił się maitre d’hotel.

– To nie jest bar mleczny, proszę pana – oświadczył wyniośle.

– To dziecko jest wegetarianinem – powiedział Ted.

– To niech je jarzyny.

– On nie je jarzyn.

– To co z niego za wegetarianin?

– On może sobie pozwolić na takie odstępstwo. Ma dopiero cztery i pół roku.

Widząc, że ma do czynienia z człowiekiem niespełna rozumu, i nie chcąc dopuścić do zakłócenia porządku w restauracji, maitre d’hotel dał za wygraną i kazał podać grzanki z serem. Jedząc rozmawiali o tym, co się wydarzyło w przedszkolu. Billy rozglądał się wokół siebie; po raz pierwszy widział, jak dorośli zachowują się w eleganckiej restauracji. Ubrany był specjalnie na tę okazję w długie spodnie i koszulę z krawatem. Drugiego takiego nie było na sali.

Gdy już wychodzili, Ted zadowolony z obiadu powiedział do maitre d'hotel, który przed chwilą o mało nie zemdlął, gdy zobaczył, że lody czekoladowe, które Billy jadł na deser, spływają po jego brodzie na biały, czysty obrus:

– Powinien pan okazać więcej szacunku dla członka królewskiego rodu. – I trzymając Billy'ego za rączkę ruszył dumnie przez salę.

– Naprawdę? – szepnął maitre d'hotel spoglądając na nich z niedowierzaniem.

– Ma pan przed sobą infanta Hiszpanii.

## 11

– Wesołych świąt, Ted. To ja, Joanna.

– Joanna?

– Zatrzymam się w Nowym Jorku w drodze do rodziców. Chciałabym zobaczyć Billy'ego.

Mówiła szybko, bezbarwnym, jakby bezosobowym głosem.

– Co u ciebie? – zapytał Ted zupełnie zaskoczony.

– Wszystko dobrze – odparła tonem, który świadczył, że chce dać mu do zrozumienia, iż nie zależy jej na kontynuowaniu tej rozmowy. – Pragnę zobaczyć Billy'ego. Przyjeżdżam w sobotę. Wolałabym nie przychodzić do mieszkania, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Jej ton, dobór słów nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Dzwoniła nie po to, by się z Tedem pogodzić.

– A więc chcesz zobaczyć Billy'ego?

– Zatrzymam się w hotelu „Americana”. Czy możesz go przyprowadzić w sobotę o dziesiątej rano? Spędzę z nim dzień, pospacerujemy trochę po mieście. Wrócimy na czas, żeby mógł pójść spać o normalnej porze.

– Nie wiem.

– Co to znaczy, nie wiem? Wyjeżdżasz?

– Nie, po prostu nie wiem.

– Czego nie wiesz?

– Nie wiem, czy nie wpłynie to źle na małego.

– Daj spokój, Ted. Nie jestem babą-jagą. Jestem jego matką i chcę go zobaczyć.

– Będę musiał się nad tym zastanowić.

- Nie udawaj wariata, Ted.
- Jesteś bardzo miła.
- Przepraszam cię. Błagam, Ted, pozwól mi się z nim zobaczyć.
- Muszę się zastanowić.
- Dobrze, zastanów się. Zadzwoń do ciebie jutro.

Ted rozmawiał na ten temat z Thelmą, która w pełni potwierdziła to, co nie wymagało potwierdzenia – Joanna nie zamierza do niego wrócić. Jeśli zaś chodzi o to, czy ma zobaczyć się z dzieckiem, Thelma była skłonna stanąć po stronie Joanny.

– To jest cena, jaką ona musi zapłacić za swoją niezależność – powiedziała. – Ona na pewno bardzo cierpi.

Ted próbował rozpatrzyć wszystkie aspekty sprawy. Zadzwoił nawet do swojego adwokata.

- Czy sądzi pan, że ona zamierza go porwać? – zapytał Shaunessy.
- Nie przyszło mi to do głowy – odparł Ted.
- Takie rzeczy się zdarzają.
- Nie mam pojęcia, do czego ona zmierza, ale nie sądzę, by wchodziło w rachubę porwanie.
- Z prawnego punktu widzenia może pan sprzeciwić się jej widzeniu z dzieckiem. Ona zaś może wystąpić do sądu i sąd może polecić, by pan jej pozwolił zobaczyć się z synem. Każdy sędzia tak orzeknie. Ostatecznie jest jego matką, mamy Boże Narodzenie. Nie wygrałby pan takiej sprawy. Jeśli nie obawia się pan porwania, to dla świętego spokoju powinien pan się zgodzić na to spotkanie.

Ale jak to podziała na Billy’ego. Dobrze czy źle? A może powinien zmusić ją, by poszła do sądu i przekonała się, że nic nie przychodzi łatwo? W takim wypadku miałby niewątpliwie satysfakcję, że jej robi na złość, ale równocześnie sam też musiałby wypić kielich goryczy. A może rzeczywiście zamierzała go porwać? Kiedy Joanna zadzwoniła po raz drugi, zapytał ją wprost:

- Chyba nie myślisz go porwać?
- Co ci przyszło do głowy, Ted?! Jeśli mi nie wierzysz, to możesz chodzić za mną, śledzić mnie. Przyjeżdżam do Nowego Jorku, następnie jadę do Bostonu, a potem wracam do Kalifornii. I to wszystko. Chcę tylko pójść ze swoim dzieckiem do F. A. O. Schwarza i kupić mu zabawkę na gwiazdkę. Co mam zrobić? Paść przed tobą na kolana i błagać o łaskę?
- No, dobrze już, Joanno. W sobotę o dziesiątej w hotelu „Americana”.

Ted poinformował Billy’ego, że w sobotę do Nowego Jorku przyjeżdża mamusia i



spędzi z nim dzień.

– Moja mamusia?

– Tak, Billy.

Billy zamyślił się.

– Może ona mi coś kupi – rzekł w końcu.

Tego poranka Ted poświęcił dziecku więcej czasu niż zwykle. Uczesał go starannie, ubrał w wyjściowe spodnie i koszulę. Sam też postarał się wyglądać przyzwoicie. Przybyli do hotelu punktualnie. O dziesiątej Joanna wyszła z windy. Ted ledwo trzymał się na nogach. Wyglądała świetnie. Ubrana była w biały płaszcz, na głowie miała kolorową chustkę; jej twarz nosiła ślady zimowej opalenizny. Wszystkie kobiety poznane na przyjęciach, z którymi miał ostatnio do czynienia, wszystkie te siusiumajtki w dzinsach i koszulkach nie dorastały jej do pięt.

Nie spojrzała nawet na niego. Zbliżyła się od razu do Billy’ego i uknęła przed nim.

– Och, Billy!

Porwała go w ramiona, przytuliła jego główkę do piersi i nagle zaczęła płakać. Po chwili opanowała się, wstała i przyjrzała mu się z bliska.

– Cześć, Billy!

– Cześć, mamusiu.

Po raz pierwszy przemówiła do Teda.

– Dziękuję ci. Spotkamy się tutaj o szóstej. Ted kiwnął głową.

– Chodź, Billy – powiedziała, biorąc go za rękę i wyprowadzając z hotelu. – Zobaczysz, będzie fajnie.

Przez cały dzień Ted nie mógł pozbyć się uczucia niepokoju. Zastanawiał się, jak Billy zareaguje na to wszystko, czy po dniu spędzonym z matką nie poczuje się porzucony, gdy odkryje, że wyjechała. A zresztą jakim prawem znów wtargnęła w ich życie? Może prawo było po jej stronie, ale co z tego? Żeby zabić czas, poszedł do kina, gdzie wyświetlano dwa filmy jeden po drugim, potem kręcił się po mieście oglądając wystawy i dwadzieścia po piątej zjawił się w „Americanie”.

Joanna wróciła z Billym kilka minut przed szóstą. Chłopiec był zmęczony, ale uśmiechnięty.

– Spójrz, tatusiu! – zawołał unosząc pudełko z plastikowymi figurkami. – To takie ludziki, co się kiwają, ale nie upadają. Mamusia mi to kupiła.

Joanna spojrzała po raz ostatni na Billy’ego, potem zamknęła oczy, jakby chciała zachować jego obraz w pamięci.

– Do widzenia, Billy – powiedziała tuląc go do siebie. – Bądź grzeczny.

– Do widzenia, mamusiu. Dziękuję za zabawki.

Odwróciła się i weszła do windy.

A więc, jak się okazało, Joanna Kramer nie przyjechała do Nowego Jorku ani po to, by porwać swego syna, ani po to, by pogodzić się z Tedem, ani po to, by zostać. Po prostu zatrzymała się przejazdem. Chciała spędzić święta z rodzicami i zobaczyć się przy okazji z Billym. Ted dowiedział się później od jej rodziców, że poświęciła im tylko jeden dzień, po czym wróciła do Kalifornii. Najwidoczniej pomyślała sobie, że odbywając tak długą podróż warto zobaczyć się z dzieckiem. Na nic więcej nie było ją stać.

Billy przeżył ten dzień jak każdy inny i spotkanie z matką nie pozostawiło na nim żadnego śladu. Jak każde dziecko przyjmował świat takim, jak go widział. Mama była, mama wyjechała. Niebo jest niebieskie. Ludzie jedzą homary. Mamy nie ma, ale tata jest. Dostał ładną zabawkę, ludziki, co się kiwają, ale nie upadają.

– Przyjemnie było? – zapytał go Ted.

– Tak, było bardzo przyjemnie.

Chciał jeszcze zapytać, czy tęskni za matką, ale to pytanie ugrzęzło mu w gardle.

Ted nie mógł oczywiście być zadowolony z tego, że jego była żona zakłóciła normalny tok jego życia i zamała jego spokój duchowy. Sam jej widok podziałał na niego denerwująco. Kiedyś ożenił się z najpiękniejszą ze wszystkich dziewcząt, z królową balu, ale ona odeszła i na balu zrobiło się nudno. Nasze życie towarzyskie – powiedziała Thelma – przypomina seryjną produkcję, znajomości przesuwają się jak na taśmie, nie ma nic trwałego, wszystko przemija. Jego dwumiesięczny flirt z Phyllis był swoistym rekordem trwałości. Thelma twierdziła, że wszyscy są psychicznie „posiniaczeni”, Charlie uważał, że nigdy jeszcze nie było mu tak dobrze, Larry natomiast nadal zadowalał się przelotnymi znajomościami, które kończyły się wraz z weekendem.

Zdarzało się, że Ted spotykał się na placu zabaw w sobotę z Thelmą, która przychodziła tam z Kim, a w niedzielę z Charliem, który tego dnia brał Kim do siebie. Ich postępowanie rozwodowe dobiegło końca. Ted został oczywiście zaproszony do ich mieszkań na kolejne uroczyste kolacje z okazji zakończenia ich pożycia małżeńskiego.

– Jak ci się zdaje, ożenisz się po raz drugi? – zapytał Teda Charlie. Zmarznięci szukali nieco ciepła w mizernych promieniach zimowego słońca, podczas gdy Billy i Kim bawili się na śniegu.

– Trudno mi to sobie wyobrazić. Z dzieckiem na utrzymaniu jestem, jak to się mówi u nas w branży, trudno zbywalnym towarem – odparł Ted.

– Rozmyślałem o tym, co by się stało, gdybym ożenił się po raz drugi, miał znów dziecko, rozwiódł się i musiał płacić alimenty na dwoje dzieci.

– Charlie, nie można tak rozumować. Przecież z tego powodu nie skążesz się na wieczną samotność.

– Wiem o tym. Ale te pieniądze... Czy zdajesz sobie sprawę, ile dziur w zębach musiałbym zaplombować, by sprostać takim obowiązkom finansowym?

Thelma miała własny pogląd na kwestię powtórnego zamążpójścia. Wyznała to Tedowi w jego mieszkaniu, gdy Billy i Kim nastawiwszy adapter w pokoju Billy’ego na cały regulator słuchali ulubionych wierszyków bawiąc się równocześnie w chowanego.

– Pierwszy raz wychodzi się za mąż z miłości, ale to oczywiście kończy się rozwodem. Za drugim razem już wiesz, że miłość wymyślili romantyczni poeci. Więc wychodzisz za mąż z innych powodów.

– Dzieci, na miłość boską! Zamknijcie ten adapter albo zamknijcie się same.

– Tak więc... zawarcie drugiego małżeństwa jest aktem, którym potwierdzasz swój własny styl życia, swoje własne poglądy. Czy wiesz, że za pierwszym razem żenisz się ze swoją matką?

– Nie wiedziałem o tym, Thelma. Ale uważam, że nie powinnaś rozgłaszać tego.

– A za drugim razem żenisz się z sobą samym.

– Dziękuję ci, Thelma. Zaoszczędziłaś mi wiele kłopotów. Teraz już wiem, że mi niczego nie trzeba.

Pierwszym zdrajcą okazał się Larry: po wielu latach kawalerskiego życia postanowił ożenić się z Ellen Fried, dwudziestodwuletnią nauczycielką. Larry poznał ją na Fire Island. Widywał się z nią, a jednocześnie flirtował z innymi kobietami. Teraz postanowił się ustatkować. Ted widział Ellen kilkakrotnie i przekonał się, że działa na Larry’ego uspokajająco. Była to osoba stateczna, rozsądna, dojrzała i pełna godności. Niczym nie przypominała kobiet, z którymi Larry miał do czynienia do tej pory.

Ślub odbył się w jednym ze skromniejszych apartamentów hotelu „Plaża”, z udziałem najbliższej rodziny i kilku przyjaciół. Wśród członków rodziny znalazły się również dzieci Larry’ego z pierwszego małżeństwa: czternastoletnia dziewczyna i szesnastoletni chłopak. Ted pamiętał ich, kiedy byli małymi dziećmi. Jak ten czas szybko leci, pomyślał.

Pewnego razu był mimowolnym świadkiem rozmowy Thelmy z jakąś kobietą z parku.

– To nie ma żadnego znaczenia – mówiła nieznajoma. – Dzieci nie pamiętają prawie

nic z tego, co przeżywały przed ukończeniem piątego roku życia...

Ted nie mógł się zgodzić z taką opinią. Nie do pomyslenia było to, że Billy nie zachowa w pamięci nic z jego trudu i znoju. Nieznajoma twierdziła, że wysłuchała dyskusji na ten temat w telewizji.

– Dzieci mają pamięć zmysłową. Nie pamiętają nic konkretnego. Twoje dziecko nie przypomni sobie zapewne nic z tego, co mu się przydarzyło dzisiaj.

Tego dnia Billy został uderzony w głowę metalowym samochodzikiem przez inne dziecko. Dobrze, że mu to nie utkwi w pamięci – pomyślał Ted, zadając sobie równocześnie pytanie, co chłopiec zapamięta z dzieciństwa. Ciekawe, czy on w ogóle wywrze jakikolwiek wpływ na swego syna i co sądzić będzie o tym Billy, gdy osiągnie wiek dzieci Larry’ego.

– Billy, czy wiesz, jak twój tatuś zarabia na życie?

– Pracujesz.

– Tak, ale co ja robię?

– Pracujesz w biurze.

– Masz rację. Widziałeś reklamy w gazetach? Otóż ja namawiam różne firmy, żeby zamieszczały reklamy w gazetach i czasopismach.

Nagle wydało się Tedowi, że powinien koniecznie pokazać Billy’emu miejsce swojej pracy.

– Chciałbyś zobaczyć moje biuro? Chciałbyś zobaczyć, gdzie ja pracuję?

– No pewnie.

– Ja chciałbym bardzo, żebyś zobaczył.

W sobotę zawiózł Billy’ego do swego biura na rogu Madison Avenue i 57 Ulicy. W hallu siedział umundurowany strażnik. Billy przestraszył się go; uspokoił się dopiero wtedy, gdy Ted pokazał strażnikowi przepustkę i ten wpuścił ich do środka. Billy mógł być dumny ze swego ojca, który nie bał się strażnika. Biura firmy były zamknięte. Ted otworzył drzwi wejściowe własnym kluczem i zapalił światło. Długie korytarze zrobiły na dziecku przygnębiające wrażenie. Ted ujął Billy’ego za rączkę i zaprowadził do drzwi swego gabinetu.

– Widzisz, tu jest moje nazwisko.

– To jest również moje nazwisko. Kramer.

Ted otworzył swoim kluczem drzwi do pokoju i wszedł z Billym do środka. Gabinet znajdował się na czternastym piętrze i z okna rozciągał się widok na wschodnią i zachodnią stronę 57 Ulicy.

Billy usiadł w fotelu swego ojca i zaczął obracać się w kółko.

– Masz fajne biuro, tatusiu – oznajmił.

– Dziękuję ci, kolego. Mój kolego.

Ted nie zawiódł się na swoim synu, który reagował tak jak trzeba, wykazując odpowiednio wielką dumę ze swego ojca. Czuł, że między nim a Billym zadzierzgnęły się prawdziwie koleżeńskie stosunki. Ta myśl dodawała mu otuchy. Mało obchodziło go, czy Billy zapamięta coś z tego okresu. Łączyła ich teraz wspólna strata. Byli sprzymierzeńcami. Możesz na mnie liczyć. Billy. Pozostanę ci wierny na zawsze. Na zawsze pomyślał.

– Ale coś mi się tutaj nie podoba, tatusiu. Nie lubię tych obrazków.

Ściany gabinetu udekorowane były makietami okładek różnych czasopism z pierwszych lat istnienia firmy.

– Powinieneś mieć tu zebry, tatusiu.

– Narysuj mi kilka, to je zawieszę.

Billy narysował kilka obrazków przedstawiających jakieś zwierzaki w pasy i Ted ozdobił nimi swoje biuro.

Po jakimś czasie do Nowego Jorku zawitali rodzice Joanny. Podczas ich poprzedniej wizyty Tedowi wydawało się, że są źli na córkę. Tym razem odkrył, że mają do niej żal.

– To naprawdę nie do wiary – powiedziała jej matka. Harriet, do Teda, kiedy zostali sami. – Dziadkowie widzą dziecko częściej niż jego matka.

A więc mieli nadzieję, że Joanna pozostanie u nich dłużej, i nie ucieknie od razu z powrotem do Kalifornii domyślał się Ted.

– Co ona tam robi? Z czego żyje? – zapytał.

– Naprawdę nie wiesz.

– Naprawdę nic o niej nie wiem.

– Ona pracuje dla Hertza. Jest jedną z dziewcząt, które z uśmiechem wręczają kluczyki, kiedy ktoś wynajmuje samochód.

– Naprawdę?

– Tak. Opuściła dom i dziecko, by wynajmować samochody w Kalifornii.

Ted nie dziwił się, że Harriet nie jest dumna z tego, co robi jej córka, ale myślał już o czym innym; wyobrażał sobie, ilu mężczyzn Joanna spotyka w tej pracy.

– Z tego, co mówi, jest samodzielna i zarabia na siebie. Poza tym gra dużo w tenisa – dodał jej ojciec, Sam, próbując bronić córki wbrew własnemu przekonaniu.

– Zapewne – rzekł Ted.

– Była trzecia w jakimś turnieju – dodał jej ojciec, jakby na pocieszenie, choć nie wierzył, że to może usprawiedliwić jej ucieczkę.

Ted zaproponował, żeby zostali i zjedli razem kolację. Po raz pierwszy od rozstania z żoną zdobywał się na taki gest w stosunku do jej rodziców. Zgodzili się i poszli do chińskiej restauracji. Sam nalegał, że to on zapłaci rachunek, choćby dlatego, że jest najstarszy.

Ted robił, co mógł, by podtrzymać dobry nastrój przy stole, ale mimo najlepszych chęci wszyscy wciąż wracali myślą do tej, której nieobecność była tak trudna do zniesienia.

Żegnając się z Tedem Harriet pocałowała go w policzek. To też było czymś zupełnie nowym i nieoczekiwanym. Ustalili, że nazajutrz rano przyjdą i zabiorą Billy’ego, żeby mu pokazać Statuę Wolności. Był to program raczej ambitny i Ted próbował im to wyperswadować, ale na próżno. Nic ich nie mogło odwieść od tego zamiaru. Czego się nie robi dla ukochanego wnuczka.

– Czy on nie je czasem za dużo słodczy? – zapytał Sam. – Nie powinien jeść tyle cukru

– Przyzwyczailem go do gumy do żucia bez cukru.

– A jak z witaminami?

– Dostaje codziennie odpowiednią porcję.

– To dobrze, ale te witaminy prawdopodobnie też zawierają cukier.

– Uważam, że spisujesz się bardzo dobrze – powiedziała Harriet.

– Ja też tak uważam – poprawił ją Sam.

– Ale...

Ted wiedział, że nie obejdzie się bez jakiegoś „ale”.

– ...dziecku potrzebna jest matka.

W jej głosie było tyle bólu z powodu córki i tyle goryczy, że Ted nie mógł uznać tych słów za krytykę pod swoim adresem.

Następnego dnia zjawili się wcześniej rano, tak jakby zależało im na tym, by stawić się na miejscu jeszcze przed otwarciem Statuy Wolności. Ted nie wspominał im, że tego dnia skończył właśnie czterdzieści lat. Nie powiedział zresztą o tym nikomu. Nie miał nastroju do świętowania. Cieszył się, że pozostanie sam do późnych godzin popołudniowych. Miał czas do swojej dyspozycji, ale nie wiedział, co z nim począć. Spędzić dzień w łóżku wydawało się czymś nie do pogardzenia.

Tej niedzieli pogoda była ładna i mimo zimy nie było mrozu. Ted postanowił więc wyjść na miasto i przejść się trochę. Nagle ogarnęła go ochota, by wrócić w stare strony rodzinne. Dla rodowitego nowojorczyka taki kaprys nie był trudny do spełnienia. Dzieciństwo

znajdowało się w odległości pół godziny jazdy metrem.

Wsiadł więc do metra i podjechał do Fordham Road i Jerome Avenue w Bronxie. Wyszedłszy z podziemia stanął przed budynkiem szkoły podstawowej, której próg przekroczył mając lat pięć, trzydzieści pięć lat temu. Teraz ruszył tą samą drogą, którą przemierzał wracając ze szkoły do domu.

Domy, które mijał, pięciopiętrowe budynki bez wind, wyglądały nędznie i należały do jakiejś innej architektonicznej epoki. Małe ogródki przed drzwiami wejściowymi, świadczące kiedyś o pewnej elegancji, zawałone były teraz śmieciami. Ściany pokrywały różne sprośne napisy.

Jak w każdą niedzielę rano na ulicach było pusto. Jakieś trzy staruszki szły do kościoła. Nie opodal dwaj mężczyźni wyglądający na Portorykańczyków grzebali w silniku samochodowym. Ted przechodził obok wypalonych sklepów, mijał kupy śmieci i rozbitego szkła. Tak wyglądało teraz otoczenie, w którym się kiedyś wychowywał, w którym dorastał.

Jego dom znajdował się na Creston Avenue, w pobliżu 184 Ulicy. Ted usiadł na schodku przed domem i rozejrzał się wokół. Nie mógł się nadziwić temu, co widzi. Wszystko okazało się nagle takie małe.

Ulica, na której bawiły się dzieci, była wąska i krótka. To wysokie pobliskie wzgórze, z którego zjeżdżali na śledzia, by wylądować w grubych zaspach śniegu, było małą uliczką o lekkim wzniesieniu. To działo się bardzo dawno, a on był bardzo mały, skoro to wszystko wydawało mu się wtedy takie wielkie.

Naprzeciwno, z drugiej strony ulicy, znajdowało się boisko szkolne, gdzie grał w koszykówkę. Teraz nie było nawet śladu po koszach. Nikt już tutaj nie grał. Jakaś kobieta przechodząca ulicą rzuciła w jego stronę podejrzliwe spojrzenie. No cóż, skąd mogła wiedzieć, czy ten nieznajomy nie zamierza napaść na nią.

Ted siedział nieruchomo jeszcze raz odtwarzając w pamięci sceny ze swej młodości. Przed jego oczami przesuwały się znajome twarze chłopców i dziewcząt. Przypominał sobie swoje wyczyny sportowe, z których był ongiś bardzo dumny. Po trzydziestu latach wszystko wydawało się tak żywe, jakby zdarzyło się wczoraj. Wkrótce Billy też osiągnie wiek tych samych doświadczeń.

Nie było tu źle, myślał Ted. Te zabawy na ulicach miały swój urok. Billy tracił wiele, nie mogąc przesiadywać przed domem, nie mając ulicy, gdzie można by się bawić bez obawy przed krążącymi samochodami.

Billy stracił coś więcej niż możliwość wyzycia się w towarzystwie rówieśników z tej samej ulicy. Dziecko potrzebuje matki, powiedziała Harriet. Jak długo jeszcze wytrzyma bez

kobiety – zastanawiał się Ted – i czy nie za dużo wymaga nie tylko od siebie, ale również od Billy’ego?

Hej, panie Evans! – chciał krzyknąć. Po drugiej stronie ulicy kroczył jakiś starszy pan. Pamięta mnie pan? Przychodziłem do pańskiego sklepu po cukierki. To ja, Teddy Kramer. Brat Ralpa. Bardzo lubiłem irysy. Pracuję w reklamie. Moja żona mnie opuściła. Rozwiodłem się. Mam małego synka. Wkrótce skończy pięć lat. Ja też kiedyś miałem pięć lat i to było właśnie tutaj.

Wstał i ruszył przed siebie. Zatrzymał się przed Paradisem Loewsa, swoim ulubionym kinem, z gwiazdami i chmurkami zdobiącymi sufit. Zamiast jednej sali kino miało teraz trzy sale: Paradis 1, Paradis 2 i Paradis 3.

Paradis – raj.

– Czy może istnieć drugi raj? – zagadnął Ted jakiegoś mężczyznę, który zamiatał przed wejściem do kina.

– Nie wiem.

– Powinno się raczej mówić o Raju Utraconym.

Mężczyzna najwidoczniej nie podzielał skłonności Teda do historycznych refleksji i zamiatał dalej.

Kiedy Ted zbliżał się już do metra, zauważył jakiegoś mężczyznę idącego w jego kierunku. Ta twarz kogoś mu przypominała. No tak, to był Frankie O’Neill z sąsiedniej ulicy. Mężczyzna wysilił wzrok, powoli rozpoznając Teda.

– Frankie!

– To ty, Teddy?!

– Tak, to ja.

– Co tu robisz?

– Nic. Przechadzam się.

– Nie widziałem cię już...

– Bardzo dawno.

– A niech cię. Gdzie mieszkasz?

– Na Manhattanie. A ty?

– Na rogu 183 Ulicy i Concourse.

– A to dopiero. Widujesz kogoś ze starej paczki?

– Nie.



– A co porabiasz?

– Jestem barmanem. U Gilligana. Wciąż funkcjonuje, jak za dawnych czasów. To jedno z niewielu miejsc, które się nie zmieniły tutaj.

– U Gilligana. To wspaniale – rzekł Ted, choć nigdy nie był w tym barze.

– A co u ciebie? – zapytał Frankie.

– Pracuję w reklamie.

– Żonaty?

– Rozwiedziony. Mam chłopaka. A ty?

– Troje dzieci. Ożeniłem się z Dotty McCarthy. Pamiętasz ją?

– Oczywiście, że pamiętam, Frankie. A pamiętasz, jak żeśmy się pobili? Miałem twarz zakrytą marynarką, a ty waliłeś we mnie jak w worek. Myślałem, że wyzionę ducha. – Ted miał wtedy dziewięć lat. Takiej walki się nie zapomina. Działo się to na oczach chłopaków z całej ulicy. Śmieli się z niego, bo marynarka zakrywała mu oczy i nic nie widział. Został uznany za pokonanego przez techniczny nokaut z powodu marynarki.

– Biliśmy się? Ja z tobą?

– Nie przypominasz sobie?

– Nie. A kto zwyciężył?

– Ty.

– Bardzo mi przykro. Przepraszam cię.

– Paradis 2 i Paradis 3. Co za degrengolada.

– Tak, masz rację.

Stali patrząc na siebie i nie wiedzieli, co począć.

– Słuchaj, Teddy, bardzo się cieszę, że cię spotkałem. Jeśli będziesz w tych stronach, zajdź do baru. Jestem tam od piątej.

– Dziękuję, Frankie. Do zobaczenia.

Drink u Gilligana. Bar, w którym nigdy nie był, to jedyne miejsce w tej dzielnicy, które po tylu latach zachowało się bez zmian. Ale nie o takim świętowaniu marzył na swoje czterdzieste urodziny. Wrócił do domu i usiadł przed telewizorem. Właśnie transmitowano jakiś mecz koszykówki. Później, gdy Billy poszedł już spać, Ted nalał sobie kieliszek koniaku i wypił za swoje zdrowie. Najlepsze życzenia, solenizancie. Jak to dobrze było kiedyś, gdy można było śledzić losy ulubionych bohaterów słuchowiska radiowego, popijając kakao.

Pewnego dnia Jimmy O'Connor zadzwonił do Teda i poprosił, by wpadł do jego gabinetu. Gdy Ted zjawił się u niego, była dziewiąta trzydzieści. Wchodząc do gabinetu zauważył na biurku butelkę szkockiej i dwie szklanki.

– Drinki są na koszt firmy – rzekł O'Connor.

– Co się stało?

– Koniec z tobą, Ted.

– Co?

– Koniec z tobą, koniec ze mną, zostaliśmy wszyscy wylani. Nasz stary sprzedał firmę. Dostaniesz dwutygodniową odprawę i masz prawo korzystać z biura do końca tygodnia, żeby szukać nowej pracy. Napij się.

Ted nalał sobie do szklanki trochę whisky. Wypił, dreszcz przebiegł mu po plecach, ale nie poczuł się od tego lepiej. Równie dobrze mógł to wylać za kołnierz.

– A więc sprzedał firmę. Kto ją kupił?

– Jacyś faceci z Houston. Oni uważają, że tam właśnie znajdują się wielkie tereny rekreacyjne. Kupili nazwy naszych czasopism i przenoszą całą działalność do Texasu. My jesteśmy niepotrzebni. Nie znamy tamtejszego terenu.

– Ale jesteśmy fachowcami.

– Chcą mieć swoich ludzi. Zostaliśmy wyrzuceni na bruk.

Agencje zajmujące się pośrednictwem pracy, z którymi Ted od razu nawiązał kontakt, nie odbierały klientowi nadziei, ale w tak specjalistycznej branży nie było oczywiście dużo wolnych miejsc. W tym czasie miał do wyboru tylko trzy posady, ale z płacą dużo niższą od dotychczasowej. Uważał, że nie może zgodzić się na takie zarobki, z takich pieniędzy nie sposób po prostu wyżyć. Chodził jednak na rozmowy z ewentualnymi przyszłymi pracodawcami, by nabrać wprawy. Dla kogoś, kto szuka pracy, ale nie mówi nikomu z rodziny czy przyjaciółom, że stał się bezrobotny, cały ten proces miał w sobie coś bardzo demoralizującego. Mijały godziny i dni, a sytuacja się nie zmieniała; przekazywano go sobie, odsyłano od Annasza do Kajfasza. W końcu zarejestrował się, by móc otrzymać zasiłek dla bezrobotnych. Gdziekolwiek się udawał, zawsze zabierał książkę do czytania, by nie wpatrywać się bezmyślnie w ściany poczekalni. Po trzech tygodniach bezrobocia kończyły się powoli spotkania z ewentualnymi pracodawcami. Już nie miał co robić, nie miał do kogo telefonować, pozostało mu tylko czekanie na niedzielne wydanie gazet z ogłoszeniami o wolnych miejscach pracy. Był piątek, nie chciało mu się ani czytać, ani pójść do kina; był w

pieskim nastroju, nie mógł wysiedzieć w domu, poszedł więc na plac zabaw, gdzie Billy bawił się pod czujnym okiem Ety.

Przez cały ten czas Ted próbował zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. Jego zajęciem stało się szukanie pracy. Wstawał wcześniej rano, ubierał się tak, jakby szedł do biura, potem udawał się do biblioteki publicznej na 42 Ulicy, skąd załatwiał wszystkie telefony, i czytał zabijając czas między spotkaniami. Zakreślał interesujące go ogłoszenia, odwiedzał biura pośrednictwa pracy. Ale to wszystko stawało się męczące. Bywały dni, kiedy do południa nie miał nic do roboty. Ale ubierał się jak zwykle, razem z innymi ludźmi pracy dojeżdżał metrem do 42 Ulicy, potem wchodził do biblioteki i zaczynał czytać gazetę. W bibliotece na 42 Ulicy nie wolno było czytać gazet; zdarzało się, że zaglądali do teczek. Gazetę trzeba było przemycać. W końcu Ted przeniósł się do innej biblioteki, mieszczącej się w pobliżu, gdzie wolno było przynosić ze sobą gazety i gdzie zawsze na półce leżał numer najnowszego czasopisma, w którym reklamowano najnowsze wyroby. Mógł więc spędzać czas dowiadując się o sukcesach przemysłu oferującego produkty, których nigdy nie kupi.

W biurze rejestracji bezrobotnych jakiś urzędnik chciał wiedzieć, co Ted robił poprzedniego dnia, czy szukał pracy, ile razy dzwonił, ile odbył rozmów z ewentualnymi pracodawcami, czy prowadzi dziennik swoich zajęć, czy podane przez niego informacje można sprawdzić. Prawda zaś była taka, że cały dzień był w bibliotece i załatwił tylko dwa telefony.

– Powinien pan wykazać więcej elastyczności, panie Kramer. Dlaczego nie sprzedaje pan taśmy do izolacji okien czy czegoś podobnego?

– Bo to jest kiepski interes, bez przyszłości. Zimy są coraz łagodniejsze, a w ogóle to temperatury pór roku są coraz bardziej do siebie zbliżone.

– Czy pan sobie ze mnie żartuje, panie Kramer?

– Ja szukam pracy. Potrzebuję pieniędzy. Czy wie pan, ile kosztuje guma do żucia?

– To nie ma nic do rzeczy...

– Kosztuje coraz drożej i ma coraz gorszy smak.

Urzędnik zatwierdził jego prawo do zasiłku, ale nie bezwarunkowo. Ted był pod obserwacją. Co tydzień musiał stawić się w urzędzie i czekać w długiej kolejce na rozmowę z jakimś facetem, by mu udowodnić, że powinien nadal korzystać z zapomogi.

Na komorne za mieszkanie, na żywność, pranie, Ete i inne wydatki musiał przeznaczać tygodniowo czterysta dwadzieścia pięć dolarów. Z tytułu zasiłku dla bezrobotnych otrzymywał tygodniowo dziewięćdziesiąt pięć. Nawet gdy pracował, z trudem wiązał koniec z końcem. Miał duże wydatki, a poza tym musiał opłacać Ete, nigdy więc

gotówki nie było w domu za dużo. Nigdy nie udawało mu się nic odłożyć. Jego konto w banku opiewało na tysiąc osiemset dolarów. Suma, która nie starczy nawet na dwa miesiące.

Oświadczył pani Willewskiej, że został bez pracy i że szuka zajęcia. Nie była tym zaskoczona. Zgodziła się nawet, by tymczasem nie płacił jej pensji, ale Ted nie chciał o tym słyszeć. Nie powiedział oczywiście nic Billy'emu, ale przed Billym trudno było cokolwiek ukryć.

– Wylali cię, tatusiu?

– Kto ci to powiedział?

– Jesteś teraz czasem w domu. Fred Flintstone też jest w domu, jego też wylali.

– A czy ty wiesz, co to znaczy?

– To znaczy, że nie masz pracy.

– Prawdę mówiąc to nie wylali mnie. Firma, dla której pracowałem, przestała istnieć, więc muszę sobie znaleźć nową pracę.

– Aha...

– I wkrótce zacznę znowu pracować.

– No to jutro będziesz się mógł ze mną bawić.

– Lepiej będzie, jeśli wykorzystam ten czas na szukanie pracy.

Ted był już bezrobotnym od sześciu tygodni. Jego ambicje mały. Posyłał teraz swój życiorys i podanie o pracę do drugorzędnych firm, które znał kiedyś tylko ze słyszenia.

William Kramer ukończył pięć lat. Jego urodziny zbiegły się z pierwszą rocznicą ich życia bez Joanny. Ted urządził przyjęcie dla sześciu wybranych gości. Był tort, Billy dostał skromny prezent, ale cała impreza kosztowała trzydzieści osiem dolarów.

Ted myślał nawet, by przyjąć dorywczą pracę jako sprzedawca w domu towarowym czy coś podobnego, ale wtedy straciłby prawo do zasiłku. Nie opłacało się podejmować innej pracy. Musiał koniecznie pracować nadal w swoim zawodzie. Tymczasem jego konto w banku topniało. Wszystko było takie drogie.

– Straciłeś posadę. Ach!

Ted zamierzał zawiadomić rodziców o swojej sytuacji z chwilą otrzymania nowej pracy. Ale kiedy matka zapytała go: „Jak ci się wiedzie?”, zrozumiał, że tylko kłamstwo zdoła go uratować przed klęską, jednak nie mógł się na nie zdobyć.

– Nasza firma została zlikwidowana, mamó. Wszyscy stracili pracę. Rozglądam się i na pewno wkrótce coś znajdę.

– Wylali go. Wylali.

Do telefonu podszedł jego ojciec.

– Ted, wyrzucili cię z pracy? Dlaczego?

– Słuchaj, ojczu. Fred Flintstone został wylany z roboty. Ja dostałem zwolnienie.

– Kogo wylali?

– Nasz szef sprzedał firmę, nie pytając nas o zdanie.

– A ci nowi nie chcieli cię? Musiałeś im zdrowo podpaść.

– Nie chcieli nikogo. W ogóle wynieśli się z Nowego Jorku.

– I co teraz będzie?

– Znajdę coś.

– Wylali go z pracy. Ach! – Jego matka znów dorwała się do telefonu. – Ted, masz dziecko na utrzymaniu, masz służącą, której musisz płacić, i wszystko jest teraz takie drogie. Na dodatek jesteś sam, bez żony. A co będzie z dzieckiem, jeśli – nie daj Boże – coś złego ci się przytrafi? Mój Ted bezrobotny! Co ty poczniesz ze sobą?

Jego matka wyczerpała cały swój repertuar i nie miała już nic więcej do powiedzenia. Ted zakończył rozmowę zapewnieniem, że jakoś da sobie radę. Tymczasem jego ojciec próbował go przekonać, żeby przyjechał na Florydę i został szoferem, że jest tam wielu starych ludzi, którzy nie mogą chodzić ani prowadzić samochodu, więc można na tym dobrze zarobić. Co oni sobie wyobrażają? – myślał Ted. Co oni chcą ze mnie zrobić?

Urzędniczka w jednym z biur pośrednictwa pracy zapoznawszy się z życiorysem i kwalifikacjami Teda była tak nim zachwycona, iż zapewniła, że w ciągu tygodnia załatwi mu pracę, ale nie odezwała się mimo jego telefonów przez trzy tygodnie. Zbliżało się lato. Ludzie nie zmieniali posad, bo chcieli wykorzystać przysługujące im urlopy. Jego konto bankowe skurczyło się do dziewięciuset dolarów.

– Do diabła, Billy, powiedziałem ci, że masz stąd wyjść! Bawiłem się z tobą po kolacji przez całą godzinę. Nie mogę już dłużej. Idź, oglądaj sobie książeczki.

– Nie krzycz na mnie!

– Nie marudź!

– Ja nie marudzę!

– No, zmykaj! Idź do swego pokoju!

Ted chwycił chłopca za ramię i wyprowadził ze swojej sypialni. Jego uścisk był tak mocny, że zostawił ślad na gładkiej skórze dziecka.

– Boli – jęknął Billy. Tym razem naprawdę zaczął płakać.

– Nie chciałem cię skrzywdzić, Billy. Ale nie lubię, jak się naprzykrzasz. Nie możesz się bawić sam? Ja też chcę mieć chwilę spokoju.

Dopiero teraz Ted uświadomił sobie, jaką rolę w jego życiu odgrywała praca. Nie uważał się za człowieka wyjątkowo uzdolnionego i wiedział, że pozycję w swoim zawodzie zawdzięczał długim latom wytrwałej pracy. Umiał sprzedawać pomysły reklamowe, i to już coś znaczyło. Jego posada, jego garnitury, krawaty, papier listowy z jego nazwiskiem, sekretarki, nowoczesne biura, pieniądze, które pozwalały mu żyć na jakiejś takiej stopie, zapomnieć o Joannie, opłacać pomoc domową, jadać w restauracjach, pić wino do posiłków – to wszystko stanowiło treść jego życia. Bez tego był niczym.

Nie należało zapominać o Billym. Ted czuł ciężar odpowiedzialności za los dziecka. Zdarzało mu się już niejednokrotnie być bez pracy, ale nigdy nie gnębił go taki niepokój. Budził się często w nocy i przez długie godziny nie mógł zasnąć.

Zaczął ponownie odwiedzać te same biura pośrednictwa pracy, gdzie, jak mógł się przekonać, panował nielichy bałagan: ktoś zagubił jego podanie i życiorys, ktoś inny odłożył jego papiery nie tam, gdzie trzeba, jeszcze ktoś inny zapomniał o jego sprawie w natłoku innych podań.

– A więc kiedy to było, panie Kramer?

Billy chciał pocieszyć ojca. Zainspirowały go do tego postacie ze świata seriali telewizyjnych.

– Pamiętasz, tatusiu, że Fred Flintstone stracił posadę?

– Tak, pamiętam. No i co z tego?

– Właśnie oglądałem telewizję i Fred dostał nową pracę. To świetnie, prawda, tatusiu? A więc ty też dostaniesz nową pracę.

Odezwał się nagle Jim O'Connor, który po likwidacji firmy zafundował sobie podróż do Europy z żoną, a po powrocie do kraju postanowił jeszcze raz popróbować szczęścia w zawodzie przed przejściem na emeryturę. Zaczął pracować w nowym czasopiśmie pod nazwą „Moda Męska”. Chciał wiedzieć, czy Ted już sobie coś znalazł, czy jest jeszcze „do wzięcia”. Do wzięcia było może najlepszym określeniem, bo rzeczywiście Ted był gotów oddać się pierwszemu lepszemu. O'Connor załatwił mu spotkanie w redakcji czasopisma handlowego pod nazwą „Opakowania”. Zaznaczył, że pracował tam przez rok w czasie recesji lat pięćdziesiątych. Nie było to zbyt zachęcające, ale zawsze.

O'Connor niczego oczywiście nie mógł gwarantować, sam dopiero zapuszczał korzenie na nowej posadzie, ale zależało mu, by mieć swojego człowieka w tym czasopiśmie, kogoś, kto by mógł przekonać ich o potrzebie współpracy z „Modą Męską”.

– Wydaje mi się, że jest to palcem na wodzie pisane – rzekł Ted.

– Może, ale przyrzeknij mi, że nie sprzedasz się nikomu, zanim ja nie wyczerpię wszystkich możliwości – nalegał O'Connor.

– Zgoda, przyrzekam.

Konto bankowe Teda stopniało do sześciuset dolarów. W „Opakowaniach” wyrazili zainteresowanie – mogli mu zaoferować tysiąc dziewięćset dolarów miesięcznie, a może nawet dwa tysiące. Nie było to dużo, na poprzedniej posadzie zarabiał więcej. Poza tym poddawali go różnym testom. Musiał odegrać rolę agenta, który odwiedza klienta i próbuje sprzedać mu swoje pomysły reklamowe, a tym rzekomym klientem był jakiś starszy pan po sześćdziesiątce, sam pryncypał, właściciel czasopisma, który dzierżył mocno w swych rękach klucze od szkatuły.

– Bardzo dobrze. Odezwiemy się do pana za tydzień lub dwa.

Ted czuł się tak, jakby właśnie odśpiewał swoją piosenkę i miał czekać cierpliwie na werdykt.

– Nie ustaliliśmy jeszcze wysokości uposażenia – wtrącił nieśmiało Ted.

– Tysiąc osiemset pięćdziesiąt plus prowizja.

– Mówił pan o tysiącu dziewięćset, a może nawet o dwóch tysiącach.

– Naprawdę? Musiałem się chyba omylić. Niemożliwe. Tysiąc osiemset pięćdziesiąt. I tak oferuję panu więcej, niż dałbym komu innemu.

– To nie jest wiele.

– Być może, ale nie jesteśmy „Lifem”.

To była chytra uwaga. „Life” został właśnie zlikwidowany, podczas gdy „Opakowania” prosperowały jak dawniej. A więc wreszcie Ted miał możliwość podjęcia normalnej pracy w swoim zawodzie, może niezbyt atrakcyjnej, ale zawsze. Poza tym nie miał na co liczyć. Gdyby wziął tę pracę, musiałby zapewne zmienić mieszkanie, przeprowadzić się do starszego domu, gdzie komorne jest niższe. Ale gdyby się przeprowadził, to koszt przeprowadzki pochłonąłby oszczędności, jakie przez rok mógłby zarobić na komornym. W przeliczeniu na żywą gotówkę to, co mu teraz proponowano, mógłby zarobić jako taksówkarz. Ale w Nowym Jorku być taksówkarzem oznaczało narażać życie. Nierzadko zdarzały się napady, które kończyły się dla kierowców tragicznie. Chociażby z tego powodu już lepiej było zajmować się sprzedażą reklam. Na agentów reklamowych nikt nie napadał. I

oto nagle zaczęła go trapić myśl, co by się stało, gdyby mu się rzeczywiście przytrafiło jakieś nieszczęście. Gdyby padł ofiarą bandytów, gdyby go ktoś zabił. Co by się stało z Billym? Ted uświadomił sobie, że nie sporządził testamentu. A co będzie, jeśli nagle umrze? Kto zaopiekuje się chłopcem? Jego rodzice? Trudno to sobie nawet wyobrazić. Rodzice Joanny? Wykluczone. Ted nie przestawał myśleć o możliwości swojej śmierci. Postanowił więc powierzyć dziecko jedynej osobie, której naprawdę ufał.

– Thelma, gdybym umarł...

– Nie mów takich rzeczy.

– Wysłuchaj mnie, Thelma. Gdyby zdarzyło się coś strasznego i gdybym umarł, czy wzięłabyś Billy’ego?

– Ted, jestem taka wzruszona, że sama nie wiem, co powiedzieć.

– Weźmiesz go?

– Mówisz poważnie?

– Tak, najzupełniej poważnie. Wiem, że trudno ci tak od razu odpowiedzieć.

– Ted...

– Zastanowisz się nad tym?

– Ted, po prostu brak mi słów...

– Gdybyś się zgodziła, to umieściłbym odpowiedni punkt w moim testamencie.

– Ted, nie myśl o tym.

– Chciałbym jednak, by to figurowało w moim testamencie.

– Możesz to zrobić, Ted.

– Dziękuję ci, Thelma. Dziękuję ci z całego serca. Wiem, że będzie mu dobrze u ciebie. Jesteś wspaniałą matką.

Zadzwoił do swego adwokata i polecił mu sporządzić testament, w którym powierzał Thelmie opiekę nad Billym. Potem udał się do swego lekarza, u którego nie był od dwóch lat, i poddał się gruntownemu badaniu po to tylko, by upewnić się, że jego życiu nie zagraża nagłe niebezpieczeństwo. Lekarz oświadczył mu, że jest zupełnie zdrow, choć na wyniki badań laboratoryjnych trzeba będzie jeszcze kilka dni poczekać. Podczas weekendu poszedł z Billym na plac zabaw, gdzie biegali na czworakach jak małpy. Pod wpływem pomyślnego werdyktu lekarskiego w Teda jakby wstąpił nowy duch. W wyobraźni widział już swego syna, gdy na chwilę przed rozpoczęciem ceremonii ślubnej prosi go, by zechciał po raz ostatni zabawić się z nim w małpią rodzinę. Chciał wierzyć, że dożyje tej chwili.



Nie mógł sobie pozwolić, by Etta w dalszym ciągu u niego pracowała. Ona wprawdzie nadal nie żądała od niego pieniędzy, ale on nie miał sumienia, by ta dobra kobieta poświęcała się dla niego. Nie chciał stać się jej dłużnikiem. Wiedział, że jeśli stan taki potrwa dłużej, nigdy nie będzie mógł spłacić jej swego długu. O'Connor mówił, że kiedyś pozostawał bez pracy przez cały rok. Rok czasu. Był gotów zajmować się dzieckiem i opłacać babysitterkę, gdy będzie musiał zająć się swoimi sprawami. Wydawało mu się również, że ma teraz prawo umieścić Billy'ego w całodziennym przedszkolu, a nawet korzystać z bezpłatnej pomocy żywnościowej.

Z Chicago zadzwonił Ralph, jego brat. Zapytał, jak mu się wiedzie i czy nie potrzebuje gotówki. Ted nie mógł się zdobyć, by poprosić swego starszego brata o pomoc. Uważałby to za osobistą klęskę. Powiedział więc Ralphowi, że nie potrzebuje pieniędzy. Ralph zapowiedział, że w następnym tygodniu przyjeżdża w interesach do Nowego Jorku, i zaproponował Tedowi wspólne pójście na mecz. Potem oddał telefon żonie, która wyraziła żal, że nie widzieli się już od przeszło roku, i oświadczyła, że na lato wyjeżdżają z dziećmi na Florydę. Zapytała, czy Ted nie mógłby wybrać się tam z Billym. Przyjemnie byłoby znów spotkać się w kręgu rodzinnym. Przyrzekł, że zastanowi się nad tym, choć dobrze wiedział, że o takiej eskapadzie nie może nawet marzyć.

Spizarnia świeciła pustką, a ceny szły ciągle w górę. Wiedziony instynktem przetrwania wyniesionym jeszcze z czasów szkolnych i przekonany, że upór jest warunkiem zwycięstwa, że poddać się, znaczy przegrać, że trzeba próbować, co się da, Ted wyruszył na podbój delikatesów. Wyposażony w całą masę wystawionych przez różne domy towarowe kart kredytowych, które zalegały szuflady jego biurka jeszcze w czasach Joanny i nie straciły ważności, bo z nich praktycznie w ogóle nie korzystał, odwiedzał każdy dom towarowy z działem artykułów żywnościowych. Teraz, kiedy nie mógł sobie pozwolić na kupienie zwykłej mielonki u rzeźnika ani na zrobienie większego zakupu w supermarkecie, wiedział, że może zaopatrywać się w żywność w domu towarowym za okazaniem karty kredytowej, bo rachunek przyjdzie dopiero po kilku tygodniach, kiedy być może będzie już dysponował gotówką. Kupował więc mięso w najlepszym gatunku, mrożone jarzyny, groszek wyselekcjonowany, dwa razy droższy od zwykłego, pstrągi z Kolorado, łososia z Waszyngtonu, oryginalne włoskie spaghetti, szkockie herbatniki.

– Proszę pani, czy ten chleb przyleciał tu naprawdę prosto z Paryża? To niewiarygodne. Proszę mi zapakować bagietkę.

Czasem kazał sobie odsyłać zakupy do domu, czasem zabierał je sam, ale nigdy nie płacił za nic gotówką. Robił teraz kolacje z mrożonych dań, przygotowywanych według

przepisów kulinarnych pani Worthington – cielęcina po włosku, paella. Ted nie miał słów uznania dla pani Worthington. Błogosławił ją za każdym razem, gdy siadał do stołu. Jajka musiały być oczywiście świeże i pochodzić z New Jersey.

– Czy ta mrożona pizza jest naprawdę dobra? Skoro pani ją poleca, to wezmę cztery.

Zapasy wszelkiej żywności wypełniały lodówkę, zamrażalnik, spizarnię. W szafkach piętrzyły się pudła z różnymi słoikami i puszkami. Teraz już nie bał się głodu. Nawet gdyby wszystko zawiodło, mógł zawsze liczyć na kurczę cacciatore kupione na kredyt. Wystarczyło wpłacać coś od czasu do czasu, tak żeby dom towarowy wiedział, że klient żyje, że się nie zdematerializował.

Umówił się z bratem w barze na Trzeciej Alei. Mieli zamiar spędzić wieczór jak zazwyczaj: zjeść kanapkę z pastrami, popić piwem i pójść na mecz. Ralph był wysoki, dobrze zbudowany, w typie „mocnego człowieka”. Ubrany był w garnitur z jedwabnej alpagi, krawat w wąskie paski i mokasyny. Mógł śmiało uchodzić za aktora telewizyjnego, który udaje gangstera.

– Zmizerniałeś, Ted.

– Chcę schudnąć.

– Hej, jedno duże piwo z beczki dla tego pana.

– Dziękuję. Wystarczy butelka.

– Nie widzieliśmy się już kupę czasu.

– Tak, to prawda.

Ralph spojrział przez okno na nogi przechodzącej dziewczyny, potem wbił wzrok w swoje buty. Zażyłość nigdy nie cechowała stosunków w rodzinie Kramerów i tym razem też nie było jej między braćmi. Ted odnosił wrażenie, że po tych kilku zdaniach nie mają sobie już nic więcej do powiedzenia.

– Ted, pamiętasz te rozgrywki o mistrzostwo Stanów Zjednoczonych w baseball? – powiedział Ralph też czując pustkę, którą chciał czymś wypełnić.

– Tak, to były dobre czasy.

Całe szczęście, że mieli te wspólne wspomnienia sportowe. Wspominali chwile spędzone razem na boisku, wymieniali nazwiska ulubionych graczy, przeżywali raz jeszcze dawne emocje. Ale ten temat też się szybko wyczerpał.

– Przenieś się do Chicago, Teddy – rzekł Ralph. – Urządę cię w sklepie alkoholowym.

– Dziękuję, Ralph – odparł Ted – ale to nie jest po mojej linii.

– Nie musi to być wcale Chicago. Mogę cię urządzić w jakiejś dzielnicy podmiejskiej.

– To bardzo miło z twojej strony, Ralph, ale nie mogę.

Wracali z meczu wypchanym po brzegi metrem. Jazda w takich warunkach zwalniała ich od obowiązku prowadzenia rozmowy. Wyszli na Times Square i ruszyli w kierunku hotelu Hilton, gdzie zatrzymał się Ralph.

– Napijemy się? – zapytał Ralph.

– Nie, dziękuję. Już późno. Muszę wracać. Billy wcześniej się budzi.

– A co u niego? W porządku?

– Chyba tak.

– Masz jakieś widoki na załatwienie swoich spraw?

– Tak, mam kilka propozycji.

– A jak tam sprawy chleba codziennego?

Skąd Ralph miał wiedzieć, że Ted spożywa tylko chleb sprowadzany drogą lotniczą bezpośrednio z Paryża.

– Dziękuję, nic mi nie trzeba.

– To niemożliwe.

– Naprawdę, nic mi nie trzeba.

– Ted, wystarczy jedno twoje słowo.

– Dziękuję, Ralph. Naprawdę, dziękuję.

Czas to pieniądz. Ted potrzebował czasu i potrzebował bardzo pieniędzy, ale nie mógł się zdobyć na to, by prosić brata o pomoc. Nie zniósłby tego upokorzenia.

– To był bardzo przyjemny wieczór, Ralph. Musimy to powtórzyć, jak przyjedziesz do Nowego Jorku następnym razem.

Podali sobie dłonie. Nagle Ted poczuł, że brat ściska mu mocno rękę i nie chce jej puścić.

– Jesteśmy wszyscy tacy cholernie dumni i tak bardzo oddaleni od siebie. Teddy...

– Co ty mówisz, Ralph. Jesteśmy razem, spędziliśmy przyjemny wieczór...

Na czole Ralpa wystąpiły pęczniejące żyły.

– Teddy. Przecież wiem, że potrzebujesz pieniędzy.

– Powiadam ci, Ralph...

Ralph sięgnął wolną dłonią do kieszeni i wyciągnął książeczkę czekową.

– Nic nie mów, Teddy. Stój spokojnie.

– Ralph, nie chcę twego czeku.

– Teddy, pozwól mi. Ja muszę to zrobić.

Wypisał czek i zanim Ted zdążył się wywinąć, wepchnął mu go do kieszeni.

– Zwrócisz mi, jak się wzbogacisz. – To rzekłszy, objął brata ramieniem i dodał: – Przecież to tylko pieniądze. – Potem odwrócił się i odszedł.

Ted nie mógł się zdobyć na to, by spojrzeć na czek. Wrócił do domu, usiadł przy stole i wreszcie wyciągnął z kieszeni ten złożony kawałek papieru. Zerknął na prawy górny róg i zakrył twarz dłońmi. Był to czek na trzy tysiące dolarów. Jego brat kupił mu czas. Nazajutrz rano będzie mógł zadzwonić do tych facetów z „Opakowań” i powiedzieć im, że ma w nosie ich propozycję.

Wreszcie odezwali się z „Time’u”. Przez kilka dni chodził na rozmowy z różnymi przedstawicielami przedsiębiorstw. Wydawało mu się, że zrobił na wszystkich bardzo dobre wrażenie. Było tylko jedno ale. Ich agent z Kalifornii, który z początku oświadczył, że nie chce się przenieść do Nowego Jorku, podobno zmienił zdanie, a gdyby istotnie zmienił, to miał pierwszeństwo.

Ta sytuacja doprowadzała Teda do szaleństwa. Przecież miał na utrzymaniu dziecko. Czuł, że nie zdaje egzaminu na najważniejszym odcinku, że nie umie sprostać obowiązkom ojca.

Zaczął chodzić na piechotę, kilka kilometrów do biblioteki i z powrotem. To ratowało go od otepienia, no i oszczędzał na przejazdach. Charlie próbował namówić go na randkę.

– Masz tu numer telefonu. Jest piękna. Wspaniałe zęby. Właśnie wstawiłem jej koronę.

Ted wykręcał się, mówił, że nie ma ani pieniędzy, ani ochoty, ani sił zaczynać coś, co i tak nie ma przyszłości.

Zadzwonił Jim O’Connor. Zaczął od długiego wywodu, jak to rozmawiał z prezesem swojej firmy i jak to prezes tłumaczył mu, że nie chcą nowego agenta na prowizji. Ted odsunął słuchawkę od ucha. Już nie mógł słuchać tych wszystkich wyjaśnień na „nie”. Niech będzie, co ma być, byle szybko – myślał.

– No cóż, Ted, musiałem się zgodzić. Zajmiesz się sprzedażą, no i będziesz współpracował z działem badań rynkowych, z grafikami. Ta robota zawsze ci odpowiadała.

– Dobrze.

– Tylko bez prowizji. Nie wiem, jak nazwać to twoje nowe stanowisko, może doradca dyrektora do spraw reklamy. Dwadzieścia cztery tysiące na początek.

– Na kiedy możesz to załatwić?

– To już jest załatwione.

– Z kim mam się zobaczyć?

– Z nikim.

– Jak to?

- To ja cię angażuję.
- Jim...
- Będziesz moją prawą ręką. Chcesz czy nie?
- Chcę.
- No to angażuję cię. Zobaczymy się w poniedziałek o pół do dziesiątej.

Ted odłożył słuchawkę i zaczął skakać i tańczyć z radości. Okrzyki „Hurra!” rozlegały się po całym mieszkaniu. Billy przybiegł ze swego pokoju, gdzie właśnie budował dom z klocków.

- Tatusiu, co się stało?
- Mam pracę, syneczku. Twój stary już nie jest w biedzie.
- To dobrze – rzekł Billy spokojnie. – Przecież powiedziałem ci, że na pewno dostaniesz pracę.
- Oczywiście, że mi to przepowiedziałeś! – zawołał Ted unosząc małego w powietrze i kręcąc się z nim w kółko. – Udało się, Billy! Udało się! Twój tata jest znów górą! Znów będzie nam dobrze, dob-rze, dob-rze!

Ale już nigdy więcej, synu, myślał. Nie przeżyłbym tego, gdyby się to powtórzyło jeszcze raz.

## 13

Czasopismo „Moda Męska” sprzedawano w kioskach. Był to bardzo elegancki magazyn z dużą ilością kolumn w kolorze. Należał do wielkiego wielobranżowego przedsiębiorstwa o kapitale południowoamerykańskim z udziałami w przemyśle odzieżowym. Czasopismo miało propagować modę męską. Ted wziął się energicznie do pracy i z miejsca zdobył kilku nowych klientów. Przyjemnie było znów mieć możliwość sprawdzić się w robocie.

Odesłał bratu czek na trzy tysiące dolarów wraz z upominkiem, książką pod tytułem „Who’s Who in Baseball 1944?”, którą znalazł w jakimś antykwariacie. „Co się stało z drużyną «Browns» z St Louis?” – napisał w liście. A kiedy już kończył, przypomniał sobie wszystkie chłodne grzecznościowe formułki, jakich używał w listach do brata w przeszłości: „Wszystkiego dobrego”, „Pozdrowienia”, „Do zobaczenia”. Tym razem mógł z czystym sumieniem napisać: „Ściskam cię mocno, Ted”.

Ted zapisał Billy'ego na obóz dzienny, który mu poleciła Thelma. Kim spędziła tam ostatnie lato przed rozwodem rodziców.

– Charlie musi mieć jakieś kłopoty finansowe w tym roku – powiedziała Thelma. – Wygląda na to, że chce, byśmy spędziły całe lato w domu zadowolając się klimatyzacją.

Pewnego dnia podczas przerwy obiadowej Ted wybrał się do przedszkola na zebranie rodziców wysyłających dzieci na obóz. Były tam same mamy, on był jedynym mężczyzną w grupie. Rozmawiał z opiekunami Billy'ego, jakimś studentem i studentką, którzy wyglądali tak, jakby mieli nie więcej niż po czternaście lat. Dowiedział się, że wszystkie rzeczy Billy'ego powinny być oznakowane jego imieniem i nazwiskiem, że powinien zabrać ze sobą ubranie na zmianę i zapasową parę trampek. Czuł, że wszystkie mamy przyglądają mu się. Co one sobie wyobrażają? – myślał Ted. Że jestem wdowcem? Albo bezrobotnym zastępującym pracującą żonę? Kto to odgadnie? Ale w miarę jak kierownik obozu opisywał dzienny program zajęć, zdenerwowanie Teda rosło. Basen kąpielowy. Czy to bezpieczne? A jak Billy będzie się czuł w nowym, obcym otoczeniu? Czy nie będzie samotny? Wywiozą go autobusem z miasta nie wiadomo dokąd, w jakieś nie znane miejsce. A potem przyjdzie jesień i Billy pójdzie do szkoły, do prawdziwej szkoły. To „oni” przejmą nad nim pieczę. Jego kochane maleństwo będzie ucłowieczane, polerowane, oswajane, powoli straci swoją osobowość. A więc Billy go opuszcza, teraz wyjeżdża na obóz, a potem pójdzie do szkoły. Już odczuwał mękę rozłąki.

Ted wraz z Ettą odprowadzał Billy'ego do autobusu, ale Billy czuł się skrępowany i nie chciał w obecności innych dzieci całować się z ojcem na pożegnanie. Sam uścisk dłoni wydawał się Tedowi niewystarczający, więc poklepał syna po plecach.

Świat zewnętrzny wdzierał się powoli do ich egzystencji. Wzorem innych dzieci Billy też zadawał pytania.

– Gdzie jest mama, tatusiu?

– W Kalifornii.

– Czy ona wyszła powtórnie za męża?

– Powtórnie za męża? Nie mam pojęcia. A kto cię nauczył takich zwrotów?

– Carla, moja koleżanka z obozu. Jej rodzice się rozwiedli, ale jej mama wyszła powtórnie za męża.

– No tak, to się zdarza. Ludzie żenią się po raz drugi.

– A czy ty ożenisz się po raz drugi?

– Nie wiem.

– Nie ożeniłbyś się po raz drugi z Phyllis?

Phyllis? Ach tak, to ta adwokatka. Zupełnie o niej zapomniał.

– Nie, Billy.

– Tatusiu?

– Co, Billy?

– A może ożenisz się po raz drugi z mamusią?

– Nie, Billy. Tatus i mamusia nigdy nie pobiorą się po raz drugi.

Jim O'Connor namawiał Teda, żeby wziął dwa tygodnie urlopu i gdzieś wyjechał.

– Bo ja wiem... – odpowiadał Ted.

– Ted, jesteś niemądry. Pracujesz jak dziki osioł. Czy nie ma nikogo, kto by cię przekonał, że jesteś wypompowany?

Ted wykluczył ewentualność wyjazdu na Fire Island, bo nie chciał mieć więcej do czynienia ze sfrustrowanymi histeryczkami. Przeglądał więc ogłoszenia biur podróży, które reklamowały usługi wycieczkowe z hotelami o dwuosobowych pokojach. To mu odpowiadało. Podwójny pokój. Będzie mógł mieszkać z Billym, nie spuszczać go z oczu. Zatrudnianie babysitterki, żeby samemu chodzić na podryw do baru, nie interesowało go. Może nie będzie to szalowy urlop, ale Ted jest człowiekiem zmęczonym. Odczuwał jeszcze skutki bezrobocia i tempa, jakie sobie narzucił po objęciu nowego stanowiska. A poza tym przebywanie z Billym nie było synekurą. W końcu postanowił wziąć dwa tygodnie urlopu w sierpniu: tydzień być z Ralphem i rodziną na Florydzie, a drugi w domu, w Nowym Jorku. Billy wróci na swój obóz, a on będzie korzystać z samotności, spać, chodzić do kina, jeść śniadanie w łóżku, oglądać dzienny program telewizyjny, po prostu odpoczywać.

W drodze na lotnisko Ted, który wszystko uzgodnił przedtem ze swoją bratową, wyjawiał wreszcie Billy'emu wielką tajemnicę.

– Billy, jak przylecimy na Florydę, to cię zawiozę do Disneylandu.

Oczy chłopca rozszerzyły się. Disneyland znał tylko z reklam telewizyjnych.

– Tak jest, Billy. Nareszcie poznasz osobiście Myszkę Miki.

Na lotnisku oczekiwali ich Ralph i Sandy oraz Dora i Harold. Powitali Billy'ego gorącymi pocałunkami, czekoladą i torebką z cukierkami, której sam widok przyprawiłby rodziców Joanny o apopleksję. Ustalili, że Ted zamieszka z Billym w pobliskim motelu, a całe dni spędzać będą w domu rodziców, gdzie mogli korzystać z basenu. Tak więc szybko załatwili wszystko w motelu i dołączyli do rodziny. Sandy była ongiś aktoreczką w Chicago, miała długie, smukłe nogi i rude włosy. Na jej widok wszyscy starsi panowie odczuwali przyspieszone bicie serca. Najstarsza córka Ralph'a i Sandy nazywała się Holly i była przystojną młodą dziewczyną, która mimo swych szesnastu lat miała wdzięk dojrzałej

kobiety. Ratownik z basenu był w niej zakochany i nie obchodził go nikt prócz niej. Wszyscy mogliby się potopić, a on nawet by tego nie zauważył. Ich druga latorośl, Gerald, był świetnie zbudowanym i wysportowanym piętnastoletnim chłopcem, który uwielbiał skoki z trampoliny. Powitali Teda zwykłym „Cześć”.

– Billy wygląda wspaniale, natomiast ty okropnie – stwierdziła Sandy.

– Daj mi szansę – odparł Ted. – I pamiętaj, że nie miałem jeszcze okazji spożyć wspaniałych przysmaków sporządzonych przez moją matkę.

– Przysmaki? Kto mówi o przysmakach? – wtrąciła Dora, która nie uroniła z rozmowy ani jednego słowa, mimo że tłumaczyła coś swoim znajomym przy basenie. – Nie mam zamiaru sterczeć w kuchni i dla was gotować.

– Dzisiaj idziemy wszyscy na kolację do restauracji. Ralph płaci – rzekł Harold.

– Słuchaj, Ralph, nie chcę być tutaj na twoim utrzymaniu – oświadczył Ted.

– Drobnostka – odparł Ralph. – I tak potrączę to ze swoich podatków.

– Jak ty to robisz?

– Nic prostszego. Zaraz zobaczysz.

To rzekłszy Ralph podszedł do jakiegoś wygrzewającego się na słońcu wychudłego staruszka, znajomego rodziców.

– Panie Schlosser, chciałem pana o coś zapytać: czy interesowałaby pana posada dostawcy napojów alkoholowych do domów moich klientów w Chicago?

– Pan chyba żartuje. Nie ruszyłbym się stąd za żadne skarby świata – odparł zapytany.

– Szkoda. A teraz, Ted, wiesz, co ja robię? Zapisuję w swoim kalendarzu: „Omawiałem z panem Schlosserem na Florydzie kwestię dystrybucji napojów alkoholowych”. Moja podróż stała się więc podróżą służbową.

– Wiedziałem, że nasza rodzina nie jest pozbawiona pewnego poczucia humoru – stwierdził Ted, a wskazując na rodziców dodał: – Może nie jest to w pełni świadome poczucie humoru, ale trudno go nie dostrzec.

– To jest mój starszy, Ralph. Prowadzi poważne interesy w branży alkoholowej – informowała Dora swą przyjaciółkę. – A to mój młodszy, Ted. Sprzedaje męską konfekcję.

Billy bawił się w brodziku puszczając łódeczkę, ale kiedy wskoczyły tam inne dzieci rozpryskując wokół siebie wodę, chłopiec schował się za leżakiem Teda.

– Jesteśmy nierozłączni – rzekł Ted do Sandy. Był dumny ze swego syna, choć czasem jego zachowanie drażniło go.

Przed końcem roku szkolnego Ted rozmawiał z wychowawczynią Billy’ego. Oświadczyła mu, że jej zdaniem Billy zaadaptował się bardzo dobrze.



– Wydaje się, że jest to zupełnie normalne dziecko.

Ted zwrócił uwagę na to „wydaje się” i od razu zapytał:

– Czy zauważyła pani u niego jakieś problemy?

– Nie – odparła.

– A czy nie jest on zbyt nieśmiały? – ciągnął dalej Ted.

– Nie ma dwojga takich samych dzieci – tłumaczyła mu. – Są rodzice, którzy uważają, że ich dzieci są zbyt agresywne.

To prawda, Billy na pewno nie był zbyt agresywny. Teraz siedział mu na kolanach. Może za bardzo na niego chucham – pomyślał Ted.

Tej nocy spał tylko trzy godziny. Billy chrapał, a urządzenie klimatyzacyjne bez przerwy szumiało. Następnego dnia Billy odkrył, że on też potrafi wskakiwać do basenu, jeżeli Ted go złapie. Po trzydziestu minutach tej zabawy Ted nie czuł rąk. Potem Billy pokłócił się z innymi dziećmi o zabawki. Któreś z dzieci zabrało mu łódeczkę. Billy się rozplakał. Ted interweniował, ale bezskutecznie.

– Jeśli uważasz, że to twoja łódeczka, to bij się o nią! – krzyknął na Billy’ego.

– Nie masz prawa na mnie krzyczeć – protestował Billy zalewając się łzami.

A więc nigdzie nie zazna spokoju. W Nowym Jorku musiał użerać się z klientami, tutaj na Florydzie z Billym i jego rówieśnikami, i to na ogół bez powodzenia. Sandy, która obserwowała tę scenkę rodzinną, poprosiła swoją córkę Holly, żeby zabrała Billy’ego na huśtawkę.

– Odpoczniesz trochę – powiedziała do Teda.

– Dziękuję ci, Sandy.

– To, co widzę, wcale mi się nie podoba. Rozmawiałam z Ralphem i oboje doszliśmy do przekonania, że powinieneś na kilka dni rozstać się z Billym. Jemu to też dobrze zrobi. Rodzice i dzieci powinny co jakiś czas rozstawać się, choćby na krótko.

– Jesteś ciągle bardzo spięty – stwierdził Ralph.

– Mam pomysł. Pojedziemy wszyscy do Disneylandu i zabierzemy Billy’ego. A ty zostaniesz sam i będziesz mógł robić, co ci się żywnie podoba. Możesz zostać tutaj, możesz pojechać do Miami i zainstalować się w hotelu. O małego się nie martw. Będzie mu z nami dobrze.

– Sam nie wiem. Pozwólcie, że się zastanowię.

Gdyby nie doszło do nie chcianych erekcji, Ted by się na pewno na rozstanie z Billym nie zdecydował. Ale te erekcje, które wywoływał u Teda Billy, wierząc się na jego kolanach, były nieprzyjemne i ambarasujące. Ted miał tego dość. Chciał się od tego na jakiś czas

uwolnić.

Kiedy Ted zawiadomił Billy'ego, że ma jechać do Disneylandu z całą rodziną, ale bez niego, Billy poczuł się tak, jakby go zdradzono.

– Przecież mieliśmy być cały czas razem.

– Dużo czasu spędzamy razem.

– Ja nie pojedę.

– Co? Nie chcesz jechać do Disneylandu?! Nie chcesz obejrzyć Disneylandu?!

Jak można było przewidzieć, Billy nie mógł się oprzeć takiej pokusie i w końcu skapitulował. Wynajęto na tę wycieczkę specjalny duży samochód, w którym zmieściła się cała rodzina. Dora próbowała osłodzić Billy'emu czas rozłąki z ojcem ofiarowując mu dużą paczkę czerwonych i brązowych cukierków.

– Nie masz się co martwić – wołała do syna. – Z nami będzie mu dobrze. No, Billy, zjedz cukierka. – Billy na pożegnanie pomachał ojcu rączką. Miał smutną minę. Ted też. Było to ich pierwsze rozstanie.

Mieli spędzić w Disneylandzie trzy dni. Ted mógł czekać na nich w motelu, mógł też wyjechać gdzieś na kilka dni albo na dłużej, ale to by oznaczało, że Billym musieliby się zaopiekować dziadkowie, a tego nie chciał. Wiedział, że by go rozpieszczali, że opychałby się przez całe dni cukierkami. Poza tym Ted nie był zwolennikiem metod wychowawczych swego ojca. Podczas jednego z konfliktów o zabawki, jaki wybuchł przy basenie, Ted usiłował znaleźć polubowne rozwiązanie, ale jego ojciec miał na ten temat zupełnie inny pogląd.

– Powiedz swojemu synowi – zawołał – żeby temu bachorowi dał mocnego kopniaka w dupę. Na takich nie ma innej rady. Billy musi się nauczyć żyć.

Ted nareszcie czuł smak prawdziwej wolności. Mógł sobie pozwolić na nie chcianą erekcję, mógł spać do dziesiątej. Gdyby chciał, mógł nawet nawiązać romans z wdową Gratz, dość przystojną, wyglądającą jeszcze młodo kobietą, chyba przed pięćdziesiątką, która mogła się podobać, jeśli się zapomniało o jej peruce. Coś ciągnęło go do niej, ale w ostatniej chwili opamiętał się, gdy uświadomił sobie, co by to było, gdyby się o tym dowiedzieli jego rodzice. Na pewno by się go wyrzekli. Ważne było, iż mógł myśleć o takich sprawach.

Postanowił nie zostawać w rejonie Fort Lauderdale – Miami. Jeszcze w Nowym Jorku czytał ogłoszenie o nowym ośrodku wypoczynkowym na zachodnim wybrzeżu Florydy, zwanym „The Shells” i zorganizowanym na wzór Club Mediterranée. Za jedną opłatą można było korzystać z wszystkich udogodnień. Wyglądało to dość atrakcyjnie i można się tam było dostać samolotem. Wdowa Gratz pozostanie więc z panem Schlosserem. Ted zadzwonił do

hotelu i zarezerwował sobie pokój do niedzieli. Najbliższy samolot odlatywał tego samego dnia późnym popołudniem. Ted znalazł się wkrótce na jego pokładzie z minimum bagażu.

W ośrodku „The Shells” znajdował się nowoczesny hotel. Okna pokoi wychodziły na basen, duża oszklona weranda służyła jako jadalnia, był tu też bar i basen pływacki. Tęda skierowano od razu do jadalni, gdzie goście obsługiwali się sami. Hotel pachniał jeszcze świeżą farbą i w dwóch trzecich był pusty. Ludzie krążący po jadalni przypominali uczestników zjazdu stowarzyszenia pilotów, wszyscy bowiem ubrani byli w jakieś niezwykle schludne mundury. Ted usiadł przy stoliku nakrytym dla ośmiu osób i znalazł się w otoczeniu czterech tryskających zdrowiem mężczyzn i trzech tryskających zdrowiem kobiet. Był trochę onieśmielony, ale czuł się dobrze.

Od nich to dowiedział się, że „The Shells” cieszy się dużym powodzeniem wśród miejscowych pracowników linii „Delta” i „Eastern” i że siedzący z nim mężczyźni wyglądający na pilotów byli naprawdę pilotami. Nikt nie przyjeżdżał tutaj w środku tygodnia. Ted był w pewnym sensie gościem spóźnionym i czuł, że ci, co siedzą z nim razem przy stole, stanowią już zgrane towarzystwo. Dyskotekę otwierano o pół do jedenastej. Nie wiedział, czy wytrzyma do tak późnej pory. Zafundował sobie jednego drinka przy barze. Popijając zorientował się, że wśród gości jest jeszcze druga grupa ludzi, niższych, cięższych, bardziej spiętych; zachowywali się oni ze znacznie mniejszą swobodą niż ci rycerze przestworzy. Zapewne pochodzili z Nowego Jorku – pomyślał Ted. Spotkanie z nowojorczykami, rozmowa o interesach nie nęciły go. W dyskotekę zjawili się kilka osób, przeważnie par. Ted nie miał tu nic do roboty. Wrócił więc do swego pokoju i położył się z nadzieją, że obudzi się nazajutrz w południe. Nie podejrzewał, że jego wewnętrzny zegar, nakręcany od pięciu lat przez Billy’ego, wyrwie go ze snu o siódmej piętnaście rano.

Zjadł śniadanie w pustej jadalni i ruszył na brzeg morza. Był to wspaniały widok w świetle porannego słońca. Nie myślał o Billym. Nikt nie ciągnął go za rękę, nikt nie zawracał mu głowy. Mógł myśleć tylko o sobie. Rozebrał się, wszedł do wody i pływał samotnie przez kilka minut. Wróciwszy na brzeg poczuł tak rozpierające uczucie swobody, że wydobył z siebie isticie weissmiillerowski, tarzanowski okrzyk a-a-h-a-h-a-h! Siedzące na pobliskich drzewach ptaki zerwały się przestraszone do lotu.

Podczas całego pobytu w „The Shells” Ted ani razu nie wspominał o Billym. Pytany o swą sytuację rodzinną odpowiadał, że jest rozwiedziony. Uważał, że to powinno wystarczyć. Nie życzył sobie rozmów na tematy osobiste. Na próżno jednak próbował zapomnieć o Billym. Kilka razy miał nawet zamiar zadzwonić, żeby zapytać, co słyhać, żeby porozmawiać z nim choćby przez chwilę. Ale nie zrobił tego. Zresztą przed wyjazdem

zostawił im numer telefonu. Gdyby się coś stało, wiedzieliby, gdzie go można znaleźć.

Kilku pilotów organizowało grę w siatkówkę na plaży. Ted przyłączył się do nich, a że grał nieźle, polubili go od razu. Teraz dni stały się podobne do siebie jak dwie krople wody. Kapał się, grał w siatkówkę, pływał, jadł, grał w siatkówkę, kapał się, jadł. Noce spędzał z Dorrie Lee, uroczą młodą kobietą z Jacksonville, która pracowała jak stewardesa na linii Atlanta-Miami. Kochali się w jego pokoju, potem ona wracała do swego – dzieliła go z Betty Ann – bo nie chciała, żeby plotkowano na jej temat. Później z trudem przypominał sobie, o czym rozmawiali; chyba tylko o pogodzie, grze w siatkówkę i zaletach tutejszej kuchni. Nie mówił jej o swojej pracy, nie wspominał też o Billym. Gdy w sobotę rano wracała do pracy, żegnając się z nim podziękowała za uroczo spędzony czas. On też podziękował jej za miłe chwile. Wymienili numery telefonów i obiecali sobie, że odezwą się, jeśli któreś z nich znajdzie się w Nowym Jorku lub Atlancie. Tak zakończyła się ich wakacyjna przygoda.

W niedzielę Ted wrócił do Fort Lauderdale. Wsiadłszy z taksówki przed domem swych rodziców ruszył od razu do basenu. Sandy zauważyła go pierwsza i zaczęła machać do niego dłonią. Potem Billy wyskoczył zza jakiegoś leżaka i rzucił się w jego kierunku krzycząc: „Tatusiu! Tatusiu!” I wylądował w jego ramionach. Gdy zaczął opowiadać o swoich spotkaniach z Myszką Miki, Ted nagle zrozumiał, że choć bardzo chciał być sam, że choć bardzo przydała mu się rozłąka z Billym, to jednak strasznie stęsknił się za nim.

## 14

Teraz Billy znalazł się w klasie razem z trzydziestoma dwoma innymi uczniami. Już nie był jedynym Billym w tym gronie, było jeszcze kilku innych Billów i nawet dwie Samanthy. Gdy Ted odprowadził chłopca do szkoły pierwszego dnia, z trudem przepychali się przez kłębiący się u wejścia tłum rozbrykanych dzieci, które rodzice próbowali utrzymać w ryzach. Billy był trochę onieśmielony. Ted zaprowadził go do klasy sto jeden. Numer coś mu przypominał, ale nie wiedział co.

– Pani Willewska przyjdzie po ciebie. Do zobaczenia – powiedział Ted wychodząc. Od tej chwili Billy wszedł w nowy świat. Tedowi zrobiło się żal przemijającego dzieciństwa syna, ale równocześnie rozpierała go duma, że Billy zaczyna dzięki jego staraniom ten nowy etap swego rozwoju. Miał satysfakcję, że Billy wygląda tak jak wszystkie dzieci, że nie różni się niczym od innych.

Thelma znów robiła wyrzuty Tedowi, że nie udziela się towarzysko.

– Zaszyleś się w swojej norze jak borsuk.

– Mam sześć numerów telefonicznych do kobiet, które tylko czekają na moje skinienie, dziewczynę, z którą mogę się zobaczyć, gdybym przyjechał do Atlanty, no i wpadła mi w oko jedna z matek w klasie Billy’ego. Wygląda zupełnie jak Audrey Hepburn w „Rzymskich wakacjach” i nie nosi obrączki.

– Najważniejsze, żebyś nie wypadł z obiegu. To dobrze robi...

– Na co, Thelma?

– Sama nie wiem. Ale moja mama zawsze tak mówiła. Chyba miała na myśli krwiobieg.

Pewnego dnia Ted podszedł do matki Samantha G. i zaprosił ją na kawę. Wstąpili do kawiarni niedaleko szkoły i zaczęli rozmawiać o dzieciach. Powiedziała mu, że jest rozwiedziona, ale że ma kogoś, i zaproponowała, żeby Billy i Samantha spotkali się po szkole. A więc poszła z nim na kawę tylko po to, by załatwić randkę dla swojej córki. Był jednak wyrozumiały. Dzieci też muszą mieć życie towarzyskie.

Stał się aktywnym członkiem komitetu rodzicielskiego w szkole i dzięki niemu grafik z jego firmy przygotował plakat na szkolną imprezę. Uczestniczył we wszystkich zebraniach komitetu siedząc na małym krzeselku pod tablicą przedstawiającą dąb. Nauczycielką Billy’ego była pani Pierce, kobieta młoda, ubrana w suknię z Indii. Jej widok budził w nim wspomnienia jego nauczycielek, pani Garret i Bienstock. Ach, z jaką rozkoszą dopadłby ją w szatni i wdychał zapach jej ciała zmieszany z zapachem schnących płaszczy i mokrych kaloszy.

W firmie Teda zaczęły krążyć dziwne pogłoski. Mówiono, że dyrektorzy nie są zadowoleni z wysokości zysków. Prezes firmy miał ponoć zwierzyć się komuś z zamiaru zamknięcia czasopisma. Ted się wściekał. Mógł znów stracić posadę. Nie był już w stanie znieść myśli o tym, jak nikły jest jego wpływ na własny los, jak mało znaczyło to, że pracował ciężko i z powodzeniem. Znów mógł znaleźć się na bruku, w sytuacji bez wyjścia.

Jim O’Connor zadzwonił do prezesa, który właśnie bawił w Caracas. Następnego dnia nadszedł teleks, którego treść miała być rozpowszechniona wśród pracowników i podana do wiadomości publicznej. Stwierdzano w nim autorytatywnie, że wszelkie pogłoski na temat planów zaprzestania publikacji są bezpodstawne. Mimo to ci, którzy u nich reklamowali swe usługi, w przekonaniu, że nie ma dymu bez ognia, wykazywali coraz większą ostrożność.

Niektórzy odmówili umieszczania reklam. Nie wątpiąc w szczerłość kierownictwa firmy, Ted i O'Connor robili wszystko, by przywrócić zaufanie klienteli do czasopisma. Ted postanowił uratować firmę od bankructwa, a tym samym własną posadę. Podczas gdy O'Connor uruchamiał wszystkie swoje kontakty, Ted osobiście odwiedzał klientów, przygotowywał plany nowych kampanii reklamowych, przyspieszał zakończenie badań rynkowych, a nawet zamierzał zorganizować pokaz mody męskiej po to, by zmanifestować obecność firmy na rynku. Przez trzy tygodnie harował dniem i nocą, aż wreszcie zła passa zaczęła stopniowo ustępować miejsca nowym zamówieniom. W ten sposób Ted zażegnał wybuch kryzysu. Firma funkcjonowała nadal, a on utrzymał się na posadzie. Co nie oznaczało, że nie miał kłopotów finansowych i mógł z ufnością patrzeć w przyszłość. Wiedział, że mógł w każdej chwili znaleźć się bez pracy, z zaledwie tysiącem dwustu dolarami na koncie bankowym. Właśnie w „New York Timesie” opublikowano artykuł, którego autor szacował koszt wychowania dziecka w Nowym Jorku do ukończenia osiemnastu lat na osiemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. I to bez uwzględnienia wydatków na pomoc domową.

Tymczasem jego przyjaciel Larry prosperował jak nigdy dotąd. Zdażył nawet kupić sobie dom na Fire Island.

– Jak do tego doszedłeś? – próbował dowiedzieć się Ted.

– Dobra passa w biurze. A poza tym nie zapominaj: moja żona pracuje.

Pracująca i zarabiająca żona. To był teraz klucz do bogactwa. Ted zaczął spotykać się z Vivian Frazer, dekoratorką w galerii sztuki. Była przystojną trzydziestoletnią kobietą, inteligentną, poważną, o rocznym dochodzie – jak oceniał – około dwudziestu tysięcy dolarów. Poczulaby się zapewne bardzo dotknięta, gdyby wiedziała, że mimo całej dbałości o własną aparycję robi na nim tylko wrażenie jako kobieta wypłacalna.

Ted zaczął przypatrywać się jej bliżej i zastanawiać, jaka by była z niej matka. Myśl, że jakaś obca osoba mogłaby wnieść do jego życia emocjonalną stabilność, a do jego domu finansową równowagę, była intrygująca. Ale Ted wiedział też to, że ktokolwiek wejdzie do jego domu, trafi w końcu do jego sypialni, a kto wie, co może się stać potem, jak zareaguje na to Billy.

Pewnego wieczoru Billy zobaczył Vivian; gdy wyszła, Ted zapytał chłopca:

– No i co, podoba ci się?

Zdawał sobie oczywiście sprawę, że pytanie to nie ma sensu, chciałby bowiem usłyszeć tylko jedną odpowiedź: „Och tak, jest wspaniała. Dogadamy się bez trudu. Osoba o

jej kwalifikacjach i dochodach może podreperować nasze nadwątlone finanse, nie mówiąc już o duchowych i uczuciowych wartościach, jakie wniesie do naszego życia”.

– Tak sobie – odparł Billy.

Larry i Ellen zaprosili Teda i Billy’ego na weekend do Fire Island, żeby im pokazać nowy dom. Wśród zaproszonych było również małżeństwo z dziesięcioletnią córeczką. Dzieci bawiły się na plaży, a rodzice pili szampana. Ted czuł się doskonale, ale był zazdrosny. On też chciałby mieć taki dom i samochód, żeby móc przyjeżdżać tu na weekendy, on też chciałby spędzać zimowe wakacje w ciepłych krajach i korzystać z innych luksusów, na które sobie nigdy nie będzie mógł pozwolić, utrzymując samodzielnie syna, którego wychowanie do lat osiemnastu będzie musiało kosztować go osiemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Gdyby jakaś dobra wróżka z bajek Billy’ego zjawiała się nagle i zapytała go, jakie ma życzenie, odpowiedziałby zapewne: „Spraw, bym nie musiał się troszczyć, jak związać koniec z końcem”.

Skończyły się pogodne dni. Skończyły się weekendowe zabawy na świeżym powietrzu, a rodzice zmuszeni byli przebywać z dziećmi w domu albo chodzić do muzeów. Ted postanowił zaprosić troje dzieci, Kim i dwóch kolegów szkolnych Billy’ego, w sobotę na lunch. Popołudnie mieli spędzić na wspólnej zabawie. Chciał, żeby chłopiec zdobył przyjaciół, a poza tym żywił cichą nadzieję, że rodzice zaproszonych dzieci zrewanżują się. Od czasu do czasu musiał rozstrzygać wybuchające między dziećmi spory, ale przeważnie nie opuszczał swojej sypialni, gdzie mógł spokojnie czytać. Nie miał nawet ochoty patrzeć, jak się bawią, nie interesował się też tym, jak Billy radzi sobie z innymi. Dzieci były zadowolone. Pozostawione same sobie organizowały różne zabawy, oglądały telewizję. Przez ścianę dochodziły odgłosy rozmów, pogodnych i przyjaznych. Tak mu się przynajmniej zdawało. Przez kilka godzin jego mieszkanie było placem zabaw. Kiedy matki zjawily się, by odebrać swoje pociechy, Ted oddawał im je całe i zdrowe, dumny ze swej roli troskliwego opiekuna.

– A oto fantastyczny superdrzutowiec o nieznannej budowie i nadzwyczajnej szybkości – ogłaszał Billy ze swego pokoju.

Przedtem Ted słyszał, jak rozmawiano o konstrukcji jakiegoś samolotu z kolekcji Billy’ego. Żeby lepiej zgłębić tajniki tej konstrukcji, rozebrali samolot na drobne części.

– Już nadlatuje! – krzyknął Billy wybiegając ze swego pokoju ze szkieletem samolotu w uniesionej do góry ręce. Dopadłszy drzwi Billy potknął się na progu i runął do przodu. Ted

stał w przedpokoju w niewielkiej odległości od dziecka i widział, jak Billy pada, jak uderza łokciem o podłogę. Widział metalowy szkielet zabawki w dłoni chłopca, metalowy szkielet ostry jak brzytwa. I krzyk: „Tatusiu!” Blacha rozcięła skórę na policzku i czole Billy’ego. Jego oczy i twarz zalala krew. Przez chwilę Ted stał jak wryty i nie wiedział, co robić.

– Tatusiu, to krew?! – zawołał Billy.

Ted był już przy nim, tulił go do piersi, podnosił z podłogi, szukał ręczników.

– To nic, kochanie, to nic – powtarzał czując, że zaraz zemdleje. W głowie miał szum. Przypomniawszy sobie, że dobry jest lód, tak, trzeba natychmiast przyłożyć lód na ranę. Głaskał włosy chłopca, całował jego twarz, przykładając lód i ręcznik do rany, sam cały umazany we krwi. Żeby tylko nie zemdleć, myślał, nie wolno tracić przytomności, mówił sobie patrząc na zakrwawioną twarz chłopca i próbując ocenić, czy rana nie jest groźna.

– Już przestało krwawić, Billy. Zaraz wszystko będzie dobrze. – Po chwili trzymając chłopca w ramionach wybiegł na ulicę, złapał taksówkę i kazał wieźć się do szpitala.

W izbie przyjęć na ostrym dyżurze czekał w kolejce jakiś chłopak ze złamaną ręką i staruszka, która się przewróciła na ulicy. Lekarz oświadczył im jednak, że zostaną przyjęci natychmiast, bo Billym musi się zająć chirurg. Chirurg? Po co chirurg, przecież przestało krwawić, pomyślał Ted. Czyżby to była poważniejsza sprawa, niż przypuszczał? W szpitalu, do którego przywiózł chłopca, pracował pediatra leczący zazwyczaj Billy’ego. Ted poprosił więc dyżurnego lekarza, żeby sprawdził, czy pediatra ten jest jeszcze na miejscu. Billy już nie płakał i przyglądał się otaczającym go osobom czujnie i nieufnie.

Na ranę, która biegła wzdłuż policzka i skroni, trzeba było założyć dziesięć szwów. Chirurg zabandażował Billy’emu głowę i powiedział:

– Słuchaj no, mały. Zabraniam ci rozbijać głową ściany i myć się pod prysznicem. Zgoda?

– Zgoda – odparł Billy, trochę przestraszonym, cichym głosem.

Tak się szczęśliwie złożyło, że pediatra był jeszcze w szpitalu i zszedł do izby przyjęć. Billy dostał lizaka za to, że był taki odważny, a potem Ted zostawił go na chwilę samego w poczekalni.

– Ma pan szczęście – powiedział pediatra – że nasz najlepszy chirurg był właśnie na dyżurze.

– Czy zostanie blizna? – zapytał Ted chirurga.

– Każde cięcie na skórze pozostawia bliznę.

– Rozumiem.

– Zrobiłem, co mogłem, ale blizna będzie – powiedział chirurg.



– Pański syn miał nie lada szczęście – odezwał się pediatra. – Niewiele brakowało, a mógłby stracić oko.

Tego wieczoru Billy ledwie tknął hamburgera, a Ted zamiast kolacji wypił podwójną szkocką z lodem. Poza tym wszystko odbyło się zgodnie z przyjętym rytuałem: mycie zębów, czytanie bajki przed spaniem. Obaj próbowali zachowywać się normalnie, jakby nic się nie stało. Ted położył Billy'ego wcześniej do łóżka, a Billy wyczerpany napięciem nie protestował.

Stałem tak blisko, przecież mogłem go złapać, myślał Ted.

Krążył po mieszkaniu i wycierał wszędzie ślady krwi. Zakrwawione ubranie chłopca, swoją koszulę i ręczniki wrzucił do zsypu na śmieci. Nie mógł znieść ich widoku. O jedenastej próbował obejrzeć dziennik telewizyjny, ale wciąż miał przed oczami obraz zakrwawionego dziecka. Zemdliło go, poczuł skurcz w żołądku. Zdążył do ubikacji, by zwymiotować wypitą whisky z żółcią.

Nie mógł zasnąć. W sąsiednim pokoju Billy miał niespokojne sny i coś mamrotał. Ted wszedł do niego i usiadł przy jego łóżku.

Oszpecony na całe życie. Oszpecony na całe życie. Powtarzał to sobie, jak gdyby słowa „na całe życie” miały jakiś dodatkowy, ukryty sens. Znow przeżywał wszystkie wypadki tego dnia. Gdyby wcześniej wszedł do pokoju Billy'ego, zapewne zauważyłby rozmontowaną zabawkę, gdyby przewidział, co robi Billy, ustawiłby się odpowiednio i Billy by nie upadł, gdyby nie zaprosił tego dnia dzieci do domu, to samolot nie zostałby rozmontowany, gdyby, gdyby...

Czuwał przy swoim dziecku i rozmyślał o przeszłości. Jak to się stało, że znalazł się w tej sytuacji? Skąd wziął się ten związek między nim a tym śpiącym obandażowanym chłopcem? Na początku, gdy Joanna była jeszcze w ciąży, nie przypuszczał, że między ojcem a dzieckiem może istnieć taka silna więź. Teraz czuł, że Billy jest częścią jego własnego systemu nerwowego. Ta rana była jego raną, ból jego bólem. Czy istniał w jego życiu jakiś punkt zwrotny? Czy jego życie mogło potoczyć się inaczej? A gdyby został z tamtymi? Lecz kim byli tamci? Byłby kimś innym. Ale kim? A kim byłoby jego dziecko? Może miałby więcej dzieci? Może żadnego? Co by się stało, gdyby tej nocy nie poszedł na przyjęcie do willi nad brzegiem morza? Gdyby nie powiedział tego, co powiedział temu mężczyźnie, który towarzyszył Joannie? Gdyby nie zadzwonił do niej, nie umówił się z nią? Czy jego życie byłoby inne? Lepsze? A może zrobił głupstwo? Czy byłby szczęśliwszy, gdyby wypadki potoczyły się inaczej? Wtedy nie istniałby Billy. Ale czy byłoby lepiej, gdyby Billy nie przyszedł na świat? Billy mamrotał coś przez sen. Ted chciał go wziąć w ramiona i przytulić

do siebie. Może chłopiec spałby spokojniej. Ale czy można zapewnić komuś spokojny sen?

Nie, nie było w jego życiu takiej chwili, od której wszystko mogło potoczyć się inaczej, lepiej. Nic w życiu nie jest proste. No i zdarzają się nieszczęśliwe wypadki. Och, Billy, Billy. Nie pozwoliłbym ci upaść, gdybym tylko mógł.

Przez kilka dni Billy nie chodził do szkoły, ale kiedy Ted pozwolił mu wyjść z domu, chłopak paradował ze swoim białym bandażem na głowie jak bohater.

– Zrobili ci dziesięć szwów? – pytała z zazdrością Kim.

– Zagoiło się świetnie – stwierdził chirurg.

Z prawej strony na twarzy Billy'ego pozostała szrama długości około czterech cali. Nic szpetnego, ale zawsze blizna. Natomiast rana Teda goiła się znacznie wolniej. Ciągłe myślał o tym, co się stało. O najdziwniejszych porach dnia i nocy przed oczami stawał mu obraz padającego dziecka. Wstrząsały nim dreszcze, czuł przenikający go ból. Znajomym mówił nawet, że przeczuwał zbliżające się nieszczęście, i pocieszał się, że mogło skończyć się gorzej.

– Mieliśmy ogromne szczęście. Mógł stracić oko. – Trzeba też było obmyślić wersję dla dziadków.

Poszedł z Charliem do zoo. Spacerowali, a dzieci jechały bryczką zaprzęgniętą w kucyki.

– To tak jak z zębami – mówił Charlie. – Człowiek wyszczerbi sobie ząb i myśli, że cały świat widzi tylko tę jego szczerbę. Albo gdy ma brzydką koronę na jakimś tylnym zębie i zdaje mu się, że wszyscy o tym wiedzą.

– Nie zauważyłbyś blizny? Naprawdę?

– Chyba nie. Gdybyś mi nie powiedział.

– Ale ja widzę. Czasem widzę ją nawet, gdy mam zamknięte oczy.

– Tatusiu, jakiś dzieciak w szkole powiedział mi, że wie od brata, iż jednemu hokeiście założyli dwadzieścia szwów.

– Hokej to bardzo ostra gra. Czasem zdarzają się poważne kontuzje.

– Kupisz mi kij hokejowy?

– Nie wiem. Hokej to sport dla starszych.

– Nie będę grał na lodzie, tylko koło domu.

– A to ci bum-bum Kramer.

– Co to znaczy, tatusiu?

– Był taki hokeista bum-bum Geofrion. Jak trochę podrośniesz, to dostaniesz kij hokejowy. Oczywiście jeśli ci tymczasem chęćka na niego nie minie.

– A ile trzeba mieć lat, żeby już nie spać z misiem?

– Nie ma jakiegoś specjalnego wieku. To zależy tylko od ciebie.

– To chyba już nastał czas. Spróbuję spać sam, bez misia.

– Jak chcesz.

– Miś i ludziki mogą być w moim pokoju. Niech sobie tam stoją, jak takie pomniki. Będę się bawił nimi w dzień, a w nocy pójda na półkę i będą patrzeć, jak śpię.

– Kiedy zaczynasz?

– Od dzisiaj.

– Od dzisiaj?

Noc, gdy Billy zrezygnował ze swego misia, Ted przeżył silniej niż on. Następnego dnia chłopiec był bardzo dumny z tego, że przespał noc sam, jak dorosły mężczyzna. W ogóle był to okres, gdy działy się z nim jakieś dziwne rzeczy. Rozpierała go energia. Ani chwili nie mógł ustać w spokoju. Biegał bez przerwy po całym mieszkaniu. Na placu zabaw nie znał przeszkód. Zrobił się nieostrożny. Wszystko to wzbudzało niepokój Teda. „Uważaj, Billy, nie tak szybko!” Ale te ostrzeżenia nie odnosiły żadnego skutku. Billy zapomniał o upadku, o szwach. Skończył pięć lat i rozwijał się szybko.

Ale Ted pamiętał. Pamiętał każdy szczegół wypadku, pamiętał ten kawał blachy rozcinającej jak brzytwa twarz dziecka. Krew. I te pogrzebane złudzenia, że jego dziecko musi być doskonale, że cudowna twarz tego dziecka nie może mieć blizny, że jego syna nie może spotkać nic złego. Uświadomił sobie, że Billy, którego kochał tak mocno, jest istotą słabą, narażoną na różne niebezpieczeństwa. Przecież znów może mu się coś przydarzyć. Może nawet umrzeć. Myślał, że jest w stanie zapewnić swemu synowi bezpieczeństwo, spokojne życie. Ta rana świadczyła, że jest inaczej, że takiej władzy nie ma.

## 15

Gdy Ted wrócił do biura po spotkaniu z jakimś klientem, dowiedział się, że dzwoniła Joanna. Prosiła, żeby się z nią skontaktował, i zostawiła jakiś nowojorski numer telefonu. Właściwie całą robotę na ten dzień miał już odwaloną i mógł iść do domu.

– Mówi Ted.

– To ty, Ted? Co słyhać? – powiedziała ciepłym głosem. – Widzę, że zmieniłeś pracę.

– Tak. Mam teraz nową robotę. Skąd wzięłaś mój numer telefonu?

– Od twojej gosposi.

– Dzwoniłaś do domu?

– Tak. Ale nie obawiaj się o Billy’ego. Dzwoniłam, kiedy był w szkole.

– Tak, on już chodzi do szkoły.

– Wiem.

– Joanno, może byśmy przeszli do rzeczy. Jestem zajęty.

– Przyjechałam do Nowego Jorku i chciałabym z tobą porozmawiać. To sprawa nie na telefon. Może umówilibyśmy się na drinka.

– Co to za sprawa?

– Kiedy mogę się z tobą zobaczyć?

Mógł oczywiście ciągnąć tę rozmowę, zbyć ją jakąś wymówką albo odłożyć słuchawkę, ale nie miał nic do roboty i był strasznie ciekaw, o co jej chodziło.

– Dzisiejszy dzień bardzo by mi odpowiadał.

– Doskonale. Na 44 Ulicy jest nowy bar – Slattery’ego.

– Dobrze.

– A zatem do zobaczenia o szóstej.

– Dobrze.

– Miło mi było znów z tobą porozmawiać, Ted.

– Czyżby? Dlaczego?

Przerzucił papiery leżące na biurku, zadzwonił do domu i poprosił Ette, żeby została trochę dłużej, potem przejrzał gazety i wyszedł z biura o piątej. Po drodze wstąpił do jakiegoś baru i wypił drinka, żeby się wzmocnić.

Bar Slattery’ego mieścił się w pomieszczeniu długim i wąskim jak kiszka i miał na tyłach kilka stolików. Ted przeszedł wzdłuż baru i znalazł Joannę; siedziała przy jednym z nich. Tym razem nie była opalona, jak podczas ostatniego spotkania. Miała na sobie sweter i spódnice. Wyglądała jak inne pracujące kobiety, które przyszły tu na drinka, z tą jednak różnicą, że nikt nie dorównywał jej urodą.

– Witaj, Ted. Dobrze wyglądasz.

– Ty też.

Zamówili u kelnera po wódce-martini. Ted rozsiadł się wygodnie i czekał, pozostawiając jej inicjatywę. Zdawało mu się, że coś ją gryzie.

– Jak się czujesz w nowej pracy, Ted?

– Świetnie.

– No to dobrze.

Teraz był już pewny, że czegoś od niego chce. Jakaś para usiadła przy sąsiednim stoliku.

– Spójrz na nas, Joanno. Czy nie wyglądamy na stare małżeństwo, które przyszło do baru na drinka? Nie do wiary, co?

– Domyślam się, że jesteś ciekaw, dlaczego się z tobą umówiłam. – Uśmiechała się, ale Ted nie odpowiadał. Czuł jakiś ucisk w gardle. – Od dwóch miesięcy mieszkam w Nowym Jorku.

– Naprawdę?

– Mam mieszkanie na 33 Ulicy.

– Kto by przypuszczał, że jesteśmy nieomal sąsiadami.

Zachowywała się dziwnie, była speszona. Ted zastanawiał się, o co tu chodzi. Czyżby zamierzała zaproponować mu pojednanie? Kiedy widział ją po raz ostatni, nie miała oczywiście takich zamiarów. Ale od tamtego czasu minął przecież rok.

– Warunki się zmieniły. Pracuję teraz w klubie tenisowym. Jako dziewczyna do wszystkiego. No i mogę korzystać z kortów za darmo.

– Sporo ludzi zapłaciło aż nazbyt wysoką cenę, żebyś mogła korzystać z kortów za darmo.

– Nie mam ci za złe, że tak widzisz całą sprawę. A jak Billy?

– Jest wspaniały... ale... miał wypadek... Upadł... – Musiał jej to powiedzieć jak na spowiedzi. – Zranił się w buzię. Ma bliznę, stąd dotąd.

– Och.

– Mieliśmy szczęście. Mogło się skończyć znacznie gorzej. Milczeli przez chwilę, ale czuli się bliscy sobie jak nigdy od chwili rozstania.

– Z daleka w ogóle nie widać, Ted.

– Co?

– Widziałam go.

– Naprawdę?

– Kilka razy siedziałam w zaparkowanym samochodzie naprzeciwko szkoły i obserwowałam was.

– Naprawdę?

– Bardzo wydorósł.

– Siedziałaś w samochodzie?

– Tak. Patrzyłam na swego syna.

Powiedziała to szeptem. Ted był już skłonny wzruszyć się wyobrażając sobie samotność Joanny obserwującej swe dziecko z zaparkowanego po drugiej stronie ulicy samochodu.

– Nie mogłam zdobyć się na nic więcej. Zastanawiałam się, co robić dalej...

A więc jednak szukała pojednania. Dlatego jest taka miła.

– Słuchaj, Ted. Chcę, żebyś mi oddał Billy'ego. Możemy dojść do porozumienia. Będziesz mógł go widywać podczas weekendów, ale ja chcę być jego prawną opiekunką.

– Chcesz, żebym ci oddał Billy'ego?

– Mam teraz stałe miejsce zamieszkania w Nowym Jorku. Będę mieszkać z nim tutaj. Nie chcę was rozdzielać.

– Kpisz sobie ze mnie?

– Chcę mieć swego syna. Nie zamierzam zadowalać się obserwowaniem go przez szybę samochodu.

– Ty chyba naprawdę kpisz sobie ze mnie.

– Ja wcale nie żartuję.

– Czy zdajesz sobie sprawę, co ja przeżyłem? A teraz zjawiasz się i chcesz, żebym ci go *oddal*? – Ted mówił coraz głośniej.

– Możemy to przedyskutować spokojnie.

Zaczęli im się przyglądać ludzie. Już przestali być pierwszym lepszym małżeństwem, które weszło do baru na drinka.

– Teraz, kiedy nareszcie jakoś zorganizowałem sobie życie, zjawiasz się i chcesz mi go zabrać.

– Nie zamierzam pozbawiać cię twoich praw. Będziesz go nadal widywać. Podczas weekendów. Będziesz go widywać, Ted. Jesteś jego ojcem...

– A kim ty jesteś?

– Jestem jego matką. Jestem jeszcze ciągle jego matką. I nigdy nie przestałam nią być.

– Wiesz co, Joanno? Wypchaj się.

– Ted, chcę to załatwić z tobą polubownie. Ale są jeszcze inne sposoby.

– A teraz ty mnie posłuchaj. Jeśli uważasz, że nie wyraziłem się dość jasno, to powtórzę ci to jeszcze raz. Wypchaj się.

– Ted, są sądy. Mogę wnieść sprawę do sądu.

– Nie chcę dłużej rozmawiać na ten temat. Jedyne, która mnie teraz interesuje, to kto zapłaci za drinki.

– Co ty wygadujesz?

– Chcę wiedzieć, kto płaci za te drinki. Ja? Znowu ja mam płacić za wszystko? Zapraszasz mnie na drinka po to, żebym wysłuchał, czego sobie życzysz ode mnie, i jeszcze mam za to płacić?

– To, czy ty zapłacisz, czy ja, nie ma znaczenia. Ja zapłacę.

– To dobrze. Tak powinno być. Kelner!

Kelner stał niedaleko nie chcąc nic uronić z tej scenki.

– Jeszcze jedną. Szybko.

– Tak jest, proszę pana.

– Ty płacisz, ja piję.

– Ted, zachowujesz się skandalicznie.

– Co mi jeszcze zafundujesz? Może sandwicza? Mogę? Czy płacisz tylko za drinki?

– Zamów sobie, co chcesz.

– Widzę, że masz szeroki gest.

– Wysłuchaj mnie, Ted. Chcę z tym skończyć. Miałam czas, żeby przemyśleć wiele spraw. Zmieniłam się. Zrozumiałam wiele rzeczy, lepiej siebie samą poznałam.

– Chciałbym naprawdę wiedzieć, czegoś się nauczyła, co rozumiałaś?

– Nic szczególnego.

– Wymień choćby jedną rzecz, którą rozumiałaś, oczywiście moim kosztem.

– Zrozumiałam, że nigdy nie powinnam była wyjść za ciebie.

Powiedziała to cicho, bez żadnego okrucieństwa w głosie, tak jakby stwierdzała coś zupełnie oczywistego zarówno dla siebie, jak i dla niego. Ted był tak zdruzgotany ostatecznością jej oświadczenia, że na chwilę opuściła go cała złość, która w nim wezbrała. Do stolika zbliżył się kelner i postawił przed nim pełny kieliszek. Ted siedział nieruchomo patrząc przed siebie.

– Proszę to doliczyć do rachunku tej pani – rzekł. – Ona płaci. – Po czym wstał i wyszedł z baru pozostawiając Joannę samą.

Tego wieczoru najmniejsze przewinienie Billy'ego doprowadzało Teda do szału. Położył go wcześniej do łóżka i nie miał nawet cierpliwości, żeby mu poczytać przed zaśnięciem.

– Jesteś w złym humorze – oświadczył Billy.

– Miałem ciężki dzień – tłumaczył się Ted. – Życzyłbym sobie, żeby ten dzień skończył się jak najszybciej, a ty mi w tym pomożesz zasypiając od razu.

Ona chce, żebym jej zwrócił Billy'ego! Ted żałował, że nie chlusnął jej drinkiem w twarz.

Zadzwoił telefon. Telefonowała Vivian w sprawie biletów na balet, o które miała się postarać. Przez chwilę nie wiedział, z kim rozmawia ani o co chodzi. Okazało się, że z biletów nici, proponowała mu więc kino. Kino, balet, Tedowi było wszystko jedno. Nie troszczył się o to, co będzie robić w piątek o ósmej wieczór.

– Dobrze, chcesz iść do kina, to pójdziemy do kina.

– Nic ci nie jest?

– Skłamałbym twierdząc, że czuję się wspaniale.

– Co się stało?

– Nic takiego. Porozmawiamy o tym kiedy indziej.

– Ted, powiedz, o co chodzi.

– Nic ważnego.

– No powiedzże wreszcie.

– Moja eks-żona zjawiła się właśnie w Nowym Jorku i zażądała zwrotu syna.

– Och!

Vivian zadowoliliby się chyba, gdyby jej powiedział, że nabawił się grypy albo że ma u siebie gości. Ale czegoś podobnego na pewno się nie spodziewała.

– Co chcesz zrobić?

– W tej chwili jeszcze nie wiem.

– A co ja mogłabym zrobić?

– Mogłabyś ją wyekspediować w moim imieniu na drugi świat.

Ted wyjął z barku butelkę koniaku i kieliszek. Przez chwilę obracał kieliszek w dłoni, potem nagle z całej siły grzmotnął nim w ścianę, rozbijając go w drobny mak. Coś takiego zdarzyło mu się po raz pierwszy w życiu. Przez kilka sekund poczuł nawet ulgę. Przed pójściem spać zebrał starannie z podłogi wszystkie kawałki szkła. Przynajmniej nie musiał siedzieć beczynnym.

Nazajutrz rano zadzwoniła do biura Joanna, ale Ted nie odebrał telefonu. Zadzwoniła



ponownie w ciągu dnia, ale Ted i tym razem nie chciał z nią rozmawiać.

– Proszę przekazać panu Kramerowi, że nic nie zostało jeszcze zadecydowane – powiedziała sekretarce.

Ted przypomniał sobie, co mu powiedziała w barze: że są sądy i że może dochodzić swoich praw na drodze sądowej. Uświadomił sobie, że odmawianie rozmów nie wzmacnia jego pozycji z punktu widzenia prawa.

Umówił się ze swoim adwokatem, Johnem Shaunessy. Ten spisał wszystko, co uważał za istotne, upewnił się co do niektórych dat: chciał wiedzieć, jak długo Joanna pozostawała poza domem i kiedy była ostatnio w Nowym Jorku.

– Jak widzę, ona lubi przenosić się z miejsca na miejsce – rzekł. – Potem kazał sobie powtórzyć dokładnie to, co powiedziała Tedowi, i zrobił kilka notatek.

– A teraz proszę mi powiedzieć, jakie jest pańskie stanowisko w tej sprawie.

– Chciałbym znać sytuację prawną.

– Mówi pan jak prawdziwy adwokat. Ale w tym wypadku nie chodzi o prawo. Liczy się to, co pan chce zrobić. Czy chce pan zatrzymać dziecko i żyć jak do tej pory, czy też chce pan oddać dziecko i żyć po nowemu.

– Mówi pan nie jak adwokat, ale prawie jak sędzia.

– Nic podobnego. W tej grze nie ma żadnych zasad. Ale przedtem musi pan wiedzieć dokładnie, czy chce pan grać.

– Nie rozstanę się z moim synem i nie życzę sobie, by ona go dostała.

– To jest przynajmniej jasna odpowiedź.

– Ona nie ma do niego prawa.

– A to już nie jest odpowiedź. Ona działa zgodnie z prawem. Wie pan o tym. Są sądy, panie Kramer. Jak dotąd nie możemy jej nic zarzucić.

– Jak pan może tak mówić?!

– Mam na myśli jej taktykę. Ona rozgrywa to w dokładnie przemyślany sposób. Zapewne ma kogoś, kto jej w tym doradza. Do tej pory nie popełniła żadnej nieostrożności, nie próbowała pana podejść. Przyjechała do Nowego Jorku, zamieszkała tu na stałe, w tej samej dzielnicy, co pan. Powiedziała, że nie zamierza pozbawiać pana kontaktu z synem. To wszystko jest bardzo starannie wykalkulowane.

– Co mam zrobić, jeśli znów zadzwoni?

– Proszę jej powiedzieć, że potrzebuje pan trochę czasu do namysłu. Ona najprawdopodobniej wolałaby nie oddawać sprawy do sądu.

– Ja nie zamierzam ustąpić.

– Proszę grać na zwłokę. Jak mam skomplikowaną sprawę, zawsze tak robię. Bardzo mi to pomaga. Zestawiam wszystkie za i przeciw. Spisuję je na kartce i przypatruję się im. Radzę zrobić to samo.

– Nie muszę. Wiem dokładnie, czego chcę.

– Proszę zrobić to dla mnie i zestawić wszystkie za i przeciw. Jeśli potem będzie pan całkowicie pewny, że chce pan w dalszym ciągu opiekować się dzieckiem, to ja nie będę miał żadnych wątpliwości, przystąpimy do sprawy i pokażemy im, gdzie raki zimują.

Wprowadził Ted darzył zaufaniem Shaunessy'ego, ale chciał dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Wiedział, że Jim O'Connor ma kuzyna, który pracuje w sądownictwie. Poprosił więc przyjaciela, żeby zebrał trochę dodatkowych informacji o swoim adwokacie za pośrednictwem tego kuzyna. Telefonów Joanny nie odbierał. Sam do niej zadzwonił i oświadczył, że potrzebuje trochę czasu, by zastanowić się nad jej „prośbą”. Starannie dobierał słów, podejrzewał bowiem, że notuje wszystko, żeby donieść swemu adwokatowi. Joanna zapytała, czy może zobaczyć się z Billym.

– Nie, Joanno. Przysporzyłoby to wiele problemów w tej chwili. Nie życzę sobie tego.

– To niesłychane. Czy mam się zwrócić do sądu, żeby uzyskać zezwolenie na spotkanie z własnym dzieckiem?

– Słuchaj no, ślicznotko, to ty wpakowałaś się w tę kabałę, ja nie miałem z tym nic wspólnego. Przy okazji chciałbym cię zapytać, jakim prawem używasz nadal nazwiska Kramer.

– Podoba mi się, więc je zatrzymałam.

– To rozbijające. Prawdziwe niewiniątko.

To rzekłszy rzucił słuchawkę. I na tym skończyły się jego jednostronne próby polubownego załatwienia sprawy. Przez O'Connora dowiedział się, że John Shaunessy uchodzi za doskonałego specjalistę w dziedzinie prawa rodzinnego. To go jakoś uspokoiło, dzięki czemu miał więcej czasu, by zająć się swoją pracą, swoimi obowiązkami ojca i kochanka – obowiązkami, które ostatnio raczej zaniedbywał. Umówił się z Vivian, ale nie chciał rozmawiać na temat Billy'ego, choć ona zachęcała go do tego przypuszczając, że będzie mu lżej na duszy.

– Nie teraz – powiedział. – I tak za dużo o tym myślę.

Poszli do kina na jakąś komedię, którą oglądał w ponurym nastroju niczym film Ingmara Bergmana. Potem, u niej w domu, kochali się. Ted nie był w stanie wykrzesać z siebie więcej namiętności niż nakręcona kukła.

Następną noc obudził się cały obłany potem. Wstał z łóżka i wszedł do pokoju

dziecka. Chłopiec spał zdrowym, głębokim snem. Ted nie mógł się powstrzymać, obudził go i tuląc do siebie szepnął:

– Billy, Billy, kocham cię, Billy.

– Ja też cię kocham, tatusiu – odparł Billy mrużąc zaspane oczy. – Dobranoc, tatusiu – rzekł odwracając się do ściany. Zasnął od razu. Z rana na pewno nic z tego nie będzie pamiętał.

– Dobranoc, Billy. Śpij dobrze.

Charlie namawiał Teda, by poznał jego nową „dziewczynę”. Urządzał cocktail party w niedzielę po południu i gorąco zapraszał swego przyjaciela. Ted nie przepadał za kanapkami, jakimi Charlie zazwyczaj raczył swoich gości, ale w jego stanie ducha trudno było przepadać za czymkolwiek. Billy był właśnie u kolegi, tak że Ted udał się na przyjęcie ze spokojną głową. Mógł zawsze liczyć na to, że w tym tłumie stomatologów znajdzie się ktoś, kto mu udzieli darmowej porady dentystycznej.

Powitał go Charlie ubrany w elegancki, szalowo młodzieżowy strój – lekki garnitur i apaszkę na szyi. Przeciskali się przez tłum dentystów tańczących z młodymi kobietami fokstrota. Przypominało to jakiś dziwny obrządek miłosnych godów, zupełnie nie na miejscu w nowojorskim przegrzonym mieszkaniu we wczesne niedzielne popołudnie. Na stole stały kanapki, krakersy posmarowane pasztetem i kieliszki z białym winem. Charlie przedstawił Tedowi wysoką kobietę o pełnych kształtach.

– To jest moja dziewczyna, Sondra Bentley. A to Ted Kramer.

– Charlie opowiadał mi wiele o tobie, Ted. Podobno dobry z ciebie kumpel.

– Tak. Do tańca i do różańca.

Chciało mu się śmiać. Ten Charlie miał jednak talent do wynajdywania niezwykłych kobiet. Charlie przeprosił ich, bo ktoś dzwonił do drzwi, a Sondra, jakby odgadując myśli Teda, uznała, że nadeszła chwila zwierzeń.

– Charlie nie ma skomplikowanej osobowości, ale jest szczery – powiedziała.

– Tak, masz rację. Dobry z niego chłop.

Kobiety były młode, a dentyści bardzo roznamiętnieni. Teda nie interesowały dalsze szczegóły z życia Sondry z jego przyjacielem – przypuszczał, że Charlie leczy za darmo Sondrze zęby – więc przeprosił ją i wszedł do łazienki. Nie mając nic lepszego do roboty skropił sobie twarz wodą. Potem wrócił do pokoju i przypatrywał się tańczącym parom. Obok stała jakaś bardzo ponętna kobieta około trzydziestki, ubrana w spodnie i jedwabną bluzkę.

Była chyba najstarszą dziewczyną w całym tym towarzystwie.

– Którą stronę rodziny reprezentujesz? – zapytała.

I znów dał się wciągnąć w głupią rozmowę. Wiedział, że jeśli uda mu się jakaś dowcipna odpowiedź, jego szanse wzrosną.

– Jestem ojcem pana młodego – odparł. Nie było to bardzo błyskotliwe, ale zaśmiała się.

– I dentystą?

– Nie. Pacjentem. – Znów zdołał ją rozśmieszyć.

Z drugiej strony pokoju stali Sondra i Charlie. Ona trzymała go za ramię i szeptała coś do ucha. Czy Sondra była szczerą? Czy Charlie nie jest frajerem? A zresztą to jego sprawa. Miał prawo flirtować, z kim chciał, wykorzystywać swe znajomości z pacjentkami, naciągać je w zamian za darmowe usługi dentystyczne, miał prawo epatować swoimi przyjęciami. Ted nigdy nie urządził żadnego cocktail party w niedzielę po południu i to nie dlatego że nie chciał, ale dlatego że musiałby uwzględnić obecność Billy'ego. Teraz miał do dyspozycji jeszcze całą godzinę. Potem będzie musiał iść po Billy'ego i zabrać go do domu. Ogarnęło go podwójne przygnębienie. Był przygnębiony, że musi tu sterczeć, i był przygnębiony, że musi zaraz wyjść.

– A więc jesteś pacjentem? Co ci dolega? Zęby czy głowa?

– Dobrze. Jeden zero. Prawdę mówiąc pracuję w reklamie. Ale chcę być z tobą szczerą. Mam tylko godzinę czasu i nie sądzę, żebyśmy mogli wiele zdziałać w tak krótkim czasie.

– Skąd ten pośpiech? Musisz wyprowadzić psa?

– Jesteś urocza, ale na mnie już czas. Chociaż dopiero teraz zrozumiałem, jakim nędzarzem byłem, zanim cię spotkałem.

Znów się zaśmiała. Ted miał dość. Podtrzymywanie tego rodzaju konwersacji męczyło go.

Pożegnał się z Charliem i Sondrą i poszedł po Billy'ego. Nie uważał, że jest bardziej przywiązany do swego dziecka niż jakakolwiek rozwiedziona matka, na pewno nie bardziej niż na przykład Thelma. Ale nie mógł porównać siebie z żadnym rozwiedzionym ojcem, po prostu dlatego, że ci, których znał, oddawali dzieci pod opiekę matkom. W domu Billy zaczął grymasić ze zmęczenia i nie chciał nic zjeść na kolację, nic prócz babki.

– Babka jest bardzo pożywna. Robi się ją ze świeżych jajek. Sam widziałem w telewizji – oświadczył.

Potem rozplakał się, bo przypomniał sobie, że przegapił odcinek ulubionego serialu telewizyjnego, który nadano trzy dni temu. Tedowi wydawało się, że chłopak się przeziębił,

więc dał mu lekarstwo przed spaniem, ale Billy wypluł je na pidżamę.

Ted wrócił do ostatniej rozmowy z adwokatem. Nie wyobrażał sobie wprawdzie, że można rozstrzygnąć jego spór z Joanną o Billy'ego przez spisanie wszystkich „za” i „przeciw”, ale chciał i to mieć z głowy, więc siadł przy stole, położył przed sobą czystą kartkę papieru i długopis.

Utrata wolności. – To był pierwszy argument, jaki mu przyszedł na myśl, przemawiający za oddaniem Billy'ego matce. Miasto roilo się od rozwiedzionych mężczyzn, spełniających swe ojcowskie obowiązki tylko w czasie krótkich weekendowych godzin, mężczyzn rozporządzających swobodnie swoim czasem, śpiących, gdzie chcą i z kim chcą.

Spanie. – Też argument, choć mniej ważny. Gdyby nie Billy, nie musiałyby się zrywać o nieprawdopodobnych porach. W niedzielę mógłby wylegiwać się w łóżku do dziewiątej, a nawet do pół do dziesiątej.

Pieniądze. – Zapewne Joanna wystąpi o alimenty. Ale ona nie zrezygnuje z pracy, więc będzie musiał walczyć o to, by nie pokrywać kosztów za jej pomoc domową. Sądził, że każde rozwiązanie pociągnie za sobą mniejsze wydatki niż te, które teraz musi ponosić.

Życie towarzyskie. – Do tej pory prowadził raczej nie uregulowany tryb życia, lecz prawdę mówiąc nie mógł odpowiedzialnością za to obarczać Billy'ego. Ted wiedział, że ma trudności z nawiązywaniem trwałych stosunków, ale nie mógł oprzeć się wrażeniu, że na tym polu bez Billy'ego byłoby mu łatwiej.

Uzależnienie emocjonalne. – Rozmawiał kiedyś z Thelmą o tym, że samotni rodzice wychowujący dzieci wykorzystują je jako pretekst, by nie nawiązywać stosunków towarzyskich i zamykać się w sobie. Doszli wtedy oboje do wniosku, że taki stan jest nie do uniknięcia, po prostu dlatego, że ciągle przebywa się w tym samym otoczeniu. Ale Ted zastanawiał się, czy to uzależnienie nie wyklucza w ogóle możliwości prowadzenia jakiegokolwiek życia towarzyskiego.

Co Billy będzie z tego miał? – Będzie przebywał ze swoją matką jak większość dzieci rozwiedzionych rodziców. Jak podrośnie, nie będzie musiał tłumaczyć się, gdzie jest jego matka. Jego życie potoczy się tym samym torem co życie innych dzieci. Harriet twierdzi, że dziecku potrzebna jest matka, a matka Billy'ego jest tuż pod ręką.

Kiedy zaczął spisywać wszystkie „za”, argumenty nie nasuwały się z taką samą łatwością.

Korzyści zawodowe – napisał na początek. Ted wierzył, że fakt sprawowania opieki nad dzieckiem wzmógł w nim poczucie odpowiedzialności i przyczynił się pośrednio do jego sukcesów zawodowych.

Natęzał myśl, żeby znaleźć jeszcze coś, co by przemawiało za nieoddaniem Billy'ego, ale bezskutecznie. Jego umysł był zablokowany. Nie znajdował racjonalnych argumentów. Tylko uczucia. Długie, męczące, intymne godziny spędzone razem. Wielki wysiłek włożony w odbudowę wspólnego domu po odejściu Joanny. Trudne chwile przeżyte razem. Wspólne radości i smutki. Wszystkie poniesione ofiary. Udręki. Ból zranionego dziecka. Miejsce, jakie Billy zajmuje teraz w jego życiu.

Tak. On jest teraz częścią mojego życia. I ja go kocham.

Ted chwycił zapisaną kartkę i zmiażdżył ją w dłoni. Nagle poczuł, iż łzy ściekają mu po policzkach. Od tak dawna nie płakał, że nie rozumiał, co się z nim dzieje. Już prawie zapomniał, co to znaczy płakać. Ale nie mógł się powstrzymać.

Nie oddam cię... Nie oddam cię... Nie oddam cię.

## 16

John Shaunessy poradził Tedowi, żeby przygotował listę osób, które by mogły zaświadczyć przed sądem, że jest dobrym ojcem. O swojej decyzji miał zawiadomić Joannę, a potem czekać; wkrótce przekona się, czy ona rzeczywiście zwróci się do sądu o przyznanie jej opieki nad Billym. Przez moment myślał nawet o ucieczce; uniknąłby konfliktu, zmusiłby ją, żeby ich szukała, podczas gdy oni ukryliby się gdzieś na łonie natury. Cóż, kiedy nie miał dokąd uciekać. Jedyny skrawek natury, jaki miał do dyspozycji, to St James Park w Bronxie. Był nieuleczalnym, stuprocentowym mieszczuchem. Nie mógłby się żywić jagodami.

Zadzwoił do niej do klubu tenisowego.

– Joanno, czy możemy porozmawiać?

– Tak.

– A więc powiem ci, co postanowiłem. Otóż nie zamierzam oddać ci Billy'ego ani teraz, ani kiedykolwiek w przyszłości, ani w tym, ani w jakimkolwiek innym wcieleniu. I nic, co powiesz lub zrobisz, nie może zmienić mojej decyzji. Nie oddam ci go.

– Ted...

– Nie zawsze mówiliśmy tym samym językiem, Joanno, ale mam nadzieję, że tym razem zrozumiałaś mnie dobrze.

– Ted, przecież nie byłam złą matką. Po prostu wtedy nie mogłam sobie z tym wszystkim poradzić. Teraz jest inaczej.

– A my mamy cierpliwie czekać, aż łaskawie uznasz, że możesz sobie z tym poradzić.  
Dobre sobie.

– Ted, przyjechałam do Nowego Jorku, żeby tu zamieszkać na stałe.

– I żeby to ładnie wyglądało na rozprawie sądowej. Chcesz być matką? To bądź. Ja ci nie przeszkadzam. Wyjdź za męża, miej dzieci. A zresztą, żeby mieć dzieci, nie musisz zaraz wychodzić za męża. Rób, co chcesz. Ale mnie i małego zostaw w spokoju.

– Ja go wydałam na świat. To moje dziecko.

– Czy mam ci przypomnieć, że wołałaś o tym nie myśleć?

– To ja dałam mu to imię. Billy to był mój pomysł. Ty chciałaś, żeby nazywał się Peter czy jakoś tak...

– To było sto lat temu, Joanno.

– Przecież będziesz go mógł widywać.

– Tak. Codziennie. Możesz przekazać swojemu adwokatowi moje słowa.

– Co mam mu powiedzieć? Że zobaczymy się w sądzie?

– To zależy od ciebie. Ale powiem ci jedno: jeśli oddasz sprawę do sądu, nie wygrasz.

Przeciwko mnie nie masz szans.

Miał nadzieję, że ona zrezygnuje widząc jego zdecydowanie. Kiedyś zaskoczyła go swoim odejściem. Teraz marzył o tym, żeby znów odeszła.

Jeżeli Ted oczekiwał nagrody za swoje przywiązanie do syna, jeśli oczekiwał, że Billy odplaci mu posłuszeństwem, to się pomylił.

– Nie lubię cię, tatusiu – oświadczył mu pewnego razu, gdy Ted chciał go położyć spać.

Ale zdarzało się również, że Billy zjawiał się nagle w pidżamie, wskakiwał mu na kolana i całował w policzek mówiąc:

– Zapomniałem cię pocałować na dobranoc. To znaczy, tyś mnie pocałował, ale ja ciebie nie pocałowałem. – Potem wracał do siebie i kładł się do łóżeczka. Ted, rozbawiony, nie wyobrażał sobie, że ktoś mógłby pozbawić go takich przeżyć. Chciał wierzyć, że Joanna zmieni zdanie, że ją wystraszył, że dojdzie do wniosku, iż zajmowanie się dzieckiem będzie kolidować z jej treningiem na korcie.

– A więc znów jestem na lodzie. Co za dranie!

– Przykro mi, Ted – powiedział O'Connor. – To ja ci to narailem.

Nikt właściwie nie wiedział, dlaczego tak się stało. Ted podejrzewał, że ktoś chciał się

popisać oszczędnościami zrobionymi właśnie na jego dziale.

– Ja też mam tego dość, Ted. Pójdę na emeryturę. Ale przyrzekam ci, że przedtem znajdę ci pracę.

– Dziękuję, Jim. Ale ja zamierzam znaleźć sobie nową posadę w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

– Jak ty to zrobisz, u diabła?

– Nie mam pojęcia.

Kilku pałających żądzą zemsty urzędników, rozwścieczonych decyzją dyrekcji o likwidacji działu w przededniu Świąt Bożego Narodzenia, bez premii i płatnego dwutygodniowego wymówienia, wynosiło z biura wszystko, co można było ze sobą zabrać – papier, kalkę, zszywacze, maszyny do pisania. Ted pozostawił swoje biurko w nietkniętym stanie, nawet nie uporządkował papierów. Po rozmowie z O’Connorem pożegnał się z kilkoma ludźmi i wyszedł na miasto.

– Wesołych Świąt – powiedział do niego stojący przed domem chudy facet w przebraniu świętego Mikołaja z dzwonkiem w ręku.

– Pocałuj mnie gdzieś – odparł Ted.

Chłopak z powielarni odniósł wrażenie, że ma do czynienia z wariatem, kiedy Ted podał mu napisany naprędce na zwykłej kartce papieru życiorys, mówiąc:

– Ma być za godzinę.

– Ależ proszę pana, to trzeba przedtem przepisać na maszynie i dopiero potem...

– Nic mnie to nie obchodzi. Powiedziałem: w ciągu godziny. Płacę potrójną stawkę.

Czekając na odbitki zaczął wydzwaniać do różnych biur pośrednictwa pracy.

– Proszę powiedzieć, że musi mnie przyjąć o trzeciej, bo jeśli nie, to idę gdzie indziej.

– Pan się widocznie bardzo wysoko ceni.

– Och tak, bardzo wysoko.

Była to najgorsza pora na wymówienie. Panowała atmosfera przedświąteczna, ludzie nie mieli głowy do interesów, nikt nie zmieniał posady. Ted odebrał odbitki i przez całe popołudnie biegał od jednego biura pośrednictwa pracy do drugiego. Potem wsiadł do taksówki i kazał się zawieźć do redakcji „New York Timesa”, gdzie przejrzał wszystkie ogłoszenia z ostatniego tygodnia o wolnych posadach. Następnego dnia wyszedł z domu o pół do dziewiątej. Przeszepował niecierpliwie z nogi na nogę, kiedy kolejka podziemna zwalniała



między stacjami, biegał po schodach, żeby być pierwszy w biurze pośrednictwa pracy i zdążyć też jako pierwszy do następnego biura pośrednictwa pracy. Śpieszył się, telefonował, zostawiał podania z życiorysem. Musiał dostać pracę. Musiał dostać pracę, i to szybko. W tym pośpiechu nie zdążył się nawet zorientować, że wpadł w panikę.

Po dwudziestu czterech godzinach, z czterdziestu ośmiu, które sobie wyznaczył, żeby załatwić swoją sprawę, Ted zorientował się, że w grę wchodzi ewentualnie dwie posady: jedna w „Opakowaniach”, zapewne ten obleśny wydawca nigdy nikogo nie zaangażował albo już zdążył wyrzucić na bruk kolejnego nieszczęśnika, a druga w czasopiśmie „McCall’s”, gdzie stanowisko było do wzięcia od dwóch miesięcy. Facet w biurze pośrednictwa pracy wyznał mu, że musi to być jakaś nieczysta sprawa. Może „McCall’s” wcale nie zamierza nikogo przyjmować do pracy. Ted znajdował się w budce telefonicznej i przestępował niecierpliwie z nogi na nogę. Nabawił się takiego nerwowego tik w wieku lat czterdziestu.

– Panie Shaunessy, ona się jeszcze nie odezwała.

– Może się jej odechciało.

– Ale muszę panu coś powiedzieć: moja sytuacja się zmieniła. Straciłem pracę.

W telefonie zapanowała cisza, zbyt długa jak na gust Teda.

– To nic. Damy sobie radę. Jeśli sprawa trafi do sądu, to będą koszty, ale ja stawiam na pana. Zapłaci pan, kiedy pan będzie mógł.

– Ile to może mnie kosztować?

– To droga impreza. Zależy od tego, jak długo sprawa będzie się ciągnąć, założywszy, że trafi do sądu. Gdzieś w granicach pięciu tysięcy dolarów.

Oby cię szlag trafił, Joanno!

– Gdyby pan przegrał sprawę, to sąd mógłby pana obciążyć również jej kosztami sądowymi, ale nie myślmy o tym.

– Chryste Panie!

– No cóż. Nic na to nie poradzę. Takie są koszty.

– A co pan sądzi o mojej sytuacji? Przecież to, że nie mam pracy, nie może przemawiać na moją korzyść. Jak można pozostawić dziecko opiece bezrobotnego ojca?

Znów zaległa cisza.

– Oczywiście byłoby lepiej, gdyby pan pracował. Czy ma pan jakieś widoki?

– Tak. Dziękuję za rozmowę. Do zobaczenia.

Wybiegł z budki telefonicznej i ruszył w kierunku najbliższego biura pośrednictwa

pracy. Gdy znalazł się przed wejściem, uświadomił sobie, że był tu niedawno. Stał na rogu Madison Avenue i 45 Ulicy, oddychał ciężko i przestępował z nogi na nogę.

Wreszcie nakłonił agenta z biura pośrednictwa pracy, żeby mu załatwił spotkanie w redakcji „McCall’s” jeszcze tego samego dnia o czwartej po południu. Szef działu reklamy, mężczyzna około pięćdziesiątki, zajęty był przygotowaniami do świąt i myślał już o tym, by jak najszybciej wyjść z biura. Rozmowę z Tedem chciał mieć prędko z głowy. Ale Ted nie dawał za wygraną. Mówił o swoich osiągnięciach, o swoich koncepcjach, planach, wszystko podbudował faktami, cyframi, a kiedy wydało mu się, że jego rozmówca wykazuje zainteresowanie, zaskoczył go pytaniem, czy jest ktoś, z kim powinien porozmawiać, i czy ta rozmowa mogłaby się odbyć już teraz.

– Tak, nasz dyrektor. Ale on wyjeżdża.

– Czy nie mógłby pan zaraz go tu sprowadzić? A może od razu moglibyśmy pójść do niego?

– Nie wiem, jak on by to przyjął, panie Kramer.

– Nie będę ukrywał, że bardzo mi zależy na tej posadzie.

Mężczyzna przyjrzał się uważnie Tedowi, po czym wziął jego życiorys i wyszedł z gabinetu. Po dziesięciu minutach wrócił w towarzystwie jakiegoś starszego pana, który przywitał się z Tedem i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

– A więc to panu się tak śpieszy.

– Zechce pan powtórzyć raz jeszcze to, co powiedział pan mnie, panie Kramer – rzekł szef działu reklamy.

Ted skracał się, żeby jak najprędzej dojść do sedna sprawy.

– Rozumiem, że panowie płacą od dwudziestu pięciu do dwudziestu sześciu tysięcy. Człowiek z moim doświadczeniem wart jest chyba dwadzieścia sześć.

– Dwadzieścia pięć tysięcy – rzekł dyrektor jako dobry taktyk.

– Dobrze. A teraz powiem panom, co zamierzam zrobić. Zgodzę się na dwadzieścia cztery tysiące pięćset, a więc na pięćset mniej, niż chcecie zapłacić, pod warunkiem, że dobijemy targu już teraz. Nie jutro, nie po świątach, tylko już teraz. Za waszą natychmiastową zgodę opuszczam pięćset dolarów. Wyrównam sobie tę stratę na prowizjach.

– Jest pan bardzo twardym negocjatorem, panie Kramer.

– To moje ostatnie słowo. Dziś albo nigdy. Za dwadzieścia cztery tysiące pięćset.

– Chcielibyśmy pana przeprosić – odezwał się dyrektor. – Czy może pan nas zostawić na chwilę samych?

Boże święty. Chyba zwariowałem. Na co ja się porywam? Czyżby było ze mną aż tak

źle?

Po pewnym czasie wezwali Teda do gabinetu. Szef działu reklamy zerknął jeszcze na życiorys i rzekł:

– Musimy jeszcze sprawdzić referencje, na które pan się powołuje.

– Proszę bardzo. Nie mam nic przeciwko temu. Ale podejrzewam, że oni nie będą się śpieszyć z odpowiedzią.

– Panie Kramer – przerwał tę rozmowę dyrektor – witam pana w naszych szeregach za dwadzieścia cztery tysiące pięćset dolarów.

A więc udało się. Święty Boże!

– Bardzo się cieszę, że mogę zaliczyć się do waszych współpracowników – powiedział Ted.

Wyszedłszy na ulicę pobiegł w kierunku budynku, gdzie mieściła się redakcja „Mody Męskiej”. Chudy facet przebrany za świętego Mikołaja wymachiwał dzwonkiem. Ted zbliżył się do niego, wrzucił do skarbonki banknot pięciodolarowy i uścisnął mu dłoń tak mocno, że ten aż jęknął z bólu.

W redakcji „McCall’s” nikt się nie przemęczał w okresie świątecznym, tak że Ted mógł spokojnie zagospodarować swoje nowe miejsce pracy. Przestał również przestępować z nogi na nogę. Reprezentował teraz solidną firmę i już pierwszego dnia po Nowym Roku odbył szereg rozmów ze swoimi klientami. Dzięki temu, że udało mu się tak szybko uzyskać nową posadę, odprawa, jaką dostał w poprzednim miejscu pracy, była nietknięta i mógł ją przeznaczyć na pokrycie ewentualnych kosztów sądowych. Tymczasem Joanna nie dawała znaku życia.

Pewnego wieczoru już po godzinie dziesiątej nagle zadzwonił telefon.

– Czy pan Kramer? Mówi Ron Willis. Jestem znajomym Joanny.

– Tak...

– Pomyślałem sobie, że mógłbym pomóc w przełamaniu tego impasu.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi.

– Sądzę, że gdybyśmy się spotkali, mógłbym wyjaśnić kilka spraw.

– Czy jest pan adwokatem Joanny?

– Tak się składa, że jestem prawnikiem, ale nie jestem adwokatem Joanny.

– To kim pan właściwie jest?

– Jestem po prostu jej znajomym. Myślę, że gdybyśmy się spotkali, mógłbym panu i

jej zaoszczędzić masę kłopotów.

– A więc ktoś dzwoni, żeby mi zaoszczędzić kłopotów. I na tym ma polegać jej następny krok w rozgrywce ze mną.

– Proszę mi wierzyć, to wcale tak nie jest.

– Dlaczego miałbym panu wierzyć?

– Joanna naprawdę nie prosiła mnie, żebym do pana zadzwonił.

– I ona nawet nie przypuszcza, że pan dzwoni, co?

– Ona wie, że dzwonię, ale to był mój pomysł.

Ted był ciekaw, kim jest ten „znajomy” Joanny, no i chciał też dowiedzieć się, co oni planują.

– Zgoda, panie Willis. Spotkajmy się zatem przed Martellem na Trzeciej Alei przy 83 Ulicy w piątek wieczorem. Porozmawiamy przy piwie.

– Doskonale.

– Nie może być lepiej, prawda?

John Shaunessy nie miał nic przeciwko spotkaniu z osobą trzecią, bo to mogło mu dostarczyć nowych informacji, ale ostrzegwał przed pójściem do baru na drinka. Doradzał spotkanie w uczęszczanej kawiarni lub odbycie rozmowy na ulicy, przed domem Teda. Chodziło o to, by nie dać się wciągnąć w pułapkę, w bójkę czy w kontakt z homoseksualistą, w cokolwiek, co mogłoby się skończyć aresztowaniem. Przeprosił Teda, że ma taką parszywą wyobraźnię, ale chciał tylko zaznaczyć, że takie rzeczy się zdarzają i że lepiej mieć się na baczności, bo sędziowie nie lubią ludzi skazanych za tego rodzaju przestępstwa.

Następnego dnia Ted nie mógł uwierzyć własnym uszom. Czyżby dzieci miały jakiś szósty zmysł? O tych sprawach rozmawiał tylko wtedy, kiedy Billy już spał. A tu nagle w drodze do szkoły, kiedy na przejściu czekali na zielone światło, chłopak odezwał się ni stąd, ni zowąd.

– Kiedy znów zobaczę mamusię?

– Nie wiem, synku.

– Chciałbym się z nią zobaczyć.

– Wiem, że jest ci bez niej ciężko. Rozumiem cię.

Szli milcząc. Kiedy dotarli do szkoły, Billy spojrzął na ojca i rzekł starannie, jakby po długim namyśle dobierając słowa:

– Pani Willewska jest jak mama. Ale ona nie jest prawdziwą mamusią. Rozumiesz, co

chcę powiedzieć?

– Tak, rozumiem. Jesteś wspaniałą, Billy.

Wieczorem Billy poprosił ojca, żeby mu przeczytał książeczkę pod tytułem „Zajaczek wędrowniczek”. Była to historia o małym zajączku, który ciągle ucieka z domu i którego mama zajaczek pokonując różne trudności zawsze odnajduje. Po odejściu Joanny Ted schował gdzieś tę książkę, uważając, że nie powinien zaprzętać czymś takim umysłu dziecka. Ted zaproponował książeczkę o misiu, ale Billy nie wykazywał zainteresowania. Przed zaśnięciem zaczął rozmawiać sam z sobą odgrywając jakąś wyimaginowaną scenkę spotkania matki z dzieckiem. Ted uświadomił sobie, że nie ma prawa pozbawiać dziecka, które tak bardzo kocha, spotkania z matką. Następnego dnia zadzwonił do Joanny i oświadczył jej, że może zobaczyć się z Billym, kiedy zechce, że może go wziąć na kolację, spędzić z nim wieczór, że on to załatwi z panią Willewską. Umówili się, że nazajutrz Joanna przyjdzie po małego o piątej i zabierze go na kolację. Ted powiedział jej również, żeby uprzedziła swego znajomego, że ma się zjawić przed domem, a nie, jak się umówili przedtem, przed wejściem do baru.

– To nie był mój pomysł – oświadczyła Joanna.

– On też tak twierdzi – zapewnił ją Ted. I na tym skończyła się ich rozmowa. Nie mieli sobie już nic więcej do powiedzenia.

Następnego dnia Ted czekał przed domem na znajomego, który zjawił się punktualnie. Przyjechał taksówką. Wysoki blondyn, wysportowany, młody – Ted nie dałby mu więcej jak trzydzieści lat – opalony, w garniturze i krawacie, z przerzuconym przez ramię płaszczem, co mogło świadczyć albo o jego wytrzymałości na niskie temperatury albo o zwykłej głupocie, bo na dworze panował mróz.

– Pan Kramer? Jestem Ron Willis. Gdzie będziemy rozmawiać?

– Tutaj.

– Proszę bardzo, jeśli pan sobie tego życzy. Na wstępie chciałbym panu powiedzieć, że ja i Joanna jesteśmy bardzo zaprzyjaźnieni.

– Moje gratulacje.

– Sądzę, że znam ją dobrze. Pod niektórymi względami lepiej niż pan, proszę się nie obrażać. Uważam, że Joanna bardzo się zmieniła od czasu, kiedy się z panem rozstała.

– W takim razie jej też należą się gratulacje.

Ten facet go irytował. Nienawidził go za jego aparycję, za to spojrzenie, którym bombardował swego rozmówcę, jakby go chciał zniewolić swoją pewnością siebie. Nó i nienawidził go za to, że śpi z jego eks-żoną.

– Zeszliśmy się, kiedy Joanna otrząsnęła się ze swoich kalifornijskich przeżyć. Pracowała u Herta na pół czy ćwierć etatu, wykonując najrozmaitsze prace biurowe. Próbowała różnych autoterapii, miała kilka przygód sentymentalnych. Nie na długo.

A więc Joanna też miała trudności z nawiązywaniem stosunków z ludźmi. Słaba to była pociecha, ale zawsze...

– Wiedziałem, że Joanna jest inna niż te wszystkie zwariowane dziewczyny, które przyjeżdżają do Kalifornii w poszukiwaniu przygód. Pełno tam takich.

– Podejrzewam, że przyjeżdżają tam po słońce.

Ted nie zamierzał ułatwić mu zadania. Ten facet nie zasługiwał na jego sympatię.

Willis tymczasem włożył płaszcz i mimo to trzął się cały z zimna. Ted widząc, że już mu nie chce zaimponować swoją krzepą i wytrzymałością, uznał, iż nie ma sensu kontynuować tej rozmowy na świeżym powietrzu. Zaproponował więc, by wstąpili do kawiarni, gdzie Willis wypił duszkiem filiżankę gorącej czekolady.

– Czy mogę być z panem brutalnie szczery, panie Kramer?

– Proszę bardzo, ale skoro chcesz być brutalny, mów mi Ted.

– Uważam, że jej małżeństwo z tobą było bardzo nieudane. To ją zupełnie wytrąciło z równowagi. Ty i dziecko. Ale uważam też, że jej reakcja była przesadna, i ona też zdaje sobie z tego sprawę. To zerwanie było zbyt ostre.

– Chciała odzyskać wolność. To była jej decyzja.

– Czy wiesz, że tej nocy, kiedy opowiedziała mi o dziecku, płakała przez trzy godziny? Jakby pękła w niej jakaś tama. To dziecko było objawieniem nie tylko dla mnie, ale również i dla niej.

– O Billym trudno zapomnieć.

– Słuchaj, Ted. Joanna miała swoją szansę. Była wolna, jak powiedziałeś. I przy tej okazji coś zrozumiała. Zrozumiała, że popełniła błąd. Że zareagowała w sposób przesadny. Czy chciałbyś, czy mógłbyś żyć z poczuciem popełnionego błędu, mając możliwość naprawienia go?

– A może tego błędu nie da się już naprawić? Ron, ty nie znasz się na nowojorskiej pogodzie i nie rozumiesz wcale Joanny. Widzisz, jej się wiodło za dobrze.

– Jak możesz tak mówić po tym wszystkim, co przeżyła?

– Widzisz, Ron, wystarczyło, że powiedziała: „Tak mi przykro”, i już owinęła cię dookoła swego małego palca. Powiedz, chcesz ją poślubić?

– Co to cię obchodzi. Jesteś jej ojcem?

Przynajmniej jedno było jasne. Ted nie obchodził go w najmniejszym nawet stopniu.

- Jesteśmy już razem od sześciu miesięcy.
- To wzruszające. – Ted miał ochotę wyjść z tym facetem na dwór, żeby marzył.
- Postanowiłem przenieść się do Nowego Jorku i założyć tu biuro, żeby być razem z Joanną i w tym wszystkim jej pomóc.
- I przekonać mnie, żebym ustąpił?
- Myślałem, że mógłbym wam pomóc. Sądzę, że ty i Joanna nie jesteście w stanie porozumieć się ze sobą. Słuchaj, Ted, zapewniam cię, że będziesz się mógł widywać z chłopcem. Joanna będzie teraz wspaniałą matką po tym, co zrobiła. Ona naprawdę chce się poświęcić swemu dziecku.
- Nie przekonałeś mnie.
- Być może nie wiesz o tym, ale jeśli ona pójdzie do sądu, to przegrasz sprawę.
- Nie przypuszczam. I mój adwokat jest tego samego zdania co ja.
- On musi, to jego zawód. Ale czy naprawdę myślisz, że możesz stanąć przed sądem i udowodnić, że Joanna nie nadaje się do sprawowania opieki nad swoim dzieckiem?
- Może uda mi się udowodnić, że ja nadaję się bardziej do tej opieki niż ona.
- Wierz mi, Ted, taka rozprawa sądowa pochłania dużo czasu, kosztuje masę pieniędzy, jest uciążliwa dla obu stron i może być bardzo przykra. Nie chciałbym, żeby Joanna musiała przejść przez to wszystko, skoro można tego uniknąć. Ty obchodzisz mnie tyle co zeszłoroczny śnieg, ale też jesteś człowiekiem i nie widzę powodu, dla którego miałbyś tego doświadczyć.
- A teraz ty mnie posłuchaj, Ron. To, co powiedziałeś, jest być może prawdą. Ale nie przekonałeś mnie co do jednego, a mianowicie co do tego, bym oddał kogoś, kogo tak bardzo kocham. Trzeba być ojcem Billy’ego, żeby to zrozumieć. A ja jestem jego ojcem. Gdyby był moim zajęczkiem wędrowniczkiem, to też bym go odnalazł.

Joanna poprosiła sekretarkę Teda, aby zapytała go: „Czy może zabrać Billy’ego w sobotę o jedenastej i przywieźć z powrotem o piątej?” Ted zostawił telefonistce w centralce wiadomość następującej treści: „Zgoda na jedenastą”.

W sobotę zjawiła się punktualnie i zadzwoniła z dołu. Billy czekał gotowy do wyjścia i zszedł do matki. O piątej znów zadzwoniła z dołu i wysłała Billy’ego na górę. Ted i Joanna nie spotykali się. Przekazywali sobie dziecko.

Billy był zadowolony. Rodzice Joanny przyjechali do Nowego Jorku i wszyscy razem poszli do zoo. Ted czuł, że ostatecznie mógłby się z taką sytuacją pogodzić, mimo że nie

miała w sobie nic budującego. Billy pozostałby z nim, a ona mogłaby się z nim widywać. W poniedziałek odprowadził chłopca do szkoły, ale kiedy ruszył w kierunku biura, jakiś mężczyzna zastąpił mu drogę.

– Panie Kramer – rzekł – dostałem polecenie, by to panu wręczyć.

Było to wezwanie do stawienia się na rozprawę sądową. Joanna Kramer występowała do sądu przeciwko Tedowi Kramerowi o przyznanie jej opieki nad dzieckiem.

## 17

W sprawie Kramer kontra Kramer Joanna w swym pozwie wносиła o to, by sąd nie brał pod uwagę jej pierwotnej decyzji o oddaniu dziecka pod opiekę ojca, decyzja ta została bowiem podjęta, jak twierdziła, „pod wpływem duchowej udręki spowodowanej nieudanym małżeństwem”.

„Po odzyskaniu fizycznej i psychicznej równowagi dzięki zmianie miejsca zamieszkania wróciłam do Nowego Jorku, gdzie obecnie mieszkam i pracuję. W czasie gdy pozostawiłam dziecko pod opieką jego ojca, przeżywałam bardzo trudny okres w życiu. Postępując w ten sposób popełniłam błąd. Ale każdy człowiek popełnia błędy. To ludzkie. Nieludzkie natomiast jest pozbawienie matki, która zbłądziła, codziennego kontaktu z jej synem, do tego matki zdrowej na ciele i umyśle i materialnie niezależnej. Mój syn ma zaledwie pięć lat i potrzebuje tej specjalnej opieki i czułości, którą tylko matka może mu zapewnić. Jako matka tego chłopca, do którego jestem głęboko przywiązana, proszę o przyznanie mi opieki nad nim. Pragnę, by to ciepło i pogoda, które charakteryzowały moje ostatnie spotkania z dzieckiem, mogły rozwijać się nadal, by ani matka, ani dziecko nie były pozbawione bliskości, naturalnej miłości”.

– To prawdziwy frontalny atak – oświadczył Shaunessy. – Stawiają wszystko na kartę macierzyństwa.

Ted spędził trzy bite godziny w kancelarii Shaunessy’ego. Shaunessy zarabiał uczciwie na swoje honorarium i wtajemniczał swego klienta we wszystkie arkania prawa rodzinnego i procedury sądowej w sprawach o przyznawanie opieki nad dzieckiem. Na wstępie trzeba będzie odrzucić prośbę powódki argumentując, że nie należy wprowadzać zmian do już istniejącego stanu rzeczy. Ale Shaunessy uważał, że to się nie uda, skoro sędzia pozwolił na doręczenie akt stronom. Rozprawa w sądzie była zatem nieunikniona.



Sama rozprawa, według Shaunessy'ego, nie różni się niczym od procesu ze stronami występującymi przed sędzią. Każda ze stron będzie miała prawo powołać świadków, których adwokaci reprezentujący obie strony będą mogli poddać kolejno przesłuchaniom. Po wysłuchaniu końcowych argumentów stron sędzia zarezerwuje sobie prawo podjęcia decyzji, a po kilku dniach lub tygodniach zostanie wydany wyrok orzekający, komu przyznaje się opiekę nad dzieckiem.

W miarę jak wglębiali się w szczegóły dotyczące ich małżeństwa i ewentualnych korzyści z powołania takiego czy innego świadka, Ted coraz bardziej tracił orientację. Fakt, że siedzi w biurze adwokata i ustala z nim, co należy robić, by nie odebrano mu własnego syna, wydał mu się czymś absurdalnym. Słowa traciły sens. Myśl ulatywała gdzieś daleko.

– Panie Kramer...

– Nie ma na to rady, co? – Ted wracał na ziemię.

– Nie, jeśli chce pan zatrzymać syna. Ale są ludzie, którzy z tego rezygnują:

– Nie, nigdy.

– W każdym razie ma pan przewagę. Ma pan coś, co ona chce mieć. I ona będzie musiała się pomęczyć, żeby to panu odebrać.

Shaunessy znał adwokata Joanny. Nazywał się Paul Gressen i cieszył się bardzo dobrą opinią. Sędzia, Herman B. Atkins, był zdaniem Shaunessy'ego człowiekiem nie pozbawionym ludzkich uczuć. Ted już wiedział, że jego koszty sądowe wyniosą pięć tysięcy dolarów, niezależnie od tego, kto wygra. Należało się liczyć z tym, że sędzia może obciążyć go kosztami sądowymi Joanny w tej samej wysokości. Czy taka jest cena dziecka? Zresztą pieniądze to sprawa drugorzędna. Muszą się znaleźć. Czy to nie jest paradoks, myślał Ted, że wszystkie te pieniężne sprawy dotyczą dziecka, które nie ma pojęcia, co to jest pieniądź?

Sąd będzie rozstrzygać zgodnie z tradycyjną zasadą prawną, która na pierwszym miejscu stawia „dobro dziecka”.

– Musimy wykazać, panie Kramer, że pan najlepiej potrafi dbać o dobro dziecka – powiedział Shaunessy.

Zastanawiali się, jak to uzasadnić, odkrywali jego zalety rodzicielskie, o których Ted sam by nigdy nie pomyślał, jak na przykład, że nie jest alkoholikiem, narkomanem, homoseksualistą, że nigdy nie był karany, że miał pracę (to rzeczywiście wydawało mu się ważne) i że nigdy nie splamił się żadnym „haniebnym czynem”.

Uświadomił sobie przy tej okazji, że trudno by go nawet było nazwać kobieciarzem. Przecież Vivian, z którą się ostatnio spotykał, jakby go unikała. Zastanawiał się, czy ucieka przed jego trudnościami życiowymi, czy też odstrasza ją jego chłód. A zresztą jakie to mogło

mieć znaczenie w obliczu tylu innych ważnych spraw?

Z punktu widzenia laika Ted uważał, że sam fakt, że Joanna porzuciła dom i dziecko, przemawia przeciwko niej wystarczająco silnie. Cóż, kiedy Shaunessy wskazał na poważny precedens, jakim była sprawa Haskins kontra Haskins, gdzie to matka, która zrezygnowała ze swoich praw opiekuńczych w stosunku do dziecka, potem domagała się ich przywrócenia. Sędzia oddał dziecko pod opiekę matki i uzasadnił swą decyzję tym, że „macierzyństwo jest czymś, z czego się tak łatwo nie abdykuje”.

Zdaniem Shaunessy’ego najsłabszym punktem Joanny jest jej niestałość, jej potrzeba przenoszenia się z miejsca na miejsce, jej przeszłość świadcząca o emocjonalnej chwiejności, ale główny argument powinien stanowić sam Ted Kramer, odpowiedzialny człowiek, oddany i kochający ojciec. Takiemu ojcu nie można odebrać dziecka, bo to byłoby sprzeczne z najlepiej pojętym dobrem tego dziecka.

– Możemy się jeszcze przyczepić do jej równowagi psychicznej. Czy ona nigdy nie mówiła do ściany?

– Joanna?

– Panie Kramer, jesteśmy wciągnięci w bardzo brudną grę. Oni też nie cofną się przed użyciem różnych trików. Musi się pan z tym pogodzić i dostosować do tego. Bardzo by nam pomogło, gdybyśmy mogli udowodnić, że brak jej piątej klepki i że właśnie dlatego uciekła, nawet jeśli nie można jej uważać za wariatkę, którą trzeba zamknąć.

– Niestety, ona nigdy nie mówiła do ściany, panie mecenasie.

– Szkoda.

Ted zastanawiał się, kogo by mógł powołać na świadka, i doszedł do wniosku, że pani Willewska by się do tego nadawała. Znała Billy’ego lepiej niż ktokolwiek, obserwowała ich w domu, wiedziała, co łączy ojca i syna. Ale nie miał odwagi prosić jej o to. To była taka prostoduszna kobieta i żal mu było ciągnąć ją do sądu. Ted zwierzył się ze swoich wątpliwości Shaunessy’emu.

– Nie bądź pan dzieckiem – zachnął się adwokat. – Powinien pan powołać nawet swoją papugę, gdyby tylko miała do powiedzenia coś dobrego o panu.

– Ona jest taka prostoduszna.

– To nic, my się nią zajmiemy.

Ale pani Willewska nie bardzo mogła zrozumieć, o co tu właściwie chodzi.

– To znaczy, że pani Kramer chce zabrać Billy’ego?

– No cóż, prawo pozwala jej próbować.

– Przecież Billy tak bardzo pana kocha.

– Czy zechciałaby pani powiedzieć to w sądzie?

– Tak przed ludźmi?

– Tak. Opowie im pani, jak tu żyjemy.

A co będzie z Billym? Czy on też będzie uczestniczyć w rozprawie? Czy on też będzie świadkiem? Po czyjej stronie? Ted musiał i o tym wiedzieć.

– Nie, panie Kramer – oświadczył Shaunessy. – Sędzia może zechce porozmawiać z nim prywatnie, ale raczej w to wątpię. Chłopak jest *non sui iuris*. Za młody, by móc występować w charakterze świadka.

– A więc nie musi o niczym wiedzieć. – Ted poczuł ulgę.

Postanowił nie mówić Billy’emu, że jego rodzice idą do sądu, by się o niego bić. Nie powiedział też nic nikomu w pracy. Jego sytuacja była zresztą niewygodna. Wiedział, że jeśli za bardzo da się wciągnąć w tę rozprawę, to zaniedba się w pracy i straci posadę, a jeśli straci posadę, to może przegrać sprawę.

W dniu, kiedy strona pozwana miała odpowiedzieć na żądanie powódki, Ted poszedł do sądu, gdy udało mu się wykroić trochę wolnego czasu między wizytami u klientów. Shaunessy powiedział wprawdzie Tedowi, że jego obecność w sądzie jest zbyteczna, zwykle bowiem adwokaci stron przedstawiają swoje argumenty sami, bez bezpośrednio zainteresowanych, ale Ted chciał wiedzieć o wszystkim. Umówił się z Shaunessym przed wejściem na salę, gdzie rozpatrywano sprawy rozwodowe. Joanna nie zjawiała się, pozostawiając wszystko swemu adwokatowi. Ten oświadczył, że prośbie Joanny należy zadośćuczynić na podstawie jej oświadczenia i że należy jej przyznać prawa opiekuńcze bez dalszej rozprawy przed sądem. Sędzia, mały, łysy człowieczek, liczący sobie chyba ponad sześćdziesiątkę, oddalił wniosek adwokata Joanny z taką samą stanowczością, z jaką potraktował wniosek Shaunessy’ego, by zrezygnować z dalszej procedury i pozostawić dziecko pod opieką ojca.

Adwokat Joanny, Paul Gressen, był człowiekiem pięćdziesięcioletnim o łagodnym usposobieniu. Nosił elegancki garnitur z odpowiednim krawatem i jedwabną chusteczką w kieszonce marynarki. Miał dźwięczny głos i ironiczny uśmiech, którymi posługiwał się bardzo zręcznie. Ale John Shaunessy nie dał się nabrać na takie sztuczki. Jego wysoka siwowłosa postać dominowała na sali sądowej, a jego wytwornemu granatowemu ubraniu z białym goździkiem w klapie trudno było zarzucić cokolwiek. W końcu jednak ani ich poza, ani ich argumenty nie, były w stanie zmienić decyzji sędziego, który – jak to zresztą przewidział Shaunessy – zarządził rozprawę. Oświadczył przy tym, że zależy mu na przyspieszeniu procedury z uwagi na „młody wiek dziecka”. Termin rozprawy wyznaczył za

trzy tygodnie.

Shaunessy wyszedł z Tedem na korytarz i przeprosił, że go nie odprowadza, miał jeszcze bowiem spotkać się w gmachu sądu z innymi klientami. Umówili się na następny dzień. Ted został sam i schodził powoli schodami ku wyjściu. Od tej chwili był „pozwanym” w sprawie wniesionej przez „powódkę”.

Sędzia powołał psychologa, by zbadał sytuację domową i osobowość stron w sporze. Była to pani lat około czterdziestu, o okrągłej twarzy i tytule doktora. Pani doktor Alvarez traktowała swoje zadanie poważnie i nigdy się nie uśmiechała. Zajrzała do szaf, do lodówki, zainteresowała się zawartością domowej apteczki Teda. Zapytała, czy Billy nie mógłby się pobawić sam w swoim pokoju, po czym wyjęła notes i zaczęła Tedowi zadawać pytania. Chciała wiedzieć, jak spędza czas, ile czasu poświęca dziecku, co robią, gdy są razem, co robi, gdy jest sam, czy nikt prócz ich dwóch nie przebywa w tym mieszkaniu. Ted wspomniał o pani Willewskiej, ale zrozumiał lepiej jej intencje, gdy zapytała go wprost:

– Panie Kramer, czy utrzymuje pan w tym domu stosunki seksualne z kimkolwiek?

Kiedy tylko mogę, moja pani. Ale o co pani właściwie chodzi?

– Moje życie towarzyskie otaczam należytą dyskrecją. W tej chwili nie utrzymuję z nikim zażyłych stosunków.

– Czy nie działa to na pana przygnębiająco?

– Nieszczególnie.

– A co przygnębia?

– Mnie?

Twoja obecność, babo, ten proces, Joanna, jej adwokat, sędzia, to, że stoję przed sądem w sprawie, która jest dla mnie ważniejsza niż ja sam.

– Nie wiem, jak to wyjaśnić. Reaguję tak jak większość ludzi. Martwię się wzrostem kosztów utrzymania, martwię się, jak moje dziecko choruje...

– Doskonale. A teraz jeśli pan pozwoli, to chciałabym pomówić z chłopcem, w cztery oczy.

Billy właśnie budował w swoim pokoju metropolię. Wzdłuż skórzanego paska imitującego szosę, po której poruszały się samochodziki, poustawiane były klocki w kształcie wieżowców. Wszystko to wychodziło na korytarz, tak że nie można było zamknąć drzwi. Ted siedząc w pokoju mógł więc przysłuchiwać się ich rozmowie.

– Co to jest, Billy?

– Detroit.

– Byłeś kiedyś w Detroit?

– Nie, ale byłem w Brooklynie.

Ted był ciekaw, czy ona to zapisuje w swoim notesie.

Zapytała go jeszcze, w co się lubi bawić i kogo najbardziej kocha. Wymienił Kim, Thelmę, panią Willewską, tatusia i Batmana.

– A mamusię?

– Oczywiście, mamusię też kocham.

– Lubisz być z mamusią?

Ted poczuł się nieswojo. Chciał wtargnąć i wytknąć jej, że stara się wpłynąć na wypowiedzi dziecka.

– No tak.

– A co ci się najbardziej u niej podoba?

– Że mnie zabiera do restauracji.

– A co najbardziej lubisz u tatusia?

– Że się bawi ze mną.

– Czy twój tatuś cię bije?

– Och tak, często.

Ted zerwał się na nogi.

– Kiedy on cię bije?

– Jak jestem niegrzeczny.

Billy, co ty wyprawiasz?

– On mnie zbił, kiedy byliśmy na planecie Kritanium i kiedy ukradłem zakopany skarb z tej słynnej fabryki masła fistaszkowego.

– A tak naprawdę, to kiedy on cię bije?

– Ale ty jesteś głupia. Mój tatuś nigdy mnie nie bije. Dlaczego miałby mnie bić?

Na tym skończyło się przesłuchanie. Pani doktor Alvarez pożegnała się rzucając ostatnie spojrzenie na mieszkanie, a dla Teda i Billy'ego Kramerów wieczór zakończył się lotem Freda Flintstone'a do Detroit w samolocie Batmana.

W poniedziałek, w przededniu rozprawy, Ted oświadczył szefowi działu reklamy, że musi się zwolnić na kilka dni na poczet urlopu, bo jego eks-żona ubiega się o prawo opieki nad jego dzieckiem. Do tej pory nikt w biurze o niczym nie wiedział. Ted chciał uniknąć na swój temat plotek. Ale teraz mógł pozwolić sobie na ujawnienie prawdy, bo wiedział, że jego pozycji już nic nie zagraża. Pozałatwiał wszystkie bieżące sprawy, odwiedził jeszcze kilku

klientów, ale stwierdził, że coraz trudniej jest mu się skupić. O piątej poszedł do domu do swego syna, który nie przeczuwał wcale, że nazajutrz rano o godzinie dziewiętej trzydzieści stanie na wokandzie sprawa Kramer kontra Kramer.

Na fasadzie gmachu sądowego widniał napis: „Sprawiedliwe wyroki podporą dobrych rządów”. Dobre rządy? Ja chcę tylko, by mi nie odbierano mego dziecka.

Ted Kramer przekroczył próg sali sądowej, rozejrzał się wokół i nagle ogarnęło go jakieś dziwne wzruszenie na widok tylu ludzi, którzy zjawili się tutaj, by mu pomóc. Thelma, Charlie... Boże mój, Charlie, co ty tu robisz? Thelma i Charlie siedzą obok siebie, złączeni na chwilę chęcią niesienia pomocy Tedowi. Jest i Etta Willewska w odświętnym kapeluszu, żona Larry'ego, Ellen, która sądziła, że jako nauczycielka może się tu przydać, jego bratowa Sandy, która przyleciała specjalnie z Chicago, i wreszcie Jim O'Connor świeżo od fryzjera, w koszuli i krawacie – wszyscy z sympatii do Teda, by mu pomóc, żeby mógł zatrzymać swego syna.

Po chwili na salę wkroczyła Joanna, jak zawsze piękna, w wełnianej dżersejowej sukni, w towarzystwie Rona Willisa i adwokata. Usiadła obok adwokata przy stole naprzeciwko fotela sędziowskiego. Ted ruszył przed siebie, by zająć miejsce u boku swego adwokata, gdy otworzyły się drzwi i stanęli w nich rodzice Joanny. Na jego widok odwrócili głowy, jakby się wstydzieli. Ted przypuszczał, że przyjechali, by świadczyć przeciwko niemu. Usiedli z tyłu, po drugiej stronie.

Sala sądowa, z wysokim sufitem, dębowymi ławami i dobrze utrzymanymi mahoniowymi meblami, wyglądała dostojnie. „W Bogu nasza wiara” – taki napis widniał na ścianie frontowej, a obok, niżej, stała flaga Stanów Zjednoczonych. Gdy wszedł sędzia w todzie, woźny zawołał: „Wstać, sąd idzie!” Protokolant usiadł z przodu, obok miejsca dla świadków. Wszystko gotowe. Można było zaczynać. Ted odetchnął głęboko i zaczerpnął powietrza, jakby się bał, że nie będzie miał czym oddychać.

Joanna jako powódka miała pierwszeństwo i adwokat jej nie zwlekając wezwał ją jako świadka w jej własnym imieniu. Jak widać nie zamierzali bronić swej sprawy przy pomocy postronnych osób. Ich głównym argumentem było macierzyństwo i w pierwszym rzędzie trzeba było podkreślić osobowość powódki jako matki.

Tok zeznań Joanny rozwijał się powoli, jej adwokatowi chodziło o ustalenie pewnych dat, odtworzenie historii jej małżeństwa z Tedem, jej pierwszych lat z Billym i ostatniego okresu jej życia. W pamięci Teda zaczynały odzywać stare wspomnienia, jak po raz pierwszy

kochał się z Joanną, jak ta piękna kobieta, teraz tak mu obca, oplotła go swymi nogami, jak po raz pierwszy trzymał w ramionach Billy'ego, jakie było kruche to maleństwo, jak pierwszy raz obserwował Joannę karmiącą dziecko piersią. Ona naprawdę karmiła go piersią. Ale tego nie będzie w zeznaniach. Któż by o tym pamiętał.

Pan Gressen zaczął teraz zadawać Joannie pytania dotyczące jej obecnej pracy i poczucia odpowiedzialności. Łączył to z jej przeszłością.

– Pani Kramer, czy pracowała pani zarobkowo, kiedy była pani żoną swego byłego męża?

– Nie.

– A czy chciała pani pracować?

– Tak.

– Czy omawiała pani z byłym mężem swoje plany dotyczące podjęcia pracy zarobkowej?

– Tak. Ale on się sprzeciwiał. Nie chciał słyszeć o podjęciu przeze mnie pracy zarobkowej.

Teraz skupili się na Tedzie, człowieku, który podcinał skrzydła swojej żonie. Próbowali uzasadnić i usprawiedliwić jej decyzję porzucenia domu. To Ted zabronił jej pracować. Ted wprost nie mógł uwierzyć, że był tak nietolerancyjny. Przysłuchując się jej zeznaniom nie poznawał samego siebie. A przecież wiedział, że chodzi właśnie o niego. Gdy skończyła, sędzia zarządził przerwę na lunch. Ted spoglądał na Joannę, która rozmawiała ze swoim adwokatem, i zastanawiał się: Czy to ta sama kobieta, którą kiedyś znałem i kochałem? Czy na tej sali nie spotkało się dwoje zupełnie innych ludzi? Zadawał sobie pytanie, co by było, gdyby tych dwoje spotkało się teraz po raz pierwszy. Czy spodobałoby się sobie? Czy gdyby się teraz pobrali, skończyliby również na tej sali?

Shaunessy zbierał leżące na stole dokumenty, kopię pozwu wniesionego przez Joannę, raport psychologa, jakieś notatki, protokół stenografa spisany na wąskich pasmach papieru wysuwających się z jego maszyny.

Joanna i jej adwokat pierwsi opuścili salę sądową. Ted wyszedł z sali ze swoim adwokatem po jakimś czasie, tak by nie znaleźć się w tej samej windzie. Powódka odseparowana została od pozwanego przez ludzi, papiery, prawniczy żargon, czas i przytłaczającą swą dostojnością salę sądową, w której jakiś zupełnie obcy człowiek miał orzekać o najżywotniejszej dla nich sprawie.

Adwokat Joanny nadal koncentrował się na pozornie najsłabszym punkcie tej sprawy, na tym, że porzuciła dom. Usiłował przekształcić to w atut dowodząc, że jej decyzja była aktem desperackim, albowiem pozwany nie pozostawił jej innego wyjścia.

– Proszę powiedzieć sądowi, czy lubiła pani grać w tenisa?

– Tak.

– A jak pani były mąż na to reagował?

– Miał mi to za złe. Skarżył się, że jest ofiarą tenisa.

Tak więc ograniczana emocjonalnie przez męża została dodatkowo obciążona małym dzieckiem.

– Czy kochała pani swoje dziecko?

– Tak, bardzo je kochałam.

– Jak je pani karmiła, kiedy było niemowlęciem?

– Piersią. By czuć jego bliskość.

Była to okoliczność, która aż się prosiła, aby ją wykorzystać.

– A mimo to postanowiła pani opuścić swoje dziecko?

– Moja sytuacja była nie do wytrzymania. Gdyby mój mąż okazał mi większe zrozumienie, gdyby chciał uwzględnić to, że ja też mam prawo do własnego życia i własnych zainteresowań, to nie poddałabym się rozpacz.

– Jest to tylko część prawdy – szepnął Ted do swojego adwokata. – Ona wcale nie musiała opuszczać domu. – Shaunessy kiwnął głową. Znał te rzeczy. – Zaproponowałem jej nawet, że przyjmiemy pomoc domową.

– Szs... – syknął Shaunessy kładąc dłoń na ramieniu swego klienta.

– Wszystko splotło się jak gdyby w jedno – moje małżeństwo, mój mąż, moje dziecko, napięcie, w którym żyłam. Mój mąż pozbawił mnie możliwości wyboru.

– I co pani zrobiła?

– Zrobiłam to, co mogłam w tych okolicznościach. Skoro wszystko splotło się w jedno, nie byłam zdolna wyluskać z tej całości tych elementów, które trzeba było naprawić. Musiałam więc wyzwolić się z tego. I wyjechałam, żeby stworzyć sobie lepsze życie.

– I zrezygnowała pani ze swego dziecka?

– Nie, nie zrezygnowałam z dziecka jako takiego... zrezygnowałam ze swego małżeństwa, ze swego męża, ze swej frustracji i swego dziecka. Zostawiłam za sobą ten cały



pakiet spraw, które mój mąż tak mocno skomplikował.

– Pani Kramer, proszę nam powiedzieć, dlaczego pani zamieszkała w Nowym Jorku?

– Bo tu jest moje dziecko. I tu jest jego ojciec. Jako matka nie chcę, by moje dziecko było odseparowane od swego ojca.

– Co za wspaniałomyślność – szepnął Shaunessy do swego klienta.

Gressen chciał teraz wiedzieć, kiedy Joanna po raz pierwszy odczuła brak dziecka. Wyznała, że stało się to nazajutrz rano po opuszczeniu domu.

– I jak pani próbowała uporać się z tym uczuciem?

– Nie zrobiłam wtedy nic. Nie mogłam się jeszcze wyzwolić z frustracji, którą wyniosłam ze swych doświadczeń jako żona.

– Zgłaszam sprzeciw. Świadek wypowiada swoje opinie – zawołał Shaunessy.

– Sprzeciw uznany – oznajmił sędzia.

– Czy telefonowała pani kiedykolwiek do męża, by wyrazić swoje uczucia dotyczące dziecka?

– Tak. Zrobiłam to rok temu w czasie świąt Bożego Narodzenia.

Gressen przedłożył jako dowód rzeczowy rachunek telefoniczny, w którym wymienione były rozmowy telefoniczne z Tedem z Kalifornii. Joanna oświadczyła, że ich celem było przygotowanie spotkania z dzieckiem.

– A jak odniósł się do tego pani były mąż?

– Nieprzychylnie. Z początku powiedział, że zawiadomi mnie o swojej decyzji. A potem, gdy już się zgodził, zapytał mnie, czy zamierzam porwać dziecko.

– A czy porwała pani dziecko?

– Nie. Kupiłam mu jego ulubioną zabawkę.

Do akt sprawy włączono sprawozdanie psychologa. Pani doktor Alvarez nie znalazła podstaw do wyciągnięcia negatywnych wniosków z rozmów przeprowadzonych ze stronami. Joannę określiła jako osobę „pewną siebie”, a warunki, jakie Joanna zamierzała stworzyć dziecku, „odpowiednie dla jego potrzeb”, co pan Gressen uznał za dowód, że Joanna może wywiązać się ze wszystkich obowiązków matki. Potem zapytał ją jeszcze o okoliczności ostatniego spotkania z Billym. Joanna oświadczyła, że Billy był szczęśliwy, iż może być razem z nią.

– Czy może nam pani powiedzieć, jakich słów użył, by wyrazić swoje zadowolenie?

– Powiedział dosłownie: „Co za cudowny dzień, mamusiu”. – Entuzjazm Billy’ego został włączony do protokołu jako dowód przemawiający na korzyść powódki.

Pod koniec przesłuchania Gressen poprosił Joannę, żeby wyjaśniła sądowi, dlaczego

domaga się przyznania opieki nad dzieckiem.

– Proszę, by mi przyznano to prawo, bo jestem jego matką. Panie mecenasie, podczas naszego pierwszego spotkania powiedział mi pan, że są przypadki, kiedy przyznaje się prawo do opieki nad dziećmi nawet matkom, które dobrowolnie się go zrzekły. Nie mogę wypowiadać się na temat prawniczej słuszności takiego postępowania, bo nie jestem prawnikiem. Ale jestem matką i rozumiem mądrość, jaką dyktuje uczucie. Kocham swoje dziecko. Chcę z nim być jak najdłużej. Billy ma zaledwie pięć lat. On mnie potrzebuje. Nie twierdę, że nie potrzebuje ojca. Ale ja jestem mu bardziej potrzebna, bo jestem jego matką.

Gressen wyeksploatował swoją klientkę, jak tylko mógł, i nie żałował czasu. Jej zeznania przeciągnęły się do pół do piątej. Sędzia Atkins zarządził przerwę do następnego dnia rano pozostawiając prezentację argumentów na rzecz macierzyństwa – przedstawionych przez bardzo przekonującą i uroczą matkę – bez odpowiedzi.

– Spokojna głowa – rzekł Shaunessy do Teda. – Naszym głównym atutem jest pan. Ale spróbujemy dać jej szkołę jutro.

Bezpośrednie przesłuchanie powódki przez adwokata to zazwyczaj wyreżyserowana z góry gra, której celem jest dojście do ustalonych przedtem wniosków. Tak też było i teraz. Gdy jednak do Joanny dobrał się Shaunessy, straciła dużo ze swej pewności siebie. Podczas gdy Gressen był pełen sympatii dla swej klientki, Shaunessy przybrał postawę starszego, mądrego pana, który zna życie. Przejechał się po zeznaniach Joanny, chciał, żeby mówiła, co robiła między dniem, kiedy opuściła dom, a dniem, kiedy postanowiła zobaczyć się z dzieckiem na Boże Narodzenie, co robiła w czasie, który upłynął między tym spotkaniem a jej powrotem do Nowego Jorku.

– Kiedy opuściła pani dom i odczuła głęboko tę stratę, o której pani mówiła, czy pisała pani do dziecka, czy wysyłała mu pani jakieś prezenty?

– Nie, ja...

– Czy posłała pani cokolwiek?

– Nie, byłam jeszcze pod wrażeniem swego doświadczenia z mężem.

– Nic nie posłała pani dziecku, żeby mu wyrazić swoją miłość?

– Posyłałam, ale w swoim sercu.

– W swoim sercu. Czy uważa pani, że dziecko w tym wieku jest w stanie zrozumieć tę przemożność?

– Zgłaszam sprzeciw! – zawołał Gressen. – Jest to próba zastraszenia świadka.

– Proszę o powtórzenie pytania – rzekł sędzia do protokolanta. Ted pochylił się na swoim krześle do przodu. Czyżby sędzia nie słuchał? Czyżby siedział tam na górze w swoim fotelu i myślał nie wiadomo o czym, podczas gdy tutaj rozstrzygają się takie ważne sprawy? A może chciał się jeszcze zastanowić przed powzięciem decyzji? Ostatecznie był przecież sędzią. Tu, na tej sali, mógł robić wszystko, co chciał. Protokolant powtórzył pytanie.

– Uchylam sprzeciw. Proszę odpowiedzieć.

– Wiem tylko jedno: że Billy był zawsze szczęśliwy, gdy mógł się ze mną spotkać.

– Jak długo zamierza pani zostać w Nowym Jorku?

– Zamierzam zamieszkać tu na stałe.

Shaunessy przyczepił się do słów „na stałe” i wykorzystał je jako broń przeciwko Joannie.

– Ilu przyjaciół miała pani „na stałe”?

– Nie pamiętam.

– A ilu kochanków miała pani „na stałe”?

– Nie pamiętam.

– Więcej niż trzech, mniej niż trzydziestu trzech „na stałe”?

– Zgłaszam sprzeciw.

– Uchylam sprzeciw. Proszę świadka, by odpowiedział na pytanie.

– Gdzieś pośrodku...

Shaunessy uprzedził Teda, że niewiele można wygrać eksponując sprawę bogatego życia seksualnego matki, chyba że zachodzi krańcowy przypadek, co trudno byłoby tu udowodnić. Shaunessy’emu chodziło najwyraźniej o co innego.

– Czy ma pani teraz kochanka?

– Mam przyjaciela.

– A czy ten przyjaciel jest kochankiem? Czy mamy się bawić w definiowanie pojęć?

Chce pani udawać Marię Dziewicę?

– Zgłaszam sprzeciw.

– Sprzeciw uznany. Panie mecenasie, czy naprawdę spodziewa się pan odpowiedzi na tego rodzaju pytanie?

– Domagam się tylko prostej odpowiedzi na proste pytanie. Czy świadek ma teraz kochanka?

– Nie sprzeciwiam się temu pytaniu. Proszę świadka o odpowiedź.

– Tak.

– Czy „na stałe”?

– ...Nie wiem.

Shaunessy nalegał. Ile posad miała „na stałe”? Co robiła „na stałe”, kiedy wyjechała „na stałe” do Kalifornii? Czy do Nowego Jorku też przyjechała „na stałe”, gdy przybyła, by się zobaczyć z dzieckiem, a czy do Kalifornii też wróciła „na stałe”, czy jej powrót do Nowego Jorku jest też „na stałe”? Teraz próbował wyprowadzić ją z równowagi. Joanna zaczęła się jąkać, jej odpowiedzi stawały się coraz mniej precyzyjne.

– Nie wiedziałam... wtedy – szeptała, więc sędzia Atkins zmuszony był poprosić ją, żeby mówiła głośniej.

– Tak więc kiedy pani mówi: „na stałe”, to nie możemy mieć pewności, że naprawdę zamierza pani zamieszkać w Nowym Jorku, a nawet nikt nie może zagwarantować, że zatrzyma pani dziecko, bo nigdy w całym swym życiu nie postępowała pani w sposób konsekwentny, nie stworzyła pani nic stałego, nic, co mogłoby trwać.

– Zgłaszam sprzeciw. Mamy tu do czynienia z wyraźnym aktem znęcania się nad świadkiem.

– Moim zdaniem jest to pytanie, które nie wzbudza zastrzeżeń – oświadczył sędzia. – Pani Kramer, czy zamierza pani zostać na stałe w Nowym Jorku?

– Tak – powiedziała Joanna cicho.

– Nie mam na razie więcej pytań – oświadczył Shaunessy.

Gressen miał prawo do ponownego przebadania świadka, więc starannie zrekonstruował całą argumentację koncentrując się na kwestii macierzyństwa. Słowo „matka” powtarzało się w każdej odpowiedzi Joanny. „Jako matka czułam...”, „Będąc matką mogłam twierdzić...” To wyglądało tak, jakby chcieli wywołać u sędziego automatyczną reakcję. Roztrząsali wszystkie szczegóły związane ze staraniami, jakie Joanna podjęła, by uzyskać prawo do opieki nad dzieckiem, a więc jej powrót do Nowego Jorku, próby znalezienia pracy, wynajęcie mieszkania, gdzie „jako matka...” wiedziała, że Billy będzie szczęśliwy, zainicjowanie procedury sądowej, zaangażowanie adwokata, złożenie pozwu, aż do stawienia się w sądzie na rozprawie – wszystko dlatego, że była „kochającą matką”, która chciała tylko udowodnić swoje bezgraniczne przywiązanie do dziecka.

Teraz przyszła kolej na Shaunessy’ego.

– Pani Kramer, jak może pani uważać siebie za matkę zdolną do przejęcia opieki nad dzieckiem, skoro ponosiła pani klęskę za klęską we wszystkim, co podejmowała pani w swoim dorosłym życiu?

– Zgłaszam sprzeciw.

– Uchylam pytanie.

– Wobec tego sformułuję je inaczej. Czy może nam pani powiedzieć, z kim łączyła panią najtrwalsza więź w całym pani życiu, pomijając oczywiście rodziców i koleżanki szkolne?

– Chyba z moim dzieckiem.

– Które widziała pani dwa razy w ciągu roku? Pani Kramer, czy pani były mąż nie był człowiekiem, z którym łączyła panią trwała więź?

– Tak.

– Jak długo?

– Byliśmy małżeństwem przez dwa lata, zanim Billy przyszedł na świat. A potem przeżyłam cztery bardzo trudne lata.

– A więc tej więzi w pani życiu nie można zapisać na pani dobro?

– Zgłaszam sprzeciw.

– Uchylam sprzeciw.

– Chce pan widzieć we mnie uosobienie klęski?

– A co mam widzieć w pani, uosobienie sukcesu? Przecież pani małżeństwo skończyło się rozwodem.

– Uważam, że to bardziej jego klęska niż moja.

– Zechce pani przyjąć moje gratulacje, pani Kramer. Poddada pani właśnie rewizji prawo małżeńskie. Wasz rozwód nastąpił za obopólną zgodą, pani Kramer.

– Panie mecenasie, czy ma pan jeszcze jakieś pytanie do świadka? – wtrącił sędzia Atkins.

– Tak. Chciałbym wiedzieć, czy ten wzór stabilności i odpowiedzialności miał kiedykolwiek do zanotowania jakieś sukcesy życiowe. Pani Kramer, czy jest prawdą, że nie zdołała pani zapewnić trwałości swej najważniejszej więzi w życiu?

Joanna siedziała milcząco.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie, pani Kramer – orzekł sędzia.

– Był to nieudany związek.

– Proszę wyrażać się ściślej. Czy był nieudany z pani winy? Tak czy nie?

– Tak – odparła szeptem.

– Nie mam więcej pytań.

Joanna wróciła na swoje miejsce. Była strasznie wyczerpana.

– Z macierzyństwem trudno walczyć – rzekł Shaunessy do swego klienta – ale zaleźliśmy im za skórę.

Po przerwie na lunch rozprawa została wznowiona. Zeznanie składał ojciec Joanny,

Sam Stern, powołany na świadka przez powódkę. Jego zadaniem było potwierdzenie bliskich stosunków, jakie łączyły Joannę jako matkę z jej dzieckiem. Gressen ograniczył swe pytania do tej jednej sprawy, eksploatując szczególnie ostatnie spotkanie Joanny z Billym, w którym uczestniczyli również jej rodzice. Słuchając zeznań Sama o tym, jak Joanna świetnie ułożyła swoje stosunki z dzieckiem, Ted rozumiał, że dał się nabrać, dał się wciągnąć w pułapkę. Joanna specjalnie sprowadziła do Nowego Jorku swoich rodziców, by jej ojciec mógł wystąpić jako świadek. Shaunessy próbował obalić to zeznanie, ale jego wysiłek nie zdał się na nic. Trudno było zaprzeczyć temu, co ten świadek widział na własne oczy, że przecież Joanna i Billy naprawdę się kochali.

Wracając na swoje miejsce Sam próbował prześliznąć się nie patrząc na Teda. Ted uniósł dłoń i dotknął nią ramienia swego eks-teścia.

– Sam?

Sam Stern miał spuszczoną głowę. Nie podnosząc wzroku szepnął:

– Ted, ty byś to samo zrobił dla swojego dziecka – po czym oddalił się szybko.

Gressen nie miał już więcej świadków. Jego argumentacja była prosta i konsekwentna. W tej sprawie chodziło wyłącznie o prawo macierzyństwa. Główny dowód stanowiła matka.

Teraz przyszła kolej na przedstawienie argumentów przez stronę pozwaną. Pierwszym świadkiem był Charlie, do którego Shaunessy zwracał się per „panie doktorze”, by w ten sposób dodać powagi jego zeznaniom. „Pan doktor” miał zaświadczyć o nieskazitelnym charakterze Teda i jego doskonałych kwalifikacjach ojca.

– Czy powierzyłby pan jego opiece swoje własne dziecko?

– Oczywiście. Wielokrotnie to czyniłem.

Potem Charlie opisywał ich wspólne spacerowanie z dziećmi po mieście, kiedy to mógł naocznie stwierdzić, jak bardzo Ted kocha Billy’ego i jak bardzo Billy kocha swego ojca. Ze wzruszeniem w głosie rzekł:

– Nie sądzę, bym ja w podobnych okolicznościach mógł być tak dobrym ojcem.

Gressen nie miał pytań. Z uśmiechem na ustach skłonił się dając w ten sposób do zrozumienia, że zeznanie Charliego uważa za bezprzedmiotowe. Tę samą taktykę zastosował po zeznaniach złożonych przez następnego świadka, Sandy, bratową Teda, która mówiła o trudzie, jaki Ted włożył, by zapewnić dziecku dobrobyt. Zakończyła oświadczając: – Ten chłopak go ubóstwia.

Po niej zeznawała Thelma. Kiedy Shaunessy zapytał ją: „Co według pani świadczy o tym, że pan Kramer może sprostać wszystkim wymaganiom, jakie stawia się ojcu?”, ogarnęło ją takie wzruszenie, że omal się nie rozpląkała.

- Ich wzajemny stosunek – odparła.
- Zgłaszam sprzeciw – rzekł Gressen. – To pytanie jest, mówiąc ogólnie, dość ogólne.
- Uznaję sprzeciw – rzekł sędzia.
- Czy przypomina pani sobie coś, co świadczy o trosce, jaką okazuje pan Kramer swemu dziecku?
- Na przykład... on czyta mu bajki, kąpie go, bawi się z nim, on go kocha... Ted to wspaniały człowiek, a gdybyście ich widzieli razem... to nie byłoby w ogóle tej rozprawy... – powiedziała i zaczęła płakać.

Shaunessy nie miał więcej pytań. Gressen odczekał chwilę, tak jakby zastanawiał się, czy nie ruszyć do kontrataku, ale doszedł do wniosku, że opierając swą argumentację na uczuciu macierzyństwa, nie powinien występować przeciwko płaczącej kobiecie i zrezygnował z przebadania świadka.

Jim O'Connor zeznał, że Ted Kramer cieszy się doskonałą opinią w pracy i jest powszechnie poważany. Kiedy zakończył swą wypowiedź, która miała potwierdzić, że Ted jest świetnym fachowcem i lubianym człowiekiem, Gressen postanowił nie przepuścić temu świadkowi.

– Panie O'Connor, czy nie jest prawdą, że ten człowiek, którego pan tak wychwalał jako pierwszorzędnego fachowca, został przez pana dwa razy wyrzucony z pracy?

Ted aż podskoczył na krześle. Spojrzał na Shaunessy'ego, jakby chciał zapytać: Skąd oni mają te informacje?

- Niezupełnie tak było.
- A jak?
- Oba przedsiębiorstwa zbankrutowały. Wszyscy straciliśmy pracę.
- Nawet ten cudowny pracownik?
- Zgłaszam sprzeciw! – zawołał Shaunessy.
- Uznaję sprzeciw.
- Nie mam więcej pytań.

Potem zeznawała Ellen, która jako nauczycielka mogła potwierdzić, że duża inteligencja i doskonałe usposobienie dziecka było rezultatem starań Teda jako ojca. Gressen zostawił ją w spokoju. Shaunessy złożył do akt sprawozdanie psychologa, zawierające pozytywną ocenę zarówno pozwanego, jak i jego mieszkania. Mieszkanie „zapewniało dziecku niezbędny komfort”, a Ted został uznany za „kompetentnego ojca”.

Teraz przyszła kolej na panią Ettę Willewską. Shaunessy zadał jej kilka pytań na temat

atmosfery panującej w domu Teda. Odpowiadała nerwowo, szukała odpowiednich słów i po swoimemu mówiła o tym, co widziała.

– To jest taki grzeczny, słodki chłopczyk. I jak on kocha swojego tatusia. Prowadzę go do szkoły, ale oni lubią być razem.

Gressen zdawał sobie sprawę z wagi jej zeznań i postanowił poddać ją przesłuchaniu.

– Pani Willewska, czy to prawda, że jest pani zatrudniona przez pana Kramera?

– Przepraszam?

– To znaczy, on pani płaci, czy tak?

Ta ironia w jego głosie, która miała oznaczać, że jego zdaniem jej zeznania zostały kupione, w ogóle do niej nie docierała.

– Tak, lecz moja siostra dzisiaj opiekuje się Billym, bo ja jestem tutaj.

– Ale ten człowiek pani płaci, czy tak?

– Tak, chociaż nie wiem, co będzie dzisiaj – powiedziała zmieszana pani Willewska. – Może powinien zapłacić mojej siostrze.

Kiedy Gressen zauważył, że sędzia i protokolant uśmiechają się z niewzruszonej naiwności tej kobiety, wołał raczej wycofać się niż kontynuować i wzbudzać jeszcze większą sympatię dla świadka.

– Nie mam więcej pytań – oświadczył i uśmiechnął się do Shaunessy’ego, jakby chciał mu wyrazić uznanie za dobrą robotę.

Następnym i ostatnim świadkiem miał być Ted. Ale jego przesłuchanie zostało odłożone na następny dzień rano.

Nazajutrz o dziewiątej trzydzieści sędzia wznowił rozprawę, która ciągnęła się przez cały dzień i jeszcze przez pół następnego. To, co się działo w tym czasie na sali sądowej, można było porównać tylko z ludzką wiwisekcją. Zaczęło się znów od odejścia Joanny, od decyzji Teda, by zatrzymać dziecko, jego wysiłków, by znaleźć pomoc domową, by zapewnić Billy’emu dobre warunki. Ted mówił o codziennych kłopotach każdego ojca, o przeziębieniach i katarach chłopca, o staraniach, by miał odpowiednie towarzystwo i by miał się z kim bawić, o tym, co robili razem wieczorami, jak spędzali soboty i niedziele, kiedy deszcz nie pozwalał wychodzić z domu. Pytania Shaunessy’ego zawierały w sobie ładunek sympatii i współczucia, tak jakby ten człowiek, który prawie w ciągu całej kariery zawodowej miał do czynienia z nienawidzącymi się nawzajem ludźmi, zaraził się dobrocią swojego klienta. Zachowywał się tak, jakby sprawa Teda była jego sprawą. Zostawcie temu



człowiekowi jego dziecko, zdawał się apelować do sędziego. Doceńcie to, co ten człowiek dla niego zrobił. Mówiło się o weekendach, o kupionych ubrankach, o przeczytanych książkach, o wspólnych zabawach, o głębokiej trosce, o pełnym oddaniu dla syna. Pod koniec zeznań Teda atmosfera na sali sądowej uległa jak gdyby zmianie. Joanna, która naśladowując swego adwokata siedziała dotychczas ze znudzoną twarzą, zaczęła przysłuchiwać się uważniej zeznaniom Teda, chłonęła wszystkie szczegóły i nie spuszczała z niego wzroku. Ted odpowiedział na ostatnie pytanie, potem tłumacząc, dlaczego pragnie zachować opiekę nad swoim synem, oświadczył:

– Nie mam żadnych złudzeń i nie chcę niczyjej wdzięczności. Pragnę tylko jednego: pozostać z nim razem, tak jak dotychczas, bo go kocham.

Sędzia zarządził przerwę i wycofał się do swojego gabinetu, a Ted wrócił na swoje miejsce przyjmując gratulacje adwokata i przyjaciół.

Adwokat Joanny wziął Teda w krzyżowy ogień pytań. Zaczął od tego, ile godzin, dni, nocy Ted spędził z dala od Billy’ego, jak często wynajmował babysitterki, ile razy dziecko musiało zasypiać w towarzystwie obcych mu osób, jakby chciał podać w wątpliwość morale i przywiązanie tego rzekomo idealnego ojca do swego dziecka.

– Nie sądzę, i przypuszczam, że zgodzi się pan ze mną, iż nie można mówić o czasie poświęconym dziecku, kiedy się jest w domu, a dziecko śpi.

– Wtedy się też nad nim czuwa – rzekł Ted.

– Chyba że się w tym czasie ma kobietę w łóżku.

– Zgłaszam sprzeciw.

– Podtrzymuję sprzeciw.

– Panie Kramer, czy miał pan kiedykolwiek kobietę w swoim łóżku, gdy pana dziecko spało w sąsiednim pokoju?

– Zdarzało się.

– Tak też myślę.

Ted był oburzony tym brutalnym atakiem, pełnym półprawd i insynuacji, ale przypomniał sobie, jak Shaunessy potraktował Joannę. Tak jest. Shaunessy miał rację: to była brudna, bezpardonowa gra. Potem Gressen zabrał się do rozdrapywania innych ran. Zadawał mu pytania dotyczące jego kariery zawodowej, wymieniał dokładnie daty i miejsca. Ted zrozumiał, że musieli wynająć jakiegoś prywatnego detektywa, który zebrał inkryminujące go informacje.

– Ile to było miesięcy, panie Kramer? Ile miał pan posad w ciągu ostatnich dwóch lat?

Fakt, że znalazł pracę, co jemu wydawało się dużym osiągnięciem, ten adwokat usiłował obrócić przeciwko niemu, bo przecież tylko niedorajda traci pracę i musi znaleźć nową.

– Pracuję teraz w redakcji „McCall’s” i nie wydaje mi się, by groziło im bankructwo.

– Od kiedy pan tam pracuje?

– Od dwóch miesięcy.

– Poczekamy, zobaczymy.

– Zgłaszam sprzeciw! – zawołał Shaunessy.

– Interesuje mnie jedynie kariera zawodowa świadka, Wysoki Sądzie. Próbuje on nas przekonać, że jest świetnym pracownikiem, a tymczasem nie może się utrzymać długo na żadnej posadzie. Jeżeli świadek uważa, że przytoczone przeze mnie daty są nieścisłe...

– Czy są nieścisłe, panie Kramer?

– Tego nie powiedziałem, ale to tylko część prawdy...

– Nie mam więcej pytań.

Shaunessy, który ruszył ponownie do akcji, usiłował wzmocnić pozycję klienta. Swymi pytaniami chciał wykazać, że ludzie w zawodzie Teda często zmieniają pracodawcę, że Ted w ciągu wszystkich tych lat bardzo poważnie podwyższył swoje kwalifikacje zawodowe, że życie towarzyskie i wynajmowanie babysitterek to rzecz normalna, że po zakończeniu dzisiejszych przesłuchań Ted uda się do domu i zajmie dzieckiem, tak jak czynił to każdego dnia od chwili odejścia Joanny.

Gressen skorzystał z przysługującego mu prawa i ruszył powtórnie do ataku.

– Panie Kramer, czy to prawda, że pańskie dziecko o mało nie straciło oka, kiedy znajdowało się pod pańską opieką?

Przez chwilę Ted aż zaniemówił. A więc postanowili wywlec przykry wypadek.

– Powtórzę pytanie. Panie Kramer, czy jest prawdą, że pana dziecko zraniło się w czasie, kiedy znajdowało się pod pańską opieką, i zostało na zawsze oszpecone?

Ted poczuł nagle, że zbiera mu się na wymioty. Skierował wzrok na Joannę. Zasłaniała sobie twarz dłonią.

– Zgłaszam sprzeciw! – zawołał Shaunessy. – Poruszono tu sprawę, która nie ma żadnego związku z naszą rozprawą.

– Dziecko uległo wypadkowi, zraniło sobie poważnie twarz i jest teraz oszpecone. A stało się to wtedy, gdy przebywało pod opieką świadka.

– Czy mam zrozumieć, że oskarża pan świadka o niedbalstwo?

– Tak jest, Wysoki Sądzie.

– Rozumiem, ale w takim razie będzie pan musiał przedstawić dowody. Czy ma pan coś na potwierdzenie swego oskarżenia o niedbalstwo?

– Nie mam, Wysoki Sądzie, ale...

– Wobec tego uważam, że był to odosobniony incydent, chyba że może pan udowodnić, że było inaczej.

– Czy jednak świadek zaprzecza, że dziecko się zraniło?

– Nie, panie mecenasie, nie zgadzam się na zadawanie tego rodzaju pytań.

– Jeśli tak, to nie mam więcej pytań.

Ted wracał na swoje miejsce wciąż czując, jak serce podchodzi mu do gardła. Szedł powoli w kierunku Joanny. Zatrzymał się przed nią.

– Jak można tak nisko upaść, Joanno? Jak można?

– Przepraszam cię – powiedziała. – Kiedyś napomknęłam o tym w jego obecności, ale nigdy nie przypuszczałam, że on zrobi z tego użytek.

– I ty chcesz, żebym w to uwierzył?

– Musisz mi uwierzyć, Ted. Nigdy bym nie wywlekła tej sprawy. Nigdy.

No cóż, nie panowała już nad wydarzeniami. Obie strony miały swoich adwokatów, a ci robili, co uważali za stosowne. Adwokaci i ich taktyka żyli własnym życiem. Była to gra bez pardonu, gra, w której wszystkie chwytły były dozwolone.

Obaj adwokaci wygłosili swoje mowy. Jeszcze raz zreasumowali wszystkie najważniejsze argumenty swoich klientów i rozprawa zakończyła się. Powódka i pozwany nie mieli już prawa głosu, nie mogli już zwracać się do sędziego ani wymieniać zdań między sobą. Adwokat powódki powoływał się na macierzyństwo, „tę jedyną życiodajną siłę”, jak mówił, „z którą nie może się nic równać na ziemi”. Twierdził ponadto, że byłoby „wbrew naturze oddzielić tak małe dziecko od jego matki, wbrew naturze zmusić dziecko do przebywania z ojcem, gdy ma matkę, która może i pragnie obdarzyć je swoją matczyną miłością i opieką”. Adwokat pozwanego powoływał się natomiast na ojcostwo.

– Miłość ojcowska to potężne uczucie – mówił. – Może być ono równie głębokie jak miłość matki, o czym mogliśmy się przekonać słuchając zeznań na tej sali. – Szczególnie podkreślał siłę ojcowskich uczuć Teda Kramera. – Byłoby rzeczą okrutną i niesprawiedliwą, gdyby w tej sprawie miała zapaść decyzja zmieniająca obecny stan rzeczy – dodał kończąc swoje wystąpienie. – Dziecko powinno pozostać w domu kochającego je ojca, człowieka,

który całą swą postawą życiową udowodnił zdolność do spełniania obowiązków opiekuna.

I na tym się skończyło. Decyzja była w rękach sędziego. On musiał teraz przeanalizować zeznania, kierując się faktami i prawem. Takie rozprawy nie mają dramatycznego finału. Tu ludzie nie czekają na wyrok w napięciu, wbijając paznokcie w blaty stołów i poręcze krzeseł, jak to bywa na filmach. W takich sprawach sędzia nie podaje do wiadomości swego werdyktu na sali sądowej. Werdykt zostanie ogłoszony w biuletynie sądowym, który zostanie doręczony adwokatom, a ci z kolei prześlą jego treść swoim klientom. Decyzja o tym, które z rodziców otrzyma prawo sprawowania władzy opiekuńczej nad dzieckiem, będzie sformułowana w suchym, rzeczowym stylu, ale za to będzie wiążąca.

## 19

Ted postarał się o to, by prawie zawsze można się było z nim natychmiast skontaktować przez telefon. Sam też musiał odpowiadać na telefony. Jego matka dzwoniła codziennie z Florydy.

– Już wiesz?

– Jak będę wiedział, to dam ci zaraz znać.

– Tak, daj mi zaraz znać.

– Mamo, wcale mi nie ułatwiasz życia. Może byś zadzwoniła do niej.

– Co? Dzwonić do niej? Nigdy. Będę dzwonić do ciebie.

Ted przeżywał raz jeszcze cały tok rozprawy, analizował strategię swego adwokata, zastanawiał się nad swoimi odpowiedziami i w końcu uznał, że chyba nie można było lepiej rozegrać tej sprawy.

Jego tryb życia nie uległ zmianie. Zachowywał się tak samo jak przed rozprawą, normalnie, jak mówił na sali sądowej. Dnie w pracy, wieczory w domu z synem. Ale czas włókł się jakoś niemiłosiernie, nawet wolniej niż wtedy, kiedy był bezrobotny, nawet wolniej niż podczas tych trzech tygodni w Fort Dix, kiedy to jego papiery się gdzieś zagubiły i musiał tkwić beczynnym w koszarach czekając, aż go wcielą oficjalnie do armii i zaczną szkolić. Teraz było nawet gorzej. Czas jakby stanął w miejscu; nie było na co czekać, liczyła się tylko decyzja sędziego.

Zbliżał się trzydniowy weekend z okazji rocznicy urodzin Waszyngtona. Larry i Ellen zaproponowali Tedowi pobyt w domu na Fire Island. Nie mogli jeszcze liczyć na ciepłą wodę

czy ogrzewanie, musieliby więc zadowolić się tym, co jest, i spać w śpiworach. Billy ucieszył się na wieść o tej – jak powiedział – „wielkiej przygodzie”. Ted też przyjął tę propozycję z zadowoleniem, wołał bowiem spędzić te trzy wolne od pracy dni w towarzystwie przyjaciół niż kręcić się beczynnie po domu.

Im jednak bliższy był dzień wyjazdu, tym mniejszy stawał się entuzjazm. Perspektywa spędzenia kilku nocy w nie ogrzewanym domu letniskowym nad morzem nie zachwycała go. Billy natomiast był coraz bardziej podniecony, sprawdzał, czy ma świeże baterie w latarce, bo szykował się na spotkanie nocne z dzikimi zwierzętami, ostrzył finkę na wypadek, gdyby spotkał na swej drodze okrutnego niedźwiedzia. Ted zastanawiał się, czy nie mógłby wykorzystać na swoją korzyść okoliczności, że nabawił się zapalenia płuc, by zrobić przyjemność dziecku, gdyby doszło do ponownej rozprawy.

W piątek, na dzień przed wyjazdem, zadzwonił Shaunessy.

– To ja, panie Kramer.

– No jak?

– Jest wyrok.

– No i co?

– Przegraliśmy.

– Och, Boże...

– Jest mi naprawdę szalenie przykro.

– Nie, to niemożliwe.

– Niestety. Sędzia przyjął bez najmniejszych zastrzeżeń argument macierzyństwa.

– Nie, to niemożliwe. Czuję, że serce mi pęknie.

– Ja też nie chciałem wierzyć, panie Kramer.

– Ale jak mogli przyznać jej rację? Jak?

– Ona jest matką. W dziewięćdziesięciu wypadkach na sto opiekę nad dzieckiem powierzają matce. Tam gdzie w grę wchodzi bardzo małe dziecko, procent jest jeszcze wyższy. Wydawało mi się, że tym razem, choćby raz, będzie inaczej.

– Nie, nie mogę się z tym pogodzić.

– Wiem, że jest panu ciężko.

– Czyżbym go miał naprawdę stracić?

– Próbowaliśmy, panie Kramer. Zrobiliśmy, co było można.

– To niesprawiedliwe.

– Wiem.

– To niesprawiedliwe, panie mecenasie.

– Pozwoli pan, że odczytam treść wyroku. Przykro mi, ale jest to orzeczenie utrzymane w bardzo tradycyjnym stylu.

„W sprawie Kramer kontra Kramer powódką jest naturalna matka dziecka, Williama, które ma pięć i pół roku. Matka ubiega się o prawa opiekuńcze nad dzieckiem od ojca, któremu powierzono opiekę nad dzieckiem półtora roku temu w wyniku procesu rozwodowego. Sąd, kierując się najlepiej pojętym dobrem dziecka, postanawia, że najlepiej dla dobra dziecka, które jest jeszcze bardzo małe, będzie, jeżeli zostanie ono zwrócone matce.

Powódka mieszka obecnie na Manhattanie i podjęła kroki, by zapewnić odpowiednie warunki dziecku. Poprzednia decyzja o powierzeniu opieki nad dzieckiem ojcu nie może być uznana przez sąd za wzgląd o zasadniczym znaczeniu (Patrz sprawa Haskins kontra Haskins). Matka, która przeżywała różne stresy w czasie trwania małżeństwa, jest teraz osobą całkowicie zdolną do wypełniania obowiązków rodzicielskich. Ojciec również wykazuje podobne cechy. Stojąc w obliczu zdolnych do pełnienia swych obowiązków rodziców, sąd musi dokonać najlepszego wyboru (Patrz sprawa Barney kontra Barney). Sąd postanawia, że najlepiej pojęte dobro tak małego dziecka (Patrz sprawa Rolebine kontra Rolebine) dyktuje przychylenie się do prośby powódki.

Na mocy decyzji tego sądu prawa opiekuńcze nad dzieckiem przejmuje od poniedziałku 16 lutego powódka. Sąd postanawia, że pozwany ma płacić alimenty w wysokości czterystu dolarów miesięcznie na utrzymanie dziecka. Ustala się, że ojciec ma prawo przebywania z dzieckiem: w niedziele od 11 rano do 5 po południu oraz przez dwa tygodnie w lipcu lub sierpniu. Nie obciąża się pozwanego kosztami sądowymi”. I to wszystko, panie Kramer.

– I to wszystko? Co ja dostaję? Niedziele od jedenastej do piątej? Tyle będę miał z mego dziecka?

– Ale przynajmniej nie musi pan pokrywać jej kosztów sądowych.

– Co to ma do rzeczy? Wiem tylko, że straciłem syna. Straciłem go.

– Panie Kramer, jeśli pan tylko zechce, to pozostanie pan częścią jego życia. Czasem zdarza się, że rodzice walczą ze sobą zażarcie o prawa opiekuńcze, a potem strona, która wygrywa, wykazuje wielkoduszność, czasem też zdarza się, że strona przegrywająca nie wykorzystuje nawet tych uprawnień, jakie sąd jej przyznał.

– Co mi z tego. Staniemy się dla siebie zupełnie obcy.

– Niekoniecznie.

– I to ma się zacząć od poniedziałku. To znaczy już zaraz.

– Orzeczenie sądu nie przesądza jeszcze ostatecznie sprawy. Jeżeli okoliczności się

zmienia, to będzie można wystąpić przeciwko Joannie.

– No tak.

– Możemy również wnieść apelację. Tymczasem jednak musi się pan zastosować do orzeczenia sądowego. Ale na ogół sąd apelacyjny zatwierdza wyrok wydany w pierwszej instancji.

– A więc muszę go po prostu oddać, tak?

– Panie Kramer, jest mi naprawdę niewymownie przykro, ale uważam, że zrobiliśmy wszystko, co można.

– Mój Billy. Moje małeństwo. Och, Boże!

– Naprawdę nie wiem, co jeszcze moglibyśmy zrobić.

– Nie, to po prostu nie do wiary. I to ja właśnie, niegodny sprawowania opieki nad własnym dzieckiem, mam je zawiadomić o tym, co się stało. Och, Boże!

Ted wyszedł z biura. Nie miał głowy do pracy. Poszedł do domu i rozejrzał się po pokoju Billy'ego myśląc o tym, jak się ma zachować. Nie wiedział, czy powinien zapakować wszystkie jego rzeczy, czy też zostawić coś, żeby chłopiec miał czym się bawić, gdy przyjdzie w odwiedziny. Zastanawiał się, co mu powiedzieć, jak mu wyjaśnić, co go czeka.

Ron Willis, pełniący funkcje pośrednika, zadzwonił do domu, nie mogąc złapać Teda w biurze. Mówił tonem grzecznym, jak wielkoduszny zwycięzca do pokonanego. Chciał wiedzieć, czy poniedziałek rano Tedowi odpowiada. Prosił, żeby Ted spakował niezbędne przedmioty do walizki. Resztą, książkami i zabawkami, można się będzie zająć później.

Kiedy Etta wróciła z zakupów, Ted zawiadomił ją o decyzji sądu. Zapewnił ją, że czas, jaki spędziła w ich domu, zostanie na zawsze w ich pamięci, że serce, jakie okazała Billy'emu, stanowi nieocenioną wartość. Powiedział też jej, że postanowił zaproponować Joannie, by zechciała zatrudnić ją w swym domu. Etta oświadczyła, że chętnie zajmie się Billym. Potem zaczęła się krzątać po mieszkaniu. Jakiś czas później Ted usłyszał, że płacze w łazience.

Billy miał tego dnia wrócić wcześniej ze szkoły. Ted poprosił więc panią Willewską, żeby zabrała go do parku na spacer. Chciał zostać sam. Zaczął wydzwaniać do różnych ludzi, mając nadzieję, że natrafi na sekretarki, maszyny do nagrywania poleceń, że nie będzie musiał wdawać się w rozmowy. Uważał, że najlepiej będzie, jeśli wyjadą z Nowego Jorku na weekend, tak jak planowali, jeśli spędzą chociażby dwa dni, to znaczy sobotę i niedzielę, za miastem. Nie wyobrażał sobie, że mógłby pozbawić Billy'ego przygody, na którą chłopiec tak bardzo się cieszył. Po tych wszystkich telefonach, rozmowach z przyjaciółmi, po przyjęciu wyrazów ich współczucia zadzwonił do matki. Dora Kramer przyjęła tę wieść ze spokojem,

którego się nie spodziewał. Kiedy oświadczył jej, że Joanna wygrała sprawę, powiedziała najzwyczajniej w świecie: – Obawiałam się, że to tak się skończy. Czy go już nigdy nie zobaczę? – zapytała.

Ted nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć, gdyż nie był pewien, jakie prawa przysługują w takich wypadkach dziadkom.

– Przyrzekam ci, mammo, że będziesz go mogła widywać. Choćby kosztem czasu, jaki mnie przyznano.

– Moje biedne dziecko – powiedziała. Już chciał zapewnić ją, że Billy da sobie radę, kiedy znów usłyszał jej głos: – Co będziesz robić? – I wtedy zrozumiał, że matce chodziło o niego samego.

Ted chciał koniecznie załatwić sprawę pani Willewskiej, i to jak najszybciej. Trzeba było porozumieć się z Joanną, zanim ona zrealizuje swoje plany. Wysłany ekspresem list doręczono by jej nazajutrz rano. Wolał nie rozmawiać z nią osobiście. Zresztą były też sprawy dotyczące chłopca, o których powinna wiedzieć. Przecież nie mógł odesłać go jak uciekiniera z przypiętą do płaszczyka kartą informacyjną. Usiadł więc przy biurku i zaczął pisać.

Joanno, chcę ci w ten sposób przedstawić Williama Kramera. Jak się sama będziesz mogła przekonać, jest to kochane dziecko. Nie znosi soku z winogron, ale za to bardzo lubi sok z jabłek. Nie ma natomiast nic przeciwko winogronom jako takim. Nie lubi również masła fistaszkowego, które kupuje się w sklepach ze zdrową żywnością, ale z apetytem je masło fistaszkowe kupowane w zwykłych sklepach. Dlaczego, nie mam pojęcia. Czasem w nocy ma złe sny, nawiedzają go jakieś potwory, a w szczególności jeden potwór, zwany Mordą. Nie mogę ci go opisać dokładnie, ale z tego, co wiem, przypomina kłowna cyrkowego, ale bez ciała. Zdaniem pediatry i autorów różnych książek, które przejrzałem, może to być strach przed utratą własnego penisa albo strach przed własnym gniewem, albo po prostu sen o kłownie cyrkowym, którego kiedyś widział. Zawsze leczył go doktor Feinman. Najskuteczniejszym lekarstwem na przeziębienia jest „Sudafed”. Najbardziej Billy lubi opowieści o Babarze, Kubusiu Puchatku, a potem o Batmanie. Opiekowała się nim do tej pory pani Etta Willewska i ona jest główną przyczyną tego listu. To kochana kobieta, sumienna, bardzo przywiązana do Billy’ego i wręcz idealna gospoia. Co więcej, Billy ją bardzo lubi i przyzwyczał się do niej. Mam nadzieję, że nie uznasz za stosowne zerwać całkowicie z przeszłością i zechcesz skorzystać z jej usług. Bardzo o to proszę. Jej numer telefonu: 555-



7306. Sądę, że jeśli zaproponujesz jej pracę, to się zgodzi. Jestem przekonany, że wyłonią się jeszcze inne sprawy. Zwracaj się do mnie w razie potrzeby, wszystko da się jakoś omówić. W tej chwili nic więcej nie przychodzi mi na myśl. Mów o mnie dobrze w jego obecności, ja też postaram się, wbrew moim uczuciom, odwzajemnić ci się tym samym, skoro to ma być w „najlepiej pojętym interesie dziecka”. Ted.

Poszedł na pocztę i nadał ten list ekspresem poleconym, potem wrócił do domu i czekał na powrót Billy’ego. Billy wpadł do domu z twarzą zarumienioną od wiatru i rzucił się w objęcia ojca.

– Tatusiu, tak wcześnie przyszedłeś do domu.

Ted nie był w stanie powiedzieć mu, że nie będzie już tu mieszkać, że ich wspólne życie dobiega końca. Rozmawiali podczas kolacji, przed spaniem, ale o czymś innym. Nazajutrz podczas śniadania uznał, że nie należy odkładać tego dłużej. Właśnie mieli wolną chwilę, bo czekali na przyjazd Larry’ego i Ellen, którzy mieli ich zabrać na wyspę.

– Billy, wiesz, że twoja mama mieszka teraz w Nowym Jorku?

– Tak, wiem.

– Czasem tak się zdarza, że jak rodzice są rozwiedzeni, to spierają się o to, z kim dziecko ma mieszkać, czy z matką, czy z ojcem. Jest taki bardzo mądry pan, który nazywa się sędzią. To jest bardzo doświadczony człowiek, ma do czynienia z ojcami, matkami i dziećmi rozwiedzionych rodziców. On postanawia, z kim dziecko powinno mieszkać.

– Dlaczego?

– Bo taka jest jego rola i jego praca. To bardzo ważny pan.

– Jak dyrektor naszej szkoły?

– Jeszcze ważniejszy. Ten pan sędzia nosi uroczystą togę i siedzi na wysokim fotelu. On długo zastanawiał się nad nami, długo myślał o tobie, o mnie, o mamie i postanowił, że najlepiej będzie dla ciebie, jeśli zamieszkas z mamą w jej mieszkaniu. A mnie też się krzywda nie stanie, bo będę cię mógł widywać każdej niedzieli.

I przyrzekam ci, Billy, że będę cię widywał. Nie jestem jednym z tych, o których mówił Shaunessy.

– Nie rozumiem, tatusiu. Ja też nie.

– Czy możesz mi powiedzieć dokładniej, czego nie rozumiesz, kochanie?

– Gdzie będzie moje łóżko, gdzie będę spać?

– W mieszkaniu mamusi. Będziesz tam miał własne łóżko w twoim pokoju.

– A gdzie będą moje zabawki?  
– Prześlę ci tam wszystkie zabawki. No i na pewno dostaniesz dużo nowych.  
– A kto mi będzie czytać?  
– Mamusia.  
– Pani Willewska też tam będzie?  
– Tego nie wiem, synku. Ale to jest możliwe.  
– A czy będziesz mi mówił dobranoc każdego dnia przed spaniem?  
– Nie, synku. Ja będę mieszkał tutaj. Ale będziemy się widywać w każdą niedzielę.  
– To znaczy, że będę mieszkać w domu mamusi?  
– Tak. Od poniedziałku. Mamusia przyjedzie tutaj w poniedziałek rano i zabierze cię do siebie.

– Ale przecież mieliśmy wyjechać na weekend. Przrzekłeś mi!  
– Pojedziemy, ale wrócimy dzień wcześniej.  
– To dobrze.  
– Tak. To dobrze.

Billy zamilkł na chwilę. Widać było, że zastanawia się i próbuje wyciągnąć wnioski z tego, co usłyszał.

– Tatusiu, czy to znaczy, że nie będziemy się już nigdy bawić w małpy?  
Boże, już dłużej tego nie wytrzymam!  
– Synku, będziemy się bawić w małpy, ale tylko w niedzielę. Będziemy takimi niedzielnymi małpami.

W samochodzie, gdy jechali na Long Island, dorośli starali się wprowadzić dobry humor. Żartowano, śpiewano piosenki. Od czasu do czasu Ellen odwracała głowę, by zerknąć na Teda i Billy'ego, ale serce krajało jej się z bólu na ich widok. Mimo wysiłków trudno było utrzymać dobry nastrój. Tylko Billy się cieszył. Usta mu się nie zamykały. Chciał wiedzieć, dokąd odlatują ptaki, czy na wyspie mieszkają dzieci, czy prom tnie pokrywę lodową jak lodołamacz. Ale i on czasem popadał w milczenie, jakby o czymś rozmyślał.

– Tatusiu, chcę ci coś powiedzieć na osobności – rzekł i cichutko, żeby nikt nie mógł usłyszeć, zapytał:

– A co będzie, jak Morda przyjdzie do domu mamusi?  
– Mamusia wie o Mordzie. Razem z mamusią powiecie jej, żeby sobie poszła.

Podczas jazdy promem Billy wyglądał przez okno i chłonał ciekawie wszystkie

widoki, ale chwilami tracił zainteresowanie tym, co się dzieje dookoła, jakby ogarniał go jakiś strach.

– Czy mamusia wie, że nie piję soku z winogron?

– Tak. I będzie ci dawać tylko takie rzeczy, które lubisz.

Kiedy dotarli na wyspę, Billy chciał koniecznie bawić się w duchy. Puste domki letniskowe zamieniały się w miejsca zamieszkane przez istoty niewidzialne. Wraz z Tedem biegali po werandach strasząc się nawzajem. Było im wesoło, dobrze. Aż za dobrze, myślał Ted. Czy nie lepiej byłoby rozstać się w gorszym nastroju?

Dziecięcy entuzjazm Billy’ego okazał się zaraźliwy. Po lunchu Larry i Ellen, rozgrzani rumem wypitym w tym pochmurnym i chłodnym dniu, też przyłączyli się do zabawy w duchy. Potem biegali razem wzdłuż brzegu morza. Po kolacji Billy wyciągnął latarkę i zaczął szukać dzikich zwierząt, ale tym razem te wszystkie puste domki jakby ożywiły się nagle, nawiedzone przez dziwne cienie i nocne głosy. Wkrótce Billy wrócił do domu.

– Widziałeś jelenia? – zapytał Larry. – Czy wiesz, że na tej wyspie są jelenie?

– Co ty wygadujesz?! – wtrącił Ted. – Na tej wyspie nie ma miejsca dla rogaczy.

Wszyscy się roześmieli. Billy też, bo uważał, że to bardzo śmieszne.

– Co by to było, gdyby jelen przyszedł po zakupy do sklepu? – powiedział chłopak, zadowolony ze swego własnego dowcipu. I tak roześmiani, rozgrzani rumem, upojeni powietrzem i zapachem morza zasnęli w śpiworach.

Nazajutrz Ted i Billy ubrali się ciepło i poszli na plażę, by zbudować zamek z piasku. Nad morzem nie było żywej duszy. W tym ich ostatnim wspólnym dniu wyspa jakby wymarła. Grali w piłkę, potem poszli do zatoki, siedzieli na palach i w końcu uciekając przed chłodem wrócili do domu. Tutaj grali w pchełki. Ale chwilami Billy jakby zaczynał myśleć o czymś innym. Odwracał głowę albo wpatrywał się zagubionym wzrokiem w ojca. Ted rozumiał, że musi swoją rolę odegrać do końca, że musi uśmierzyć własny ból, by pomóc dziecku.

– Zobaczysz, Billy, będzie ci dobrze. Mamusia cię kocha i ja cię Kocham. I nie musisz się niczego bać. Możesz śmiało mówić każdemu, co chcesz.

– Tak, tatusiu.

– Wszystko będzie dobrze, Billy. Pamiętaj, że wszyscy cię kochają.

W drodze powrotnej, gdy znaleźli się na promie, nikt się nie śmiał. Ted czuł jakiś ucisk w piersiach, oddychał z trudem.

W Nowym Jorku Larry i Ellen podwieźli ich pod dom.

– Trzym się, stary – powiedział żegnając się z Tedem Larry. Ellen pocałowała

Billy'ego, mówiąc:

– Możesz przyjechać do nas na wyspę, kiedy tylko zechcesz. Będiesz zawsze mile widziany. Pójdziemy razem do sklepu i poszukamy jelenia.

– To będzie musiało być w niedzielę – odparł Billy. Już obracał się w nowej rzeczywistości.

Ted dopilnował, żeby Billy umył zęby i włożył pidżamę, a potem położył go do łóżka i przeczytał bajkę na dobranoc.

– Do zobaczenia rano, Billy – rzekł starając się zachować pogodny głos.

Próbował obejrzeć jakiś film w telewizji, ale był za bardzo zmęczony. Jeszcze raz wszedł do dzieciennego pokoju i spojrzał na śpiące dziecko. Zadawał sobie pytanie, czy nie obdarza Billy'ego zbyt wielkim uczuciem. Może rzeczywiście przesadza? Czy jednak mogło być inaczej? Przecież to było nieuniknione, skoro został z nim sam. Sądził, że z Joanną będzie podobnie. Nie, tak być musiało. Nie żałował tych miesięcy, podczas których dane mu było być naprawdę ojcem. Nikt mu tego całego bogactwa wrażeń i przeżyć nie odbierze. Zresztą on sam stał się dzięki temu kimś innym. To Billy sprawił, że dojrzał. To Billy sprawił, że nauczył się kochać naprawdę, że przestał zamykać się w sobie, że stał się silniejszy, lepszy, bardziej wrażliwy na otaczający go świat. Nachylił się nad łóżeczkiem, pocałował go i rzekł:

– Żegnaj, mój chłopcze. Dziękuję ci.

## 20

Mieli kilka godzin do przyjścia Joanny.

– A co byś powiedział, gdybyśmy zjedli śniadanie na mieście? – zapytał Ted.

– A dostanę pączka?

– Później.

Poszli do małej restauracyjki i usiedli przy stoliku. Ted uświadomił sobie nagle, że wkrótce upodobni się do innych niedzielnych tatusiów, że nie będzie miał co robić w domu, że będzie go gnało na miasto. Po śniadaniu zabrali się do pakowania. To, co najważniejsze, zmieściło się w dwóch walizkach. Teraz nie mieli już nic do roboty, tylko czekać na przyjazd Joanny. Ted pozwolił Billy'emu oglądać poranny program telewizyjny, a on sam próbował zabić czas przeglądając prasę.

Joanna się spóźniała. Było już kwadrans po dziesiątej. Ted miał jej to za złe. Uważał, że powinna przynajmniej postarać się o to, by nie przedłużać tej męki czekania. O pół do jedenastej wstał i zaczął nerwowo przemierzać pokój. Był coraz bardziej zły na Joannę. O jedenastej uświadomił sobie, że nie zna nawet jej numeru telefonu. Próbował dodzwonić się do Rona Willisa, ale bezskutecznie. Dwadzieścia po jedenastej rozległ się dzwonek telefonu.

– Ted?

– A niech cię, Joanno.

– Przepraszam.

– Gdzie jesteś, u diabła?!

– W domu.

– Na miłość boską, Joanno...

– Ted, ja nie przyjadę.

– Co takiego?

– Nie mogę.

– Co się stało, Joanno?

– Nie mogę... się pozbierać w tym wszystkim.

– Co to znaczy?

– Po prostu nie mogę.

– Nie możesz się pozbierać? Teraz? Dzisiaj? Co to wszystko ma znaczyć?

– Nie mogę... Po prostu nie mogę. – I zaczęła płakać.

– Czego nie możesz?

– Wiesz, kiedy siedziałam tam, na sali sądowej, kiedy słuchałam, co zrobiłeś dla niego, kiedy zrozumiałam, co to wszystko znaczy... – Z trudem pojmował jej słowa. – Ta odpowiedzialność...

– O co ci właściwie chodzi, Joanno?

– Sama nie bardzo wiem...

– Słuchaj, Joanno. W tym domu czeka chłopiec z dwiema walizkami.

– To wspaniały chłopiec...

– Tak, to wspaniały chłopiec.

– Wspaniały chłopiec...

– Joanno...

– Myślałam, że może być inaczej. Ale kiedy uświadamiam sobie, jak jest naprawdę, że trzeba to zrobić...

– Co zrobić, Joanno? Wytłumacz mi wreszcie.

– Wydaje mi się, że wciąż jeszcze nie dorosłam do swej roli... Wydaje mi się, że wciąż jeszcze jestem taka sama jak wtedy, kiedy cię opuściłam. Nie zmuszaj mnie, bym ci powiedziała, co naprawdę myślę o sobie.

– Joanno, co ty wygadujesz, na miłość boską. A co z nami?

– Nie mogę, Ted. Nie zrobię tego.

– Joanno.

– On... on jest twój.

– Co? Mój?

– Bardzo go pragnęłam. Naprawdę.

– Czy mówisz poważnie?

– Nie przyjadę, Ted.

– Nie okłamujesz mnie?

– Przysięgam. Nie będę się z tobą procesować o niego. Nigdy.

– To znaczy, że mogę zatrzymać Billy'ego?

– Chyba teraz już żaden sędzia nie będzie mógł sprzeciwić się temu. – Jej głos ginął w coraz gwałtowniejszym szlochu. – Och, Ted... Ted... Ted... Ted...

– No dobrze już, dobrze, Joanno...

– Wiem, że jestem do niczego, naprawdę do niczego, jak mówił twój adwokat.

– Boże mój, dlaczego zadajemy sobie tyle bólu.

– Możesz zatrzymać go, Ted. On jest twój.

– Naprawdę?

– Tak, Ted.

– Och, Boże.

– Ale czy mogę cię o coś prosić?

– Słucham, Joanno.

– Pozwolisz, żebym się z nim spotykała od czasu do czasu?

Była w tej chwili taka słaba, taka bezbronna. Ted czuł, że mógłby ją zniszczyć jednym słowem. Wiedział, że jeśli odmówi, ona po prostu odejdzie. Ale nie chciał tego robić, nie miał do tego prawa.

– Na pewno coś zorganizujemy.

– Dziękuję ci, Ted. Nie mogę już dłużej mówić. – I odłożyła słuchawkę.

Ted oparł się o ścianę. Był tak wzruszony, że nogi miał jakby z waty. Potem usiadł przy stole, głowa mu się trzęsła. Nie mógł uwierzyć, że to wszystko prawda, że Billy jest jego, że po tych wszystkich okropnych przejściach jego syn pozostanie z nim na zawsze. Łzy

pływały mu po policzkach.

Kiedyś Etta powiedziała mu, że jest szczęśliwym człowiekiem. Jeśli kiedyś miał uczucie szczęścia, to właśnie teraz. Wstał, podszedł do spakowanych waliz stojących w przedpokoju i wciąż nie mogąc powstrzymać łez, zaniósł je do dzieciennego pokoju.

Billy oglądał telewizję, ale trzeba mu było powiedzieć o tym, co się stało. Ted doprowadził się do porządku, wszedł do pokoju, zgasił telewizor i ukląkł przed chłopcem.

– Mamusia właśnie zadzwoniła... i... Otóż, mój kochany, będziesz mimo wszystko mieszkać ze mną.

– Mamusia nie przyjdzie?

– Dzisiaj nie przyjdzie. Ona cię kocha, bardzo cię kocha. Ale pozostanie tak, jak było do tej pory.

– Naprawdę?

– Bo ja cię też bardzo kocham, syneczku. – Jego oczy znów wypełniły się łzami. – I byłoby mi bardzo smutno bez ciebie.

– To znaczy, że będę spać w swoim łóżku?

– Tak, w swoim łóżku i w swoim pokoju.

– I wszystkie moje zabawki pozostaną ze mną?

– Tak.

– I Batman też?

– Tak.

– I moje książki?

– Też. Wszystko.

Billy próbował uporządkować myśli.

– To znaczy, że nie pójdę tam dzisiaj.

– Tak, Billy.

– A ty pracujesz dzisiaj?

– Nie.

– No to możemy iść bawić się do parku.

– Tak, Billy, pójdziemy do parku i będziemy się bawić.

Tego dnia robili to samo co zwykle. Poszli do parku, w drodze powrotnej do domu kupili pizzę, potem oglądali Muppety. Billy poszedł spać, a Ted Kramer czuwał nad synem.